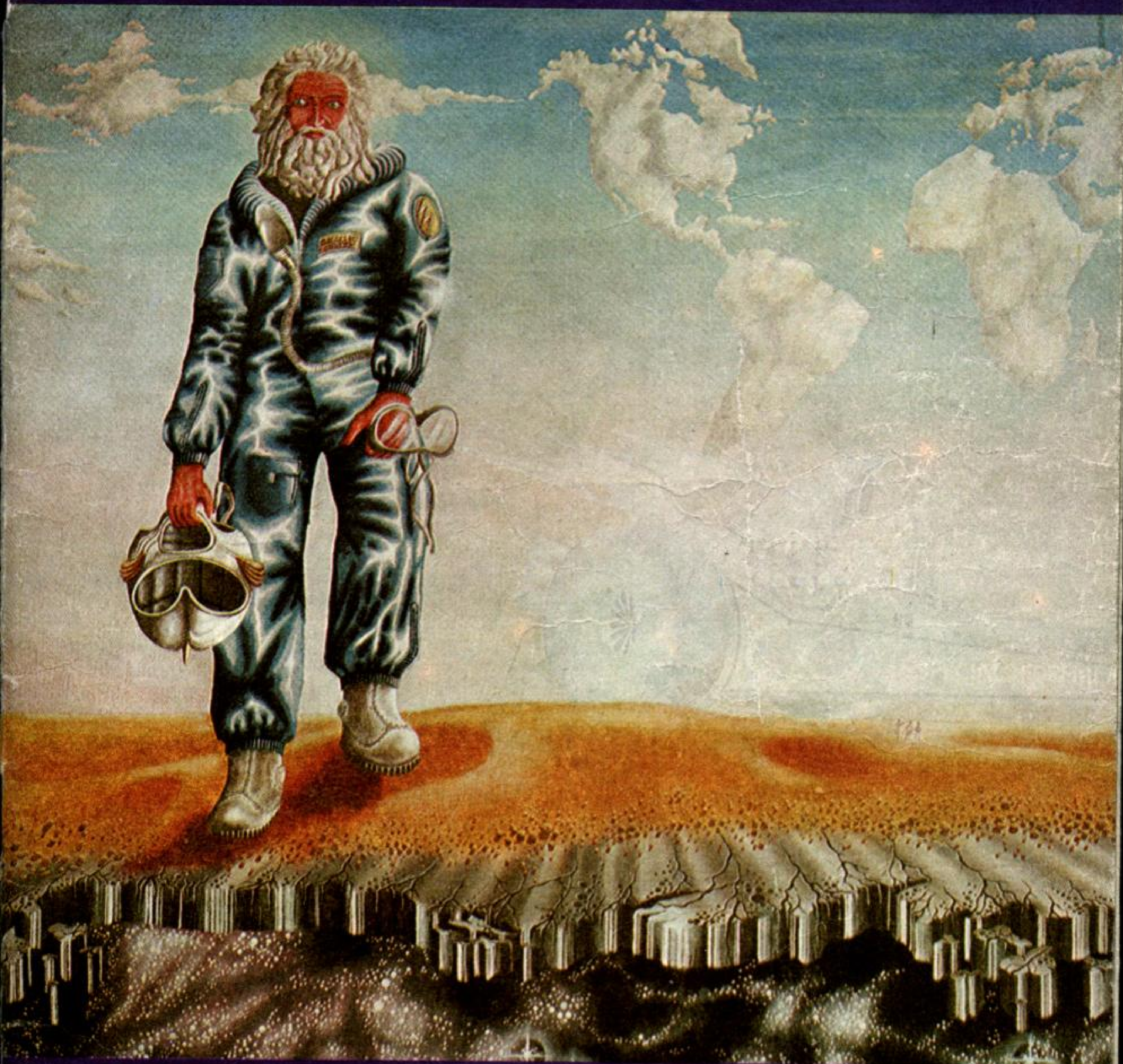
MIESIĘCZNIK

Fantastyka

5(8) Maj 1983 cena 50 zł

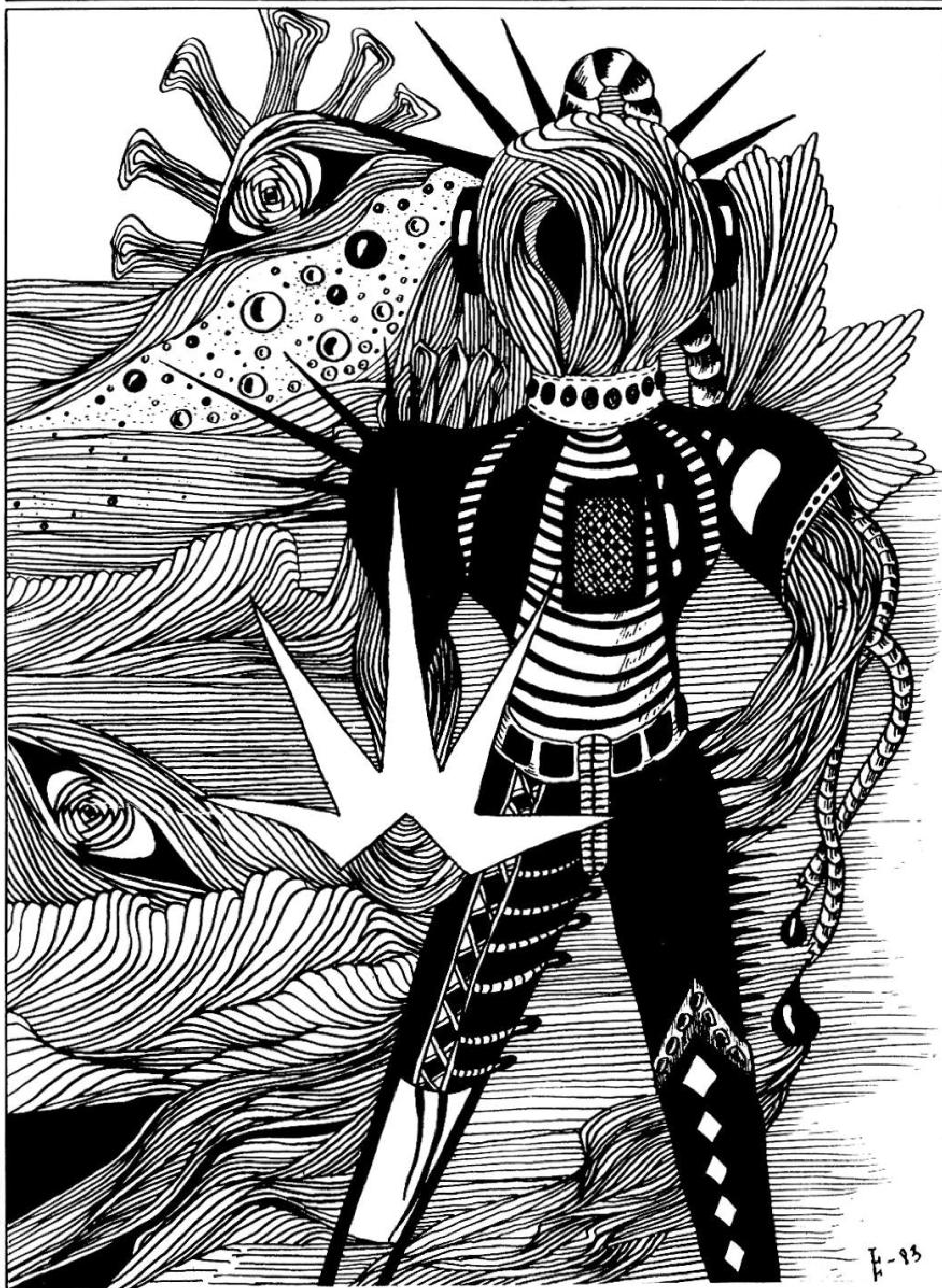


Janusz Giniewski

Roger Zelazny

ALEJA POTĘPIENIA

bestseller amerykańskiej fantastyki

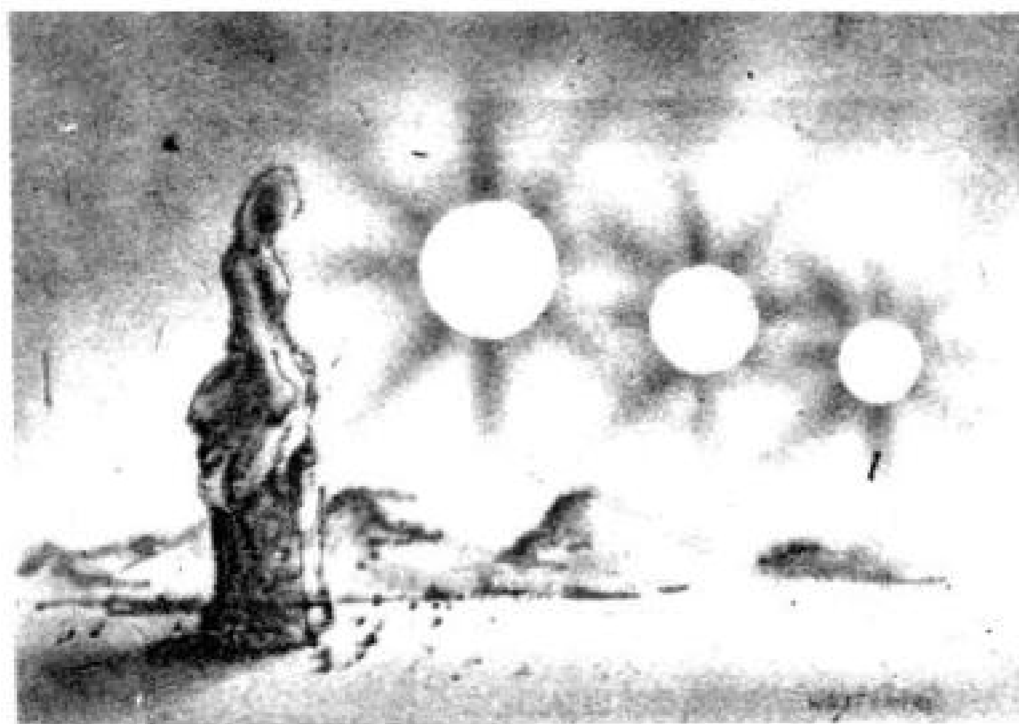


Leszek Frey Witkowski

Kontynuujemy publikację prac plastycznych wyróżnionych w naszym Konkursie.

Dziś na II stronie okładki grafika Leszka Freya Witkowskiego ze Świebodzina; natomiast już po raz drugi wykorzystujemy malarstwo Janusza Giniewskiego na okładce numeru. Tym razem jest to fragment obrazu „Kierowca wyścigowy formuły nieskończoność".

Na druk czekają kolejne prace Zygmunta Nasiółkowskiego (debiut razem z J. Giniewskim w numerze marcowym), Ryszarda Lecznarowicza z Gdańska i Andrzeja Ferensa ze Szczecina.



13

„Muzyka zamilkła. Marmurowe rzeźby, stragany ze świecidełkami, piękne połyskujące miasta zniknęły..."
Jeszcze jeden obraz obcej planety, ale narysowany z dużą dozą poetyckiej fantazji. Opowiadanie Jacka Vance'a z pewnością podbije swoim urokiem wielu czytelników.

Jack Vance Hałas

...3...2...1...



Orbitujemy miesiąc za miesiącem, żeglujemy często do różnorodnych światów wyobraźni, próbujemy kontaktów z innymi niż my istotami, narzucamy się w kolorach wyimaginowanych słońc. Ale tak szczerze mówiąc, gdyby nadarzyła się okazja do prawdziwych, a nie tylko wyobrażeniowych kontaktów z obcymi, nieznanymi cywilizacjami, ilu z nas podjęłoby ryzyko opuszczenia na długo, może na zawsze, rodzimej Ziemi i życia w środowisku całkowicie odrębnym? Choćby w nim znalazły się istoty o równej nam (lub wyższej) inteligencji. Jakże niewielu w gruncie rzeczy można naliczyć w historii ludzkości podróżników i odkrywców, którzy własne istnienie byli w stanie poświęcić dla spełnienia pasji poznania tego co nieznane.
Wątpię, aby dziś, zwłaszcza w epoce pigułkowych doznań, wysiadywań wielogodzinnych w fotelu przed ekranem tv lub kinowym, mogły wielu skusić niebezpieczne emocje. Są to rzecz jasna kwestie, na które odpowiedź wcale nie jest łatwa, nikt zaś nie prowadził i nie prowadzi badań w tym kierunku. Pewną pomocą mogą być jednak w orientacji w sprawach wytrzymałości (nie fizycznej, lecz psychicznej) człowieka dotychczasowe doświadczenia astro- i kosmonautów. Pierwszy kosmonauta zaraz na początku swego historycznego orbitowania, pełnego ryzyka, powiedziałbym nawet straszliwego ryzyka i niespodzianek, wyjrzawszy przez luk na zewnątrz – krzyknął „jak tu pięknie".

Emocje zatriumfowały od razu w człowieku nad rzeczową oceną sytuacji. Początkowo, jeszcze przed lotami załogowymi, uważano, iż kosmonautą powinien być ktoś dysponujący wielką nadwrażliwością psychiczną, niespokojny i szybki. Myślano, że właśnie tacy tylko potrafią sprostać dramatycznym wydarzeniom w pozaziemskich warunkach.

I w ZSRR, i w USA przeprowadzono jednak, przed wysłaniem ludzi w przestrzeń, mnóstwo prób i badań. Wykazały one coś wręcz przeciwnego. Do lotów kosmicznych potrzeba jednostek systematycznych i opanowanych przede wszystkim, a takimi bywają ludzie reagujący wolniej, mniej podatni od innych na zmienność otoczenia, na jego nieraz drastyczne niespodzianki. Takich się więc dobiera. Mimo jednak swej rzeczowości i opanowania podróżnicy kosmiczni wcale nie są wolni od emocji, poddają się falom uczuciowości i to bywa silniejsze niż wszystko inne.
Za bardzo charakterystyczne w tym względzie uważam wyznanie kosmonauty radzieckiego G.M. Greczki, który w wywiadzie prasowym tak oto mówi: „W naszej stacji orbitalnej rósł groch. I proszę sobie wyobrazić, że ja często podlatywałem sobie ku tej roślince tylko po to, żeby na nią spojrzeć rozmiłowanym wzrokiem. Bo cztery pędy grochu stawały się dla nas, kosmonautów, całym gajem, co tam gajem, borem prawdziwie ziemskim. I także to jeszcze chciałbym powiedzieć, że od czasu lotu mocniej niż uprzednio reaguję na muzykę. Przedtem też sprawiała mi przyjemność. Pokochałem ją dopiero po powrocie z przestrzeni kosmicznej".

Jakże pełna romantyzmu, a zarazem niezwykłej szczerości jest ta wypowiedź człowieka nauk ścisłych, przygotowywanego długo żmudnymi treningami do ogromnych niebezpieczeństw – do zawodu kosmonauty. Ale treningi i ścisłość nie są w stanie uczynić z człowieka nieczułej machiny, istoty, która by zapomniała o ziemskości, o uczuciach. Zachętą do uprawiania kosmonautyki była dla radzieckich i amerykańskich zdobywców przestrzeni kosmicznej – fantastyka. Pełna emocji i romantyzmu science fiction. „Bez tej literatury – zwierzał się Greczko – zostalibyśmy pewnie tylko inżynierami. Nie zabralibyśmy się do tworzenia techniki kosmicznej. Na wyjście człowieka w kosmos pracowali najpierw marzyciele, potem fantaści, następnie teoretycy. Cel osiągnęli dopiero ci, którzy dzięki warunkom technicznym i ekonomicznym potrafili urzeczywistnić marzenie i fantazję. Dziewięćdziesiąt procent wszystkich nowości naukowych (są takie wyliczenia) realizuje jedynie dziesiąta część wszystkich pracowników nauki. Taka jest rola w nauce i technice jednostki twórczej..."

Mimo specjalnego doboru, wyjeżdżający w przestrzeń eksploratorzy myślą ciągle, a może przede wszystkim, o ziemskich sprawach i żyją swoim ziemskim życiem. Nasz rodak z pochodzenia – Karol Bobko – z zawodu kosmonauta, który podczas eksperymentu Sojuz-Apollo pracował w ośrodku łączności naziemnej, także na czoło swoich problemów, w wywiadzie jaki z nim przeprowadzałem, wysunął uczucia zwyczajne, ziemskie: „Poza kosmodromem nie mam żadnego specjalnego reżimu. Jadam co mi żona ugotuje, kondycję ćwiczę na zwykłych ścieżkach zdrowia. Właściwie ćwiczymy razem, bo i moja żona rankami wychodzi ze mną pobiegać. A po zajęciach lubię majsterkować w drzewie".

Zwyczajne życie – niezwykłych ludzi. Pełne ludzkich emocji i nostalgii, tęsknoty do tego co ziemskie, co swojskie. I współczesna fantastyka jest pełna tej prawdy o ludziach, którzy za żadne skarby nie chcą stracić autentycznej ziemskości. Proszę uważnie wczytać się w prezentowaną Państwu w tym numerze opowieść znanego pisarza SF – Zelaznego – i przeanalizować doznania wyrzutka społeczeństwa i bandziora – bohatera beznadziejnej wyprawy na ratunek z lekarstwami do jednej z nielicznych oaz życia w zrujnowanym naszym świecie.

Ileż w tym fantastycznym westernie prostej ludzkiej miłości do tego świata, w którym żyjemy! Nawet w całkowicie innym w nastroju i w fakturze opowiadaniu zatytułowanym „Hałas" widać wyraźnie jak w wizji świata niby zupełnie odmiennego od naszego ani bohater, ani jego twórca nie są w stanie uwolnić się od ziemskich stereotypów. Niełatwo tej codziennej zwykłości się pozbyć, zmienić ją. Przeinaczyć. Nawiasem mówiąc z nurtu ukochania własnego, ziemskiego domu wywodzą swój rodowód katastrofiści SF. Nieprzyjemną próbką tego rodzaju twórczości jest w tym numerze nowela Terry Carra „Ozymandias". Osobiście nie przepadam za tak skrajnym „memento". Całkiem inny klimat stwarza natomiast czytanie przewrotnego thrillera Andrzeja Krzepkowskiego. Tekst jest zręcznie i żywo napisany, zakończenie zaskakujące, jak przystało na tego typu gatunek prozy.

Dużą wagę przykładamy, także i w tym numerze, jak i w poprzednich, do rubryki „Lądowanie", będącej rozmową z naszymi ziemskimi Czytelnikami. Niepokoi nas tylko ogromnie niemożliwość spełnienia jednego z podstawowych życzeń, zawartych w licznych listach. Po prostu nie mamy żadnej szansy na wysyłanie brakujących Czytelnikom egzemplarzy naszego pisma. Pierwszy i drugi numer są całkowicie wyczerpane!!! I nie możemy na to nic poradzić, proszę nam więc wybaczyć.

Spotkamy się znowu na orbicie „Fantastyki" za miesiąc.

– 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK **Fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2, tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.)
Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Marek Zalejski
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty:
● **dla zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.
● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603,
● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:
● od prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" do 31 maja 1983 na III kwartał i II półrocze br. oraz do 31 sierpnia 1983 r. na IV kwartał br.
● od instytucji, zakładów pracy i prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych na wsi i w małych miasteczkach do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.
Druk i oprawa P.Z.Graf. RSW Łódź. Zam. 1157/83 r. N. 150 000 egz. M-6

OZYMANDIAS

(Ozymandias)

Terry Carr

Wyszli ze świetlaków wyjąc i podskakując, śmiejąc się i popychając, wyśpiewując w ciemność nocy monotonną, niemelodyjną pieśń. Przeszli obok kamiennych płyt, dwukrotnie je okrążyli i, ciągle chichocząc i podśpiewując, wyciągnęli się w zygzakowatą linię, która, jak wąż, zaczęła wpełzać na wzgórze. Przejście od płyt do granicy zajęło im dziesięć minut. Dla chodziarza było to tylko 50 kroków, ale oni nie byli chodziarzami - byli okradaczami i mieli prawa, którym musieli być posłuszni.

Sooleyrah szedł na czele. Był najlepszym wśród nich tancerzem - najszybszym, najlepiej się poruszającym i, co ważniejsze, najbardziej pomysłowym. Każde podejście do krypt musiało się różnić od poprzedniego. Jako drugi w linii zawsze szedł wypatrywacz. Jeżeli zauważył układ taneczny, który wydał mu się znajomy, miał obowiązek pchnąć lidera, kopnąć, podstawić mu nogę lub uczynić cokolwiek, co byłoby konieczne, by wymusić zmianę rytmu czy kierunku. Wyprawy, w czasie których lider wymyślił wystarczającą ilość nowych wariacji, a wypatrywacz był pewien, że nie ma w nich powtórek z przeszłości, kończyły się sukcesem. Gdy jednak liderowi lub wypatrywaczowi coś się nie udało, zawsze ktoś ginął - od gazu, w eksplozji, a czasem nawet od dźwięku-bez-dźwięku. Sooleyrah był dzisiaj w dobrej formie i nawet Kreech, wypatrywacz, musiał to przyznać.

- Nieważne, całkiem nieważne - powiedział Kreech. - Idziesz dobrze, idziesz źle, bez różnicy.

Potoczył się w ślad za Sooleyrahem. Małe dzwoneczki, które nosił w kieszeni podartej koszuli, zadźwięczały głucho.

- Słyszałeś, tak, słyszałeś co powiedział, bez różnicy.

- Gówno prawda - zaśpiewał Sooleyrah. - Pieprzony grubas, gówno wie.

Zatrzymał się i spojrzał wstecz, na ciągnącą po stoku linię. Grubas szedł niedaleko za nimi, dysząc ciężko z wysiłku, próbując nadążyć za tempem tańca. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że nie był do tego przyzwyczajony. Szara tunika pokryła się plamami potu, zlepione włosy zwisały strąkami na czoło.

Kreech zatrzymał się, odwrócił, spojrzał w dół. To samo zrobił następny mężczyzna z linii, i następny, i tak dalej, aż odwrócił się



Mateusz Stryjecki

ten, który szedł przed grubasem. Grubas wyraźnie przestraszył się, potem się zorientował i spojrzał do tyłu.

Sooleyrah zaśmiał się znowu i wrócił do swego tańca.

- Pieprzony grubas i tak niedobry - zaśpiewał. - Niedobry, nic nie wie, niedobry, nic nie wie.

Sam jesteś pieprzony - powiedział Kreech. Grubas jest niemal-myślakiem. Pieprzone niemal.

Sooleyrah parsknął lekceważąco i wykonał serię szczególnie trudnych skoków, głównie z myślą o pognębieniu tego niemal-myślaka tam z tyłu.

- Pieprzone niemal tak dobre jak nigdzie, nigdzie - zaśpiewał. - Te myślaki teraz nigdzie, nigdzie. Trupy.

- Poza grubasem - powiedział Kreech.

- Gówno grubas - zdenerwowany Sooleyrah wypadł z rytmu pieśni. - Grubas nie wie, ale ty wiesz, ja wiem. Krypty są ciągle tam, tam! - wskazał na wzgórze. - co grubas wie? Więc tańczymy, śpiewamy, ostrożnie, cholernie ostrożnie.

- Dobrze idziesz - śpiewał - dobrze, dobrze, dobrze idziesz.

Popchnął lidera, ale tylko dla zabawy i, tańcząc wokoło czekał aż ten się podniesie i pójdzie dalej.

- Łatwo, tak, łatwo - śpiewał Sooleyrah. - Łatwo pchnąć lidera. Bez powodu, pieprzonego powodu.

Zrobił dwa kroki do tyłu i okręcił się, muskając wyrzuconą wysoko nogą szczękę Kreecha.

- Powód, powód na następny raz - zaśpiewał i wybuchnął śmiechem.

Z tyłu, za nim, Kreech wykonał obrót i mignął nogą przed twarzą następnego w linii. Roześmiał się. Mężczyzna, idący za Kreechem zrobił to samo i tak kopniak i śmiech wędrowały wzdłuż linii, aż do idącego na końcu. Sooleyrah podskoczył trzy razy, upadł i potoczył się w górę, w stronę widocznych na tle nocnego nieba krypt.

Byli już w połowie drogi na szczyt wzgórza. Pod nimi blask świetlaków ginął w pokrywającej dolinę jasnej mgle, z której tylko tu i ówdzie wychylały się w nocne niebo szkielety budowli.

Z każdym krokiem w górę stoku ciemność rosła i gęstniała. Krypty odcinały się z tła słabego, rozproszonego światła gwiazd masywnymi, czarnymi sylwetkami. Zajmowały cały wierzchołek wzgórza. Większość z nich była zniszczona, rozpadająca się – rezultat setek lat wypraw okradaczy z doliny. Te, które ciągle jeszcze stały, były całkiem puste – tak w każdym razie twierdziły myślaki.

Sooleyrah nie wierzył myślakom – zawsze były jakieś krypty, które można było otworzyć. Zawsze były i zawsze będą. Pieprzoną głupotą jest twierdzenie, że ich nie było, albo nie będzie.

Jeżeli wszystkie krypty stałyby się puste, nie byłoby więcej świecących pudełek, zabawek ani narzędzi, które mogłyby zastąpić te zużyte lub połamane, albo te, które się znudziły i zostały wyrzucone. Nie byłoby samośpiewów ani obrazków, ani żadnej z tych rzeczy, które zastały tu zgromadzone dla ludzi z doliny. To byłoby niesłychane, nie do pomyślenia i Sooleyrah nie mógł sobie tego wyobrazić. Więc tańczył, podążając w górę, rzucając się w lewo i w prawo, tocząc się i pełzając, śmiejąc się bez przyczyny, a za nim pozostali, jeden po drugim powtarzali jego ruchy, tańczyli i skakali, byli echem jego śmiechu, spływającym w dół, wzdłuż pnącej się ku kryptom linii.

Lasten, grubas był przestraszony. Nigdy przedtem nie uczestniczył w wyprawie, ani też nie był do niej przygotowany. Wiedział, że lada moment może popełnić jakąś straszną omyłkę i wtedy inni rzucą się na niego. A jeżeli nawet uda się im dotrzeć do krypt bez kłopotów, to na pewno będzie to Noc Nieśmiertelnych.

„Prawdopodobnie gaz albo dźwięk-bez-dźwięku" – pomyślał. „Nie tak straszne są oślepiacze – można potem wrócić jeszcze w dolinę. Ale to będzie coś, co mnie zabije, na pewno" No cóż, i tak miał szczęście, że żyje – wszystkie myślaki zostały zabite ubiegłej nocy. Zmasakrowali ich okradacze – ustawili na centralnym placu i ukamienowali. Lasten zadrżał – och, te wrzaski, ta panika, ci nieliczni, którzy powłócząc potłuczonymi nogami usiłowali uciec. Czuł do siebie nienawiść za tchórzostwo, za to, że się schował w jakiejś nieużywanej piwnicy. I tak słyszał wszystko, co się działo, widział nawet kilka najgorszych, najbardziej okrutnych scen. Wdzierały się do jego mózgu płynącymi od myślaków falami przerażenia oraz, chwilami, uniesienia i obłąkanym szałem zabijania, który opanował okradaczy. Lasten, grubas, czuł to wszystko, był wyrodkiem, jednym z dziesięciu procent rodzących się w każdym pokoleniu mutantów. Niektórzy przychodzili na świat bez stóp, albo z dodatkowymi palcami. To byli ci zwykli, którzy mogli żyć równie łatwo jak wszyscy normalni. Przyjmowali dziesiątą część łupów od jarmarcznych złodziei za dostarczone im wiadomości i plotki. Zbierali je, włącząc się tam i z powrotem, w pokrywającym targowiska kurzu. Inni rodzili się umierający, albo już martwi, z galaretowatą czaszką lub sercem zbyt małym, aby podtrzymać życie. A tylko niewielu miało dodatkową, nie występującą u nikogo innego, cechę – nie po prostu jeszcze jedną parę rąk lub groteskowo olbrzymie części intymne (jak Kreech, jak Kreech), ale prawdziwy talent. Na przykład ojciec Lastena miał talent do liczb – mógł zapamiętać ile sezonów wcześniej zaszło jakieś wydarzenie, albo jak często coś się zdarzyło podczas jego życia, albo nawet składać w głowie jedne liczby, by uzyskać inne. A Sooleyrah utrzymywał, że ma gdzieś w mózgu takie miejsce, które pozwalało mu zawsze utrzymać równowagę. Dlatego jest takim dobrym tancerzem.

Lasten słyszał ludzkie umysły. Nie myśli – ludzie nie mają wewnątrz myśli – Lasten słyszał emocje i pojawiające się w mózgu obrazy. Czerwoną nienawiść, gotującą się i wybuchającą, czasami czysty strach, biało-niebieski, fantazje seksualne, odbijające się w jego głowie i burzące spokój. Wizje przychodziły nieproszone. Jeżeli były, jak ostatniej nocy, naprawdę silne, nie mógł się przed nimi zamknąć. Krew, ciemna krew na ziemi, krew bluzgająca ze strzaskanych czaszek, smuga czerwieni, znacząca drogę kogoś, kto chciał wczołgać się w bezpieczne miejsce. I krzyki – Lasten słyszał wycie morderców i jęki zabijanych, a potem, kiedy się to skończyło, ocknął się skulony w kącie, z gardłem zdartym od wrzasku. Płakał.
To wszystko było niepotrzebne. Nie zabiliby go jeszcze – nie był myślakiem.

„Tak, tylko myślaki są zabijane, tylko oficjalne myślaki. Głupi okradacze nie wiedzą, że ja też jestem myślakiem, tylko jeszcze nie zostałem wprowadzony. Głupi okradacze nie znają tego trzykroć pieprzonego faktu".

Próbując wykonać podskok z obrotem potknął się o własne stopy i runął na ziemię. Pomyślał, że tak zostanie, leżąc – niech linia go minie, a on będzie leżał i odpoczywał. Ale następny w linii kopnął go mocno, potem jeszcze raz, i znowu, i Lasten jęcząc z wysiłku, podniósł się na nogi. Wiedział, że z tej wyprawy nie wróci żywy. Prawdopodobnie nikt nie wróci żywy.

„Powinienem próbować uciec, odtoczyć się w ciemności, gdzie mnie nie będą mogli zauważyć. Może po prostu pójdą dalej. Nie mogą się zatrzymać, by mnie szukać, nie mogą. Cała linia musi trzymać rytm, bo inaczej podejście się nie uda, musi tak być. Pieprzeni, głupi okradacze".

Nie był jednak dostatecznie szybki, by zniknąć z zasięgu ich wzroku, zanim go złapią i wciągną z powrotem do szeregu. Wiedział o tym. Tak, pieprzeni głupi okradacze mają zamiar dać się zabić, wysadzić w powietrze, spalić – a grubas myślak Lasten musiał dać się zabić razem z nimi, bo nie mógł uciec.

– Grubas upadł – zaśmiał się Kreech, podnosząc, za przykładem Sooleyraha, nogi wysoko, jak najwyżej. – Diapell przykopał mu, przykopał, grubas wstał.
Sooleyrah zatrzymał się i spojrzał ze złością w dół. Grubas był już z powrotem w linii, niezdarnie starając się naśladować ruchy innych.
– Grubas przeszkadza mi w podejściu, zabiję go, zatłukę go kamieniami, kamieniami, zatłukę go – nucił. – Zrobię go myślakiem, jak resztę, jak resztę. Każdy myślak niedobry.
Okręcił się i zrobił kilka łatwych podskoków.

– Mówiłem zostawić go, zostawić – zaśpiewał Kreech, skacząc za Sooleyrahem. – Niedobry tancerz, masz rację, cholerną rację. Niedobrze dla reszty.
– Grubas tańczy dobrze, ale ja zatłukę go kamieniami – powiedział Sooleyrah.

– Nikogo nie zatłuczesz jak też będziesz trup. Niedobry tancerz, niedobre podejście, niedobrze w kryptach. Będziemy trupami, przez grubasa, pieprzonego.

Sooleyrah zwolnił tempo tańca jeszcze bardziej. Zakołysał biodrami, zachichotał i wybuchnął wysokim, piskliwym śmiechem.
– Idę wolno, idę łatwo dla grubasa. Idę łatwo, on nadąży, my dojdziemy do krypt, nie będzie śmierci. Kręcę dupą, kręcę, to rodzaj tańca, grubas tańczy i tak, zawsze – znów zachichotał. – Będzie pewność, że dziś nie ma śmierci w kryptach, grubas zobaczy, krypty są tam, ciągle. Sam zobaczy, jak zawsze tak, jak zawsze...
Kreech skoczył naprzód i zamachnął się, by kopnąć go w kostkę. Ich nogi splątały się i obaj runęli na ziemię. Sooleyrah przetoczył się i wstał niemal natychmiast. Potężniejsze ciało Kreecha uderzyło ciężko o trawę, ale i on podniósł się, mamrocząc pod nosem.
– Źle szedłeś tam – zaśpiewał. – Za bardzo tak samo, idziesz źle, idziesz wszawo. Trzeba iść dobrze, Sooleyrah, iść dobrze. Idź dobrze.
Następny w linii podskoczył do Kreecha, chciał go kopnąć i obaj zwalili się na ziemię. Sooleyrah zachłysnął się śmiechem i zatańczył dalej, w górę stoku.
– Dziś idź dobrze, tak – zaśpiewał. – Niech grubas myślak zobaczy, potem jutro, jutro kamieniami go, tak.

Wszystko było takie niepotrzebne, takie bezsensowne. Lasten sapał i pocił się, starając się nadążyć za ruchami mężczyzny, który szedł przed nim, dokładnie powtórzyć każdy jego gest, każdy

Terry CARR

urodził się w 1937 r. w małej wiosce w stanie Oregon. Jako nastolatek nawiązał współpracę z amerykańskim fandomem publikując artykuły na tematy naukowe w fanzinach i zestawiając amatorskie antologie. Zadebiutował w 1950 r. artykułem popularnonaukowym opublikowanym w „Rhodomagnetic Digest". Późniejsze próby literackie Terry Carra nie znalazły uznania wydawców aż do 1961 roku, kiedy to jako pracownik Scott Meredith Literary Agency opublikował swój pierwszy ogłoszony drukiem utwór na łamach „Magazine of Fantasy and Science Fiction". Znany z popierania młodych talentów Donald A. Wollheim zaproponował mu wówczas pracę asystenta redaktora w wydawnictwie Ace Books, powierzając mu prowadzenie serii książkowej Ace SF Specials. W roku 1966 Carr opublikował pierwszą antologię **„Science Fiction for People who Hate Science Fiction"** i od tego czasu zaczął funkcjonować na amerykańskim rynku głównie jako autor antologii propagujących dorobek rodzimej SF.
W 1971 roku Carr opuszcza Ace Books i rozpoczyna wydawanie własnej serii książkowej „Universe". Poza tym współpracuje z DAW Books jako autor rocznika **„The Best of the Year"**. Dopiero w 1978 roku Carr zaprezentował się jako samodzielny autor publikując życzliwie przez krytykę przyjętą powieść **„Cirque"**.

krok, obrót czy podskok. Niepotrzebne, bezsensowne. I tak nie miało to znaczenia. Cały ten rytuał podchodzenia tańcząc, to podśpiewywanie, lider i wypatrywacz – wszystko to nie było konieczne. Okradacze za każdym razem, gdy wyprawa kończyła się sukcesem myśleli, że za pomocą sztuki tańca przełamali tabu, że w przeciwnym wypadku byliby zagazowani, oślepieni, zabici. Niebezpieczeństwo i śmierć – to pas obrony Nieśmiertelnych, przez który wyprawa musiała czasami przechodzić. Nie miało to nic wspólnego z tańcem i obrzędami.

„Tak, tańcz dobrze i wejdziesz, albo tańcz źle i będziesz trupem. Głupota, głupota".

Wszyscy bliscy Lastena byli myślakami – tymi, którzy chronili starą wiedzę i umiejętności – w każdym razie to, co z nich zostało. Wiedzieli, że krypt nie strzegą zaklęcia, demony ani magiczne prawa, oceniające taneczne kroki pokoleń okradaczy. Nie, krypty były strzeżone przez Nieśmiertelnych sposobami, których nie znały już nawet myślaki. Ale to nie była magia. Każdą kryptę otaczały ukryte oczy. Strzegły do niej dostępu, posługując się gazem, wybuchami albo dźwiękiem-bez-dźwięku czy oślepiającym światłem. To była broń, która miała nie dopuścić do krypt nieproszonych gości.

Świat, który stworzył krypty, już nie istniał, zniszczony przez wybuchy i gazy tak potężne, że zabiły większość Nieśmiertelnych. Krzyczeli i umierali, krzyczeli i umierali, aż została tylko garstka, przedzierająca się przez ruiny, z kobietami, rodzącymi dziwne dzieci, z oczami wypalanymi przez świetlaki, które pojawiły się i pokryły wszystkie niżej położone miejsca.

Każdej wiosny, gdy tylko skończyło się topnienie, ludzie z doliny urządzali uroczystość poświęconą pamięci tych wydarzeń, podczas której myślaki opowiadały ich historię.

Sooleyrah dotarł do bram. Słyszał, że kiedyś stał tu mocny mur, ale teraz zostało tylko okalające wierzchołek pasmo gruzów. Mur został kompletnie zdewastowany przez pokolenia okradaczy, którzy rozbierali go gołymi rękami, kamień po kamieniu, rozrzucając wokół szczątki. Stały jeszcze tylko bramy, dwie stalowe konstrukcje, wyszczerbione i zżarte przez rdzę. Nocny mech wpełznął na nie, przykrywając je do połowy ciemną, zieloną szczeciną. Wokół czaiła się cisza.

– Dobra, wchodzimy – zaśpiewał Sooleyrah. – Wchodzimy, hej, my wchodzimy, teraz!

Zatańczył naprzód tak szybko, jak tylko mógł – słyszał, że wielu okradaczy zostało tu zabitych, nie pamiętał jednak, by w czasie jego życia zdarzył się taki wypadek. Po drugiej stronie, wewnątrz, zatrzymał się, drobiąc nogami w miejscu i wysokim głosem nucąc jakąś pieśń, podczas gdy Kreech i jeden, dwóch, trzech mężczyzn weszło za nim.

– Teraz my w środku – powiedział cicho do Kreecha i obaj odwrócili się, by spojrzeć na krypty. Za nimi, tańcząc, wchodziła reszta. Mężczyźni zwalniali i zatrzymywali się, jak Sooleyrah i Kreech, ciężko dysząc i rozglądając się wokół.

– Która? – spytał Kreech. – Byłeś tu trzy, teraz cztery razy. Do której wchodzimy?

Sooleyrah zmrużył oczy, przyglądając się kryptom. Miały różne rozmiary i kształty, niektóre były wysokie jak obeliski, inne kopulaste, jeszcze inne dziwnie kanciaste. Sooleyrah zawsze bał się krypt. Jeżeli nawet nie były niebezpieczne, ich rozmiary budziły w nim strach.

– Świecące pudełka są w kryptach dla nas, nie ma innego powodu, co? – powiedział do Kreecha. – I samośpiewy, i narzędzia, niektóre zabawki pewnie też, dużo kształtów, co? Wsadź je do świecących pudełek i chodzą, tak, one chodzą. Dla kogo jak nie dla nas? Co, Kreech, dla kogo jeszcze?

– Dla nikogo – powiedział Kreech. – Jak nie my, nikt nie weźmie.

– Tak, tak, nikt.

Sooleyrah odwrócił się powoli w ciemności, w wiszącej nad wzgórzem i kryptami ciszy. Spojrzał do tyłu, na stok wzgórza i zobaczył szereg przechodzący przez bramy, które zdawały się teraz prowadzić na zewnątrz, w dół, z powrotem ku zamglonej dolinie. Zobaczył przechodzącego przez bramę, sapiącego i potykającego się Lastena i uśmiechnął się szeroko.

– Hej, grubas Lasten może wybrać dla nas kryptę. Niemal-myślak mówi, że wszystkie puste. Gówno wie. Pamiętasz co mówiła reszta? Reszta myślaków? Mówiła, że mogą pamiętać ile krypt było, pamiętać które użyte, mówiła, że teraz wszystkie puste. Pamiętasz? Co? Pieprzone głupie myślaki oszukiwały nas, długo. Pchały nas tu w górę zamiast same iść, pchały nas ryzykować, mówiły tylko w którą kryptę iść, co? O tak, sprytne myślaki, a teraz wszystkie są trupy.



Mateusz Stryjecki

Kreech kopnął luźno leżący kamień. Kryły się pod nim świecące blado, pełzające żyjątka, które teraz pozwijały się w pierścienie i szybko zakopały w ziemię.

– Tak, zawsze nienawidziłem myślaków – powiedział Kreech. – Zawsze wiedziałem, że to kłamcy. Wszyscy wiedzieli, nie? Tak, dobrze, weź Lastena tutaj, niech wybiera naszą kryptę dzisiaj.

– Tak, daj go tu – powiedział Sooleyrah i, tknięty nową myślą, dodał:

– Lasten wybierze naszą kryptę i pierwszy wejdzie. Pierwszy wejdzie. Honorowe miejsce, nie? – zaśmiał się.

– Pierwszy co wejdzie będzie trup, jeśli podejście nie było dobre. Tak, honorowe miejsce – powiedział Kreech.

– Grubas tego potrzebuje. Daj go tu.

Gdy przyszli po niego Lasten zaczął się bać jeszcze bardziej. Po co jest im potrzebny teraz, kiedy już przeszli przez bramy i są u wejścia do samych krypt? Chyba nie zabiją go tutaj, na milczącym szczycie wzgórza? Czego chcą, czego chcą? (Może chcą wrócić do składania ofiar z ludzi przed kryptami. Niee...) Ale uczucia, które wyłowił z mózgu lidera, gdy został do niego doprowadzony, nie miały w sobie nic morderczego. Była nienawiść, tak, ale dominowało oczekiwanie i zadowolenie. Ale nie chęć zabijania, nie, nic tak wyraźnego.

– Hej, Lasten, ty jesteś niemal-myślak, tak? – powiedział Sooleyrah i jego głos był miękki, niemal przyjacielski. Ale nie jego jaźń.

– Nie byłem wprowadzony – powiedział Lasten ostrożnie.

– Tak, wiemy. Dobra, ale ty wiesz wiele rzeczy, co? Wiesz dużo o kryptach, słyszeliśmy, które są niebezpieczne, które może puste. Nie wszystkie są puste, Lasten, nie wszystkie. Ty niemal myślak, ty niegłupi, co?

– Myślaki powiedziały ci, że one są puste – powiedział Lasten – więc zabiliście myślaki. Jeśli teraz tak mówisz, zabijecie mnie.

Sooleyrah, patrząc na Kreecha, uśmiechnął się szeroko.

– Nie, nie, ty niegłupi. Dobra, do której krypty mamy wejść?
Lastenowi przeszły ciarki po plecach.
– Chcesz żebym wybrał kryptę? – spytał. – Dlaczego ja? Dlaczego, Sooleyrah?
Sooleyrah zaśmiał się, zadowolony z siebie.
– Ja gówno wiem którą kryptę wybrać. Myślaki zawsze to robiły, zawsze. Nie ma już myślaków, ale mamy ciebie. Ty wybieraj.
„Więc ja mam wybrać – a jeśli krypta będzie pusta, to moja wina, nie Sooleyraha. A może Sooleyrah nie zna się wcale na kryptach, co?
– Boisz się wybrać samemu, co, Sooleyrah? Boisz się nie znaleźć krypty z tymi waszymi ładnymi rzeczami, co? Tak, przestraszony jesteś, przestraszony.
Nie powinien był tego mówić. Sooleyrah skoczył naprzód, złapał jego rękę i, boleśnie ściskając miękkie ciało, wykręcił do tyłu. Lasten wrzasnął z bólu i zaczął się rzucać, starając się wyzwolić z uchwytu, ale Sooleyrah mocno trzymał.
– Nie przestraszony, grubasie. Nie przestraszony, tylko mądry. Myślaki wiedziały o kryptach, nauczyły cię, co? Tak, grubasie, tak, my wiemy. Potem myślaki mówiły, że wszystkie krypty puste, że nie trzeba robić więcej wypraw, co? Co? Hej, może myślaki mają tu coś i nie chcą, żeby to znaleźć, co? Okradacze nie są głupi, Lasten, i Sooleyrah też niegłupi. Ty wybierz kryptę, ty! I lepiej, żeby nie była pusta!
„Albo od razu ukamienują mnie tu, na miejscu" – pomyślał Lasten, czytając mocne postanowienie w umyśle Sooleyraha. „Jedyny sposób dla Sooleyraha na zachowanie twarzy po nieudanej wyprawie. O tak, okradaczom będzie się podobać następne kamienowanie, szczególnie tutaj, w tym magicznym miejscu. Magia i śmierć, o tak, będą zachwyceni".
– I ty wejdziesz do krypty pierwszy, Lasten – powiedział z radosną złośliwością Kreech. – Jasne, ty, Lasten, honorowe miejsce dla ciebie.
„Zabójcze miejsce" – pomyślał Lasten. „Och wy głupi, pieprzeni okradacze, wszawi zabobonni mordercy..."
– Która, Lasten? – spytał Sooleyrah, wykręcając mu mocniej ramię. – Która?
Lasten, niemal-myślak, nagle się roześmiał.
– Tak, dobra – powiedział i znów zachichotał, zupełnie jak Sooleyrah czy Kreech, tylko nieco wyżej, cieniej. – Dobra, tak, dobra, dobra...
Sooleyrah puścił ramię i odsunął się.
– Weź nas do pustej krypty, a nie będziesz się śmiał – ostrzegł.
– Tak, tak, wiem – powiedział Lasten, starając się opanować chichot. To nie było wcale takie śmieszne, to w ogóle nie było śmieszne.
– Ta – pokazał na najbliższą kryptę. – Idziemy do tej.
Sooleyrah i Kreech otworzyli usta ze zdumienia.
– Właśnie ta? Grubasie, ty zwariowałeś? Nic nie ma w tej krypcie, nic w niej, od zanim ty i ja się urodziliśmy.
– Hej tak, pierwsza opróżniona była ta krypta, właśnie ta, nie wiesz tego? – powiedział Kreech.


Mateusz Stryjecki

– Jasne, wiem, jasne. Ale to jest krypta, do której dzisiaj wejdziemy. I patrzcie dobrze, liderze i wypatrywaczu, patrzcie dobrze i zobaczycie, że krypta nie jest pusta. Chcecie więcej ładnych rzeczy, zgromadzonych w kryptach, to patrzcie dziś dobrze!

Stanowczym krokiem zaczął iść w kierunku najbliższej krypty. Sooleyrah i Kreech stali chwilę, niezdecydowani, potem poszli za nim, pociągając za sobą resztę mężczyzn.

„Jasne, pieprzeni okradacze opróżnili tę kryptę jako pierwszą" – myślał Lasten. „Byli w niej tak dużo razy, że nie można zliczyć, wyczyścili ją, zabrali wszystko, co znaleźli, każdą rzecz, którą Nieśmiertelni tu schowali. Ale to znaczy, że to jest bezpieczna krypta, cała obrona wyczerpana albo spalona bardzo dawno. Nic tu nie ma, by mnie oślepić, spalić, zabić. Bezpieczna krypta, tak, ale może nie tak pusta jak myślą".

Drzwi do krypty stały otworem, prowadząc w ciemność. Lasten zażądał światła.
– Dobra, możemy iść – powiedział, gdy zbliżyli się dwaj mężczyźni z zapalonymi pochodniami w rękach. Przeszli przez szerokie drzwi – za Lastenem okradacze z pochodniami, za nimi Sooleyrah i Kreech.

Weszli do wysokiego pomieszczenia, pokrytego kurzem i odłamkami, kompletnych niegdyś, przyrządów. Jedna ze ścian była osmalona zapomnianym wybuchem. Dziura w suficie, niemal niewidoczna w migoczącym świetle pochodni, wskazywała miejsce, gdzie umieszczono, wyrwane już przez okradaczy, urządzenia oświetlające.

Sooleyrah przysunął się do Lastena.
– Nic tu nie widzę, myślaku – w jego głosie brzmiała pogróżka.
Lasten kiwnął głową, rozglądając się uważnie po krypcie.

– Widzisz tu coś, Kreech? – mówił Sooleyrah. – Ja widzę, że tu pusto, pusto jak cholera, co?
Kreech wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– O nie, nie pusto – powiedział. – Gruby myślak tu przyszedł, tu nie może być pusto. Co, gruby myślaku? Coś tu jest ukryte, tak?

Grubas ukląkł pośrodku pomieszczenia. Patrzył uważnie na podłogę, przesuwając się na kolanach, rozgarniając kurz, czasem odrzucając do tyłu większe odłamki gruzu.

– No jasne, ma coś dobrze schowane – powiedział Sooleyrah. – Hej tam, z pochodniami, tu bliżej, chodźcie bliżej!
Mężczyźni przysunęli się niechętnie. Sooleyrah złapał jednego z nich, przyciągnął i ustawił tuż obok grubasa.

– Ty też – powiedział do drugiego. Mężczyzna podszedł bliżej i wyciągnął pochodnię nad głową Lastena.
Lasten zachichotał.

– Znalazłeś, co? Co to jest, grubasie? Lepiej bądź dobry, ty wiesz to, co, grubasie? Co to? – spytał Sooleyrah.
Lasten wiedział, że Sooleyrah i inni byli przestraszeni bardziej niż to okazywali. Okradacze zawsze bali się krypt, bez względu na to, jak często je ograbiali i mimo to, że ostatnio było coraz mniej, spowodowanych przez systemy obronne, przypadków śmierci i okaleczeń.

„Okradacze myślą, że to wszystko to jakieś diabelskie sztuczki. Gówno, żadnych demonów, żadnej wszawej magii. Tylko rzeczy, o których zapomnieliśmy, nawet myślaki zapomniały. Ale ja wiem o kryptach jedną rzecz, której Sooleyrah nie wie".

Lasten podniósł się, rozejrzał wokół i zatrzymał wzrok na południowej ścianie. Wisiała na niej metalowa płyta, pokryta napisami – diabelskimi znakami, jak je nazwali okradacze – jeszcze jeden z czarów, których trzeba się bać.

Lasten nie potrafił tych znaków przeczytać, ale wiedział, co oznaczają. Podszedł do Sooleyraha i, wskazując tablicę, powiedział:
– Zdejmijcie to ze ściany.
Sooleyrah wytrzeszczył na niego oczy.
– Zdejmijcie to ze ściany! Podważcie, użyjcie waszych noży, ale bądźcie ostrożni.
Sooleyrah wahał się przez chwilę, potem wskazał jednego z mężczyzn tłoczących się przy wejściu.
– Takker, ty. Weź nóż, rób co myślak mówi. Reszta, wy pilnujcie drzwi, myślak może uciec.
Takker niechętnie wszedł do krypty i wyciągnął nóż. Był to mocny kawał metalu, który Takker kiedyś znalazł i długo polerował aż powstało ostrze. Wsunął go pod płytę i podważył. Płyta poruszyła się.
– Tak, tajne miejsce – powiedział. – Niespodzianka dla was.
Płyta spadła na podłogę, dźwięcząc metalicznie. W ścianie ukazał



Mateusz Stryjecki

się mały otwór. Lasten podszedł i zajrzał do wewnątrz. Zobaczył małą tarczę, pokrytą krótkimi znakami – takimi, jakich Oni używali do oznaczania liczb. Zamek czasowy, ustawiony na przyszłość, na jakiś odległy dzień, gdy skończą się wojny. Ale ustawienie może być zmienione – nie ma powodu, dla którego nie mogłoby być zmienione.

Lasten przekręcił tarczę, wyraźnie słysząc w ciszy, która zawisła w krypcie, jej delikatne skrzypienie.
„Kręć, kręć, czas się zmienia. Płyną lata, lata".

Pokręcał tarczą, czekając, aż zamek czasowy się otworzy. Stał w półmroku, gdyż mężczyźni z pochodniami odsunęli się do tyłu, i czuł otaczający go ze wszystkich stron strach. Nawet Sooleyrah i Kreech przysunęli się bliżej drzwi. Potem podłoga krypty zaczęła się unosić. Jej część, dwukrotnie dłuższa od wzrostu człowieka i w połowie tak szeroka, oddzieliła się od reszty i unosiła się przy akompaniamencie szumu podziemnych maszyn.

Patrzyli, zdumieni i przerażeni, jak blok ciężkiego plastoidu wyrasta z podłogi i zatrzymuje się, górną krawędzią sięgając im niemal do ramion.

To była skrzynia o przeźroczystych bokach. Wewnątrz leżał Nieśmiertelny – albo diabeł, bóg, potwór. Był ogromny, dwukrotnie większy niż Sooleyrah czy Lasten, czy ktokolwiek z nich. Mogli to zauważyć nawet gdy leżał, nawet w migoczącym świetle pochodni.
Mechanizmy skrzyni, warcząc i poskrzypując, zaczęły budzić się do życia. Lasten widział, jak pokrywa skrzyni unosi się, poczuł zapach uciekającego ze środka stęchłego powietrza, zobaczył, że cienka wskazówka na zwróconym ku niemu bloku, przechyla się do końca umieszczonej pod nią skali. Widział, jak ciało giganta wygina się i drga konwulsyjnie, jak napinają się muskuły. Usłyszał jęk, niski i słaby, głowa potwora przetoczyła się, ukazując Lastenowi blade usta i obwisłe policzki.

Igły i przewody wyskoczyły z ciała, schowały się w ścianach skrzyni, wskaźniki uspokoiły się.
Oczy Nieśmiertelnego otworzyły się i spojrzały na nich. Bez wyrazu, puste.
„Zabije, zabije, wielki nieludzki potworny diabeł zabije nas wszystkich, zabije nas, nie, nie!"

Oczy otworzyły się szerzej i potwór znów jęknął, głęboko i głośno.
„Nienawidzi nas, zabije, zabije nas, mnie zabije, mnie, mnie, mnie, nie, nie!"
Gigant próbował usiąść. Ręce pozbawione koordynacji, pozbawione siły, drapały ściany skrzyni. Oddychał szybko, płytko, wydając ciężkie, charczące dźwięki.

Kreech wrzasnął. Rzucił się ku drzwiom i, ciągle krzycząc, zaczął się przebijać przez blokujących mu drogę, skamieniałych mężczyzn. Kilku z nich, odepchniętych, zatoczyło się do tyłu. Ocknęli się i, wrzeszcząc, pognali za Kreechem. Sooleyrah, porwany falą, również zawył i zaczął biec ku drzwiom, po chwili jednak zwolnił i zatrzymał się.
Lasten stał bez ruchu, z nogami wrośniętymi w podłogę, wypełniony obezwładniającym strachem zarówno własnym, jak i płynącym od otaczających go mężczyzn. Czerwony, dławiący strach, wypełniający gorącem żołądek, płuca...
„Zabije mnie, zabije mnie, mnie, mnie, zabiję..."

Gigant usiadł i to było potworne. Dwa razy wyższy od człowieka, jęczał i chwiał się nad nimi. I przemówił.
– Boże... och, Boże... czym wy jesteście? Czym wy jesteście?
Słaby, cienki głos. Pełen strachu.
– Pomóżcie mi... proszę, pomóżcie...

Nagle pochylił się w bok i wypadł, przetaczając się przez brzeg skrzyni i uderzając głową o podłogę. Lasten zatoczył się do tyłu. Potwór wił się, ręce szukały czegoś w powietrzu, nogami wstrząsały drgawki, ślina kapała z otwartych ust. Nagle zwiotczał i zapiszczał cicho, rozpaczliwie:
– Och, Boże, proszę...
„Zabije mnie, zabije mnie, mnie zabije, zabić, zabić" i Lasten nagle miał w rękach duży kamień, podbiegł naprzód i rzucił z całą siłą w twarz potwora. Kamień zgniótł oko. Popłynął cienki strumyczek krwi. Gigant znów zaczął wić się, jęczeć i dygotać. Lasten uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... Wrzeszczał teraz, wrzeszczał, by zagłuszyć krzyki potwora i uderzył go znowu, i znowu, i mocniej...
W końcu od ściany krypty odbijał się tylko jego własny krzyk. Potwór, Nieśmiertelny, nieludzki gigant leżał u jego stóp, cichy, zniszczony. Sooleyrah i wszyscy inni uciekli. Lasten przestał krzyczeć. Wyrzucił poplamiony czerwienią kamień i oparł się o skrzynię, patrząc na zachlapane krwią nogi i ręce.
„Żyję, ja żyję, żyję... ja, ja, żyję..."

Dopiero godzinę później Sooleyrah i Kreech, skradając się, podeszli do krypty. Przez cały ten czas wewnątrz panowała cisza. Potwór nie wyszedł, by ich złapać.
Kreech niósł pochodnię. Wyciągnął ją przed siebie, przez wejście w ciemność krypty. Zauważył demona-potwora i odskoczył do tyłu. Potem jednak zdał sobie sprawę, że potwór leży zupełnie nieruchomo, że jego głowa jest zgnieciona, otoczona kałużą krwi. Sooleyrah przepchnął się obok niego i wszedł do krypty. Zobaczył Lastena, sięgającego w głąb skrzyni, szarpiącego i wyciągającego pęk drutów, czerwonych, żółtych, niebieskich, zielonych... Lasten podniósł oczy, zauważył Sooleyraha i zachichotał.

– Chodź, Sooleyrah – powiedział. – Chodź, mały tancerzu. Nie ma już demona, by cię skrzywdził, o nie, nie ma demona, nie ma potwora. Diabeł przestraszył cię? Ale zabiłem go – JA! Nie bój się, tancerzu, nie bój się, chodź tu. Tutaj jest dużo rzeczy, och dużo. W innych kryptach też.
Wyciągnął przed siebie garść kolorowych drutów.
– Ładne?

Przełożył **Darosław J. Toruń**

■

nieskończona DROGA

(Człowiek, izmieniwszij mir)

Jurij Nikitin

My nie żebrzemy zmiłowania czasu.
My –
każdy z nas –
trzymamy w dłoniach
światów napędowe pasy!
(W. Majakowski: „Obłok w spodniach")

Kiedy ucichł ostry ryk silników, Roman podniósł głowę i rozejrzał się. Leżał w kącie sterówki wśród odłamków antyprzeciążeniowego fotela, a na całej podłodze skrzyły się drobniutkie iskierki rozbitego szkła. Wstał i mimo woli zatoczył się ku ścianie – od tego, co zobaczył zrobiło mu się czarno przed oczami. Ogromna obudowa kompleksu obliczeniowego ziała pustką. Trajektoriomierz rozbity w drobny mak. Radiostacja dalekiego zasięgu – w szczątkach. Urządzenia regeneracyjne – w proszku.

Rozległ się chrzest – zupełnie jakby szedł po kryształach gruboziarnistej soli. Spojrzał pod nogi – i skrzywił się smutno. Oto, gdzie teraz jest encyklopedia wiedzy nawigacyjnej... Białą mąką lepi się do podeszew kosmicznych butów.

Wybił zaklinowany luk, wyszedł na trap i płuca napełniły mu się rześkim, świeżym powietrzem. Nozdrza pożądliwie wchłaniały zapachy traw i niezwykłych kwiatów, wyostrzone zmysły usłużnie wskazywały kierunek, w którym znajdowało się jezioro z zieloniutkimi „kaczętami" i maleńkimi raczkami.

Statek stał na obszernej łące. Dwieście metrów dalej sterczały kępy czarnych drzew podobnych do przewodów naftowych – aż dziwnie było widzieć na tych „rurach" rozkoszny namiot z wielkich, zielonych liści.

Zszedł niżej – spod nóg wyskoczył mu, trzepocząc jaspisowymi skrzydełkami, miejscowy pasikonik, jakieś małe zwierzątko pisnęło przeraźliwie i rzuciło się pędem w kierunku pobliskiej norki. Zdążył zobaczyć tylko jego wielkie, przestraszone oczy i cienki mysi ogonek.

Człowiek uśmiechnął się gorzko. Z tyłu został popękany kadłub kosmolotu i rozbite w drobny mak nadzieje na powrót. Mimo małych rozmiarów jego gwiazdolot był o wiele bardziej złożony niż liniowce prujące przestrzeń w okolicach Układu Słonecznego. Zwiadowczy statek najwyższej klasy, owoc wieloletniej pracy tylu inżynierów i techników – cóż teraz z niego zostało?...

Podszedł do obcych, czarnych „rur" i zadarł głowę – z bliska okazały się olbrzymie. Wysoko w górze szeleściły liście, gibkie pnie kołysały się bezdźwięcznie, zupełnie jakby były z gumy. Ich wilgotne, błyszczące boki lśniły jak dopiero co wyczyszczone buty.

Nagle od strony lasu rozległy się jakieś dźwięki. Szybko odwrócił się – zza monstrualnego pęku „rur" wyszły obce, podobne do zielonych dinozaurków, istoty. Niepewnie dreptały po trawie krótkimi, tłustymi nóżkami. Z wydłużonych głów patrzyły na niego wypukłe, czerwone oczy. W jasnych źrenicach istot malowały się przestrach i niedowierzanie, zmieszane z ciekawością.

Kiedy podeszły bliżej, Roman poczuł jakby ciśnienie atmosfery podniosło się do niebezpiecznej granicy – w łagodnych oczach maleńkich dinozaurków błyszczał rozum! A dotąd nie tylko hipotetycznych Starszych Braci, lecz nawet po prostu rozumnego życia nie napotkał żaden ze zwiadowczych statków dalekiego zasięgu!

Otoczyły go popiskując; najśmielszy z nich zaryzykował dotknięcie kutej klamry u pasa skafandra. Sięgał Romanowi zaledwie do piersi.

Wkrótce dinozaurki się rozeszły. Pozostał tylko jeden, którego Roman postanowił nazywać Dinkiem. Popiskiwał i patrzył człowiekowi prosto w oczy. Potem odszedł kawałek w bok, obejrzał się i zapraszająco pisnął.

– Idę – powiedział Roman. – Cóż mi innego pozostaje? Trzeba iść. A dokąd – nieważne. Byleby tylko nie stać w miejscu...

Dinek powoli człapał po trawie, żółte błony między jego palcami komicznie rozsuwały się przy każdym kroku. Roman szedł za nim nie spiesząc się, głośno myśląc, dziwiąc się i złorzecząc. Śmierć? – zgoda, już dawno przywykł do myśli, że kiedyś może skręcić kark na tych dalekich, międzygwiezdnych szlakach. Ale żeby znaleźć rozumne życie akurat wtedy, kiedy nie można o tym nikogo zawiadomić!?

– Mówiąc szczerze mało czym mógłbym was ucieszyć. Wódki, korali i tym podobnych akcesoriów odkrywcy nie zabrałem ze sobą. Nawet waszego świątecznego stołu nie miałbym czym upiększyć. Schudłem, jak widzisz. Lot w hiperprzestrzeni każdego może wykończyć...

Wciąż mówił i mówił, żeby słyszeć ludzki głos – choćby tylko własny – żeby odgrodzić się w ten sposób od otaczającej go inności. A że Dinek nie rozumie – nie szkodzi. Roman i tak nauczy się jego mowy. Na szczęście prymitywne języki mają niewielki zasób słów, nie będzie się więc długo uczyć.

– Z mojego statku zostały marne resztki – mówił do poruszających się przed nim zielonych pleców. – A to wszystko dlatego, że dostałem się w sferę wpływów gwiazdy-pułapki. Są takie gwiazdy w kosmosie; ciążenie mają tak duże, że nawet kwanty światła nie mogą się z nich wydostać – dlatego te gwiazdy są niewidzialne. Całe paliwo zużyłem, zanim się wydostałem, na resztkach dociągnąłem do tego układu, a już wylądowałem na tej planecie Bóg wie na czym... I to jak wylądowałem! Cały statek w proszku, cud, że mnie się nic nie stało...

Dinek posuwał się wolno i Roman zdążył mu opowiedzieć o Ziemi, o jej wspaniałych ludziach, o ich jedności i o trudnościach w podboju kosmosu. Dinek wysłuchał również wykładu o niezbędności przyszłych kontaktów jego planety – nazwanej przez Romana Diksitem – z Ziemią, o przyjaźni i wzajemnym zrozumieniu, o świecie i wielkiej jedności wszystkich istot rozumnych.

Łąka zmieniła się w pas żółtego, gruboziarnistego piasku, za którym rozpościerała się spokojna toń niewielkiego, cichego jeziora. Na gorącym piasku baraszkowały dwie grube jaszczurki.

Dinozaur głośno kwaknął i jaszczurki, szurając po piasku krzywymi łapami, uciekły w kierunku zarośli. Dinek popatrzył w ślad za nimi i... spokojnie położył się na piasku, zamknąwszy z błogością oczy.

– Ej, przyjacielu – powiedział ze zdumieniem Roman. – Ja, owszem, rozumiem: różnica w sposobie życia, myślenia itd., ale po coś ty mnie tu przyprowadził?

Najmniej ze wszystkiego na świecie oczekiwał odpowiedzi, dlatego słysząc: „Możesz tu żyć. Żyj tutaj. Nie umrzesz", cofnął się, jakby ujrzał nagle przed sobą czarną sylwetkę kobry. Jak ten Dinek to zrobił? Telepatia? A może tamten jakimś cudem zorientował się w chaosie obcych słów i dźwięków, i znalazł jedyne potrzebne?

– No dobrze – powiedział, biorąc się w garść i postanawiając nie okazywać po sobie zdumienia. – Istnieć tu mogę. Ale żeby się stąd wydostać, muszę przynajmniej naprawić nadajnik. Gdybym umiał liczyć jak mózg elektronowy, to bym to mógł zrobić!

Dinek podniósł swą kaczą głowę i spojrzał uważnie na Romana. Człowiek nagle poczuł, że nie może oderwać urzeczonego wzroku od rozpłomienionych oczu dinozaurka. Całym jego ciałem owładnęła niemoc, ręce i nogi zdrętwiały, ale – rzecz dziwna – nie upadł. W ogóle nie mógł się poruszyć. Pod czaszką zrobiło mu się boleśnie gorąco, jakby po obnażonym mózgu przebiegły ogniste mrówki. Na moment zabolały go zęby – i wszystko razem minęło.

Dinek spokojnie spał na gorącym piasku, wszystkie cztery kończyny rozrzuciwszy na boki. Roman tępo patrzył przed siebie, przysłuchując się zamierającemu łoskotaniu w głębi mózgu. Czyżby zachorował? Bardzo nie w porę. Nie chciałby ginąć zbyt wcześnie – przy sprzyjających okolicznościach mógłby w ciągu jakichś dziesięciu lat obliczyć kierunek fal, zaś w poszukiwaniu detali po-

trzebnych do zbudowania nadajnika rozebrałby nawet cały statek. Ale co robić, jeśli nie potrafi pomnożyć w pamięci dwadzieścia pięć przez, dajmy na to, trzydzieści siedem? Wszystko robił za niego mózg elektronowy. Chociaż... Dziewięćset dwadzieścia pięć. Hm... A dwieście trzydzieści dwa razy sto dwadzieścia pięć? Poczuł, że włosy stają mu dęba na głowie, kiedy przed oczami błysnął wynik: dwadzieścia dziewięć tysięcy.

Spojrzał na śpiącego dinozaura i potarł drżącą ręką czoło. No, no! Po kilku minutach postanowił zrobić jeszcze jedno doświadczenie – momentalnie wyprowadził pierwiastek sześcienny z piętnastocyfrowej liczby, a potem długo pisał na piasku patykiem sprawdzając otrzymany rezultat. Kiedy i teraz wynik był poprawny, z wielkim szacunkiem i nawet z przestrachem spojrzał na Dinka. No, no!

W tym momencie wróciły obie jaszczurki z zadartymi wysoko łbami – z ich zaciśniętych pysków zwisały kiście żółtych, jakby napęczniałych słońcem owoców. Kiście upadły u stóp Romana – długo obracał owoce w rękach, wciągając w siebie ich drażniący zapach, w końcu postanowił spróbować. Smakowały. Zjadł kilka, resztę wziął ze sobą i pobiegł do gwiazdolotu. W jego głowie wciąż skakały wielocyfrowe liczby, dodawały się i mnożyły, a rezultaty pojawiały się jakby same z siebie...

Reszta dnia zeszła mu na gorączkowych obliczeniach. Nawet nie zauważył, kiedy nadeszła noc. Nad głową z opóźnieniem szczęknął ocalały przełącznik, smutno zapłonęła maleńka lampka. W otwarty luk obojętnie zaglądały obce gwiazdy. Do rana połowa obliczeń była już gotowa. Praca, na której wykonanie musiałby normalnie poświęcić kilka lat!

Straszliwie ziewając wyszedł z rakiety.

Od strony czarnych, ruropodobnych roślin szedł ku niemu przez łąkę znajomy dinozaur, razem z nim sunęła ogromna jaszczurka z kolejną kiścią owoców.

– Dziękuję – powiedział Roman. – I za te specjały, i za pomoc z obliczeniami. Gdyby tak można było nie spać, skończyłbym za parę godzin.

Dinek długo milczał, później jego kacza paszcza powoli się otworzyła:

– Ty możesz nie spać, homo.

Roman głośno ziewnął i podrapał się w kark.

– Jak? – zapytał.

– Nie śpij – padła krótka odpowiedź.

I małomówny dinozaur, straciwszy nagle wszelkie zainteresowanie dla osoby Romana, znowu popełzł w stronę gorącej plaży z żółtym piaskiem.

– Nie śpij – wymamrotał Roman. – Łatwo powiedzieć. Sami pewnie śpicie po dwadzieścia trzy godziny na dobę.

Wrócił do rakiety i znów zabrał się do obliczeń.

Nie wiedział, jak to się stało, ale cała senność mu przeszła. Od pracy oderwał się tylko dwukrotnie, żeby najeść się do syta soczystych i zdumiewająco pożywnych owoców. Został mu jeszcze do wypełnienia ostatni arkusz, gdy spostrzegł, że nie jest w stanie rozróżnić cyfr. Doba była tu krótsza niż na Ziemi i znów podkradła się noc, lecz tym razem lampka już się nie włączyła. Skończyła się rezerwa energii.

Dinozaura Roman znalazł nad jeziorem. Spał mocno. Roman przysiadł obok i długo czekał, postanawiając go nie budzić. W końcu zwarte płytki rogowe na oczach Dinka podniosły się i na Ziemianina spojrzały czerwone źrenice.

– Ciemno – powiedział Roman.

– Bardzo mało roboty zostało, ale dokończyć jej nie mogę. Nie widzę w ciemności.

– Niedługo nastąpi ranek – odrzekł dinozaur. – Wtedy wszystko zrobisz.

– Oho, niedługo! – uśmiechnął się Roman. – A co mam robić przez tych parę godzin? Gryźć paznokcie?

Dinozaur opuścił głowę, jakby bał się spotkać spojrzeniem z oczami kosmonauty.

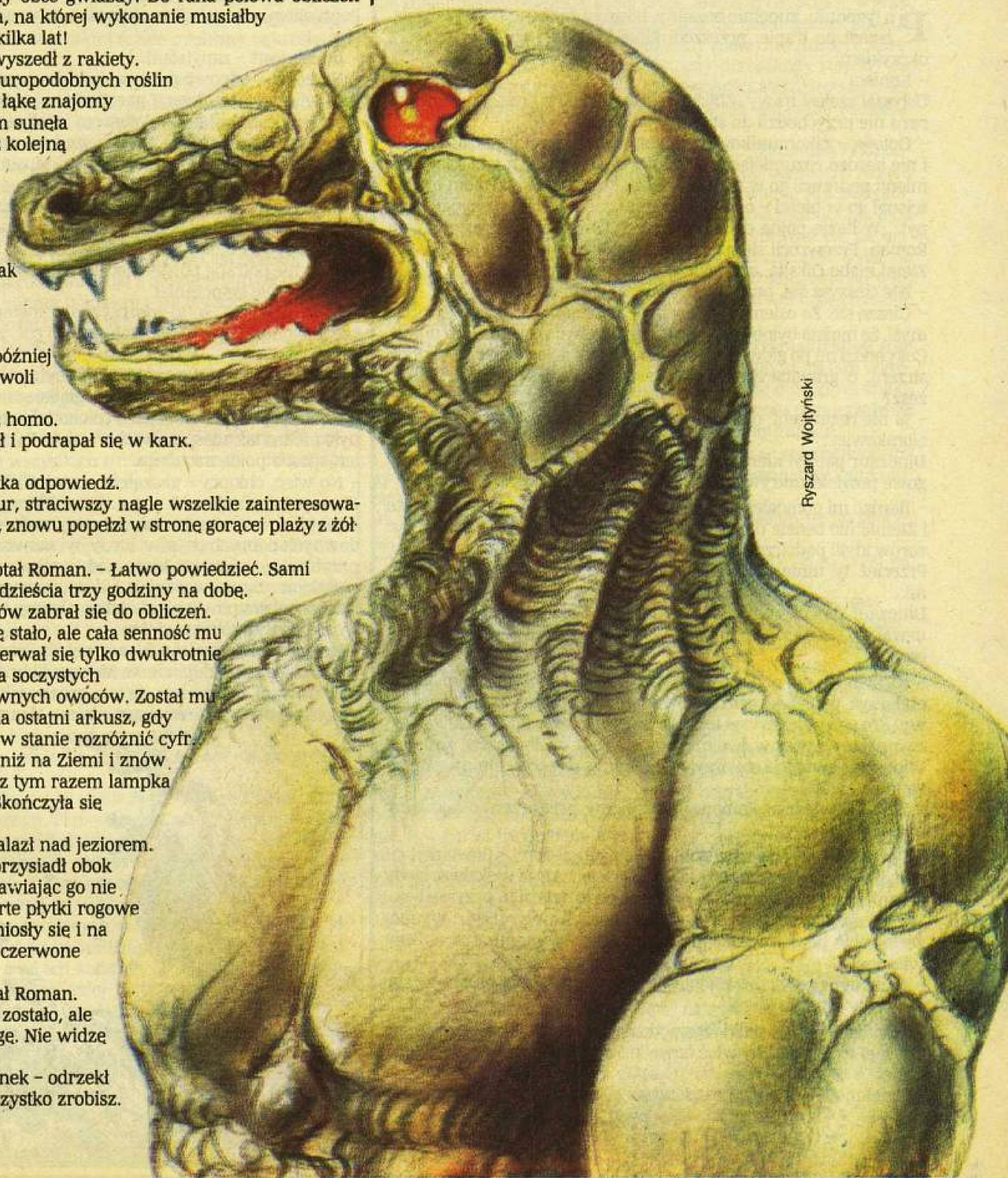
– Homo... – wyszeptał. – Homo... Idź.

Pierwsze metry Roman przeszedł w zupełnej ciemności. A potem poczuł w mózgu znajome pieczenie i mrok zaczął się rozjaśniać. Kiedy szedł teraz przez łąkę, widział wszystko – nocne kwiaty, czarne, kosmate motyle i szmaragdowe żuki. Widział w ciemności!!!

Dookoła rakiety tańczył korowód świetlików. Roman, strąciwszy lekko z trapu małego fioletowego śmiałka, wszedł do sterówki.

Do rana skończył obliczenia i zbudował z zapasowych części jednorazowy nadajnik. Energii w akumulatorach wystarczyło na krótki sygnał. Ziemia otrzyma wiadomość. A zdąży, czy nie zdąży mu pomóc – to już mało ważne.

Ale rzecz dziwna: on, znający dotąd tylko w ogólnych zarysach podstawowe zespoły statku, teraz widział każdą śrubkę, czuł każdą niedokładnie przykręconą nakrętkę i z całą pewnością mógł powiedzieć, co i gdzie dzieje się w tej chwili w całym złożonym mechanizmie silnika. I wciąż w nim krzepła, zrazu nieświadoma, pewność, że zdoła wyremontować silnik i powrócić na Ziemię.



Znalazł Dinka w tym samym miejscu. Zielonoskóry tubylec siedział na piasku z podciągniętymi ku sobie nogami i patrzył zamyślony na równą płaszczyznę jeziora.
– Słuchaj, mędrcze! – krzyknął Roman jeszcze z daleka. – Ja chcę powrócić na Ziemię! Pomóż mi wyremontować silnik...
– Spróbuję – powiedział krótko dinozaur.
Kiedy Roman, zrobiwszy kilka kroków ku statkowi, obejrzał się, Dinek już spał z rozrzuconymi na piasku zielonymi kończynami.
Wrócił do rakiety i, niewiele myśląc, wyrzucił resztki maszyny liczącej. Po co mu one, skoro on sam liczy i lepiej, i szybciej? Potem wytoczył ze sterówki i z przyjemnością zrzucił z trapu ciężki radar. Ten sam los spotkał też astrograf i resztki trajektoriometru. Droga do domu? Znajdzie ją, jak ptak odnajduje rodzinne gniazdo z odległości tysięcy kilometrów...
Czuł niejasno jakieś zmiany w organizmie. Wcześniej nawet nie marzył o zdjęciu z miejsca ochronnej pokrywy reaktora, a teraz oderwał ją jedną ręką. Ze zdumiewającą łatwością zginał stalowe pręty, gołymi rękami wyrywał grube kable, jednym uderzeniem pięści wyłamał stalowe drzwi awaryjnego reaktora.
Potem wziął się do właściwego remontu silnika, a ściślej mówiąc, do budowania go od nowa. Niektóre części zrobił na miejscu: na łące ustawił piec łukowy, często musiał się posługiwać aparatem spawalniczym, czego nie lubił jeszcze od czasu szkolnych zajęć, musiał także zsyntetyzować paliwo – na szczęście wszystkie potrzebne związki były tutaj łatwo dostępne.

Po tygodniu, zupełnie bezsilny, także i z radosnego wzruszenia, zszedł po trapie, przeszedł kilka kroków i runął w trawę z okrzykiem:
– Koniec!
Usłyszał szelest trawy. Zbliżał się Dinek, który przez ten czas ani razu nie przychodził do statku.
– Gotowe – zakomunikował mu Roman, czując jakieś skrępowanie i nie bardzo rozumiejąc jego przyczynę. Podniósł z łąki spory kamień i podrzucił go w ręce sprawdzając jego ciężar. Potem mocno ścisnął go w pięści – odłamek granitu zachrzęścił i rozsypał się w pył. „W bazie pójdę do siłomierza" – pomyślał z roztargnieniem Roman. Przewrócił się na wznak i wpatrzył się w błękitne jak na Ziemi niebo Diksita, ale nagle zachmurzył się.
– Nie cieszysz się, przybyszu? – spytał cicho dinozaur.
– Cieszę się. Za osiem miesięcy będę na Ziemi. Ale przyszło mi na myśl, że można byłoby tę samą drogę przebyć w ciągu kilku minut. Coś chodzi mi po głowie, przemykają jakieś myśli o nieciągłej przestrzeni, o grawitacyjnych wichrach... Może i w tym mi pomożesz?
– Ja nie rozumiem, o czym ty mówisz.. Zrobisz to sam, albo twoi ziomkowie...
Dinozaur patrzył nieruchomym wzrokiem gdzieś przed siebie, rogowe powieki zakrywały do połowy jego czerwone oczy.
– Bardzo mi pomogłeś – powiedział twardo Roman. – Ale wiedz, że i Ziemia nie będzie niewdzięczna. Chcę wam pomóc. Pomimo pozorów idylli podejrzewam, że u was nie wszystko jest w porządku. Przecież ty mnie obdarzyłeś tyloma cudownymi właściwościami...
Dinozaur powoli zwrócił ku niemu swą zieloną mordkę i Roman urwał, po raz pierwszy zobaczywszy ludzki smutek w nieludzkich oczach.
– Niczym cię nie obdarzyłem, Przybyszu... I niczym nie mogę cię obdarzyć, ponieważ sam nic nie mam. Nie jesteśmy tak bogaci jak wy... To wszystko było w tobie. Ja po prostu rozwiązałem kilka bezczynnych węzłów w twoim mózgu... Lecz wiele jeszcze zostało... Widocznie ewolucja stworzyła was, homo, do szczególnie ważnych zadań...
– Tak – powiedział Roman. – Pokonamy przestrzeń, osiągniemy najdalsze galaktyki...
– Powiedziałem „do szczególnie ważnych zadań" – powtórzył cicho dinozaur. – Przestrzeń i tak pokonacie... Ale ja czekałem, kiedy zaczniesz mówić o pomocy. I właśnie po to dzisiaj tu przyszedłem. My nie mamy takich rezerw, gdzieś zboczyliśmy z drogi... Wy możecie sobie pomóc waszymi potężnymi maszynami, a my... sam wiesz...
– Dziękuję – powiedział Roman. – Przyjmuję twoją prośbę i dziękuję ci w imieniu Ziemi!
Już widział wielkie statki jego potężnej Ziemi lądujące z rykiem na zielonej równinie, aby wlać nową krew w starą, zmurszałą cywilizację.
– Dziękuję! – powtórzył raz jeszcze.

Przełożył **Jacek Izworski**

■

PIERWSZA POTRZEBA

(Primera necesidad)

Carlos Maria Federici

Osiągnąłem już granice wytrzymałości i rozmyślałem o podjęciu metod wręcz drastycznych. Trzymałem w ręku pożyczone przez Willogha obcęgi i rozważałem wszystkie za i przeciw. Nie wiem, co zdarzyłoby się dalej, ale na szczęście w tym właśnie momencie przybył z wieściami Flaco.
Niemal rzuciłem się na niego.
– I co?
Uśmiechnął się, zadowolony.
– Zrobione, szefie – powiedział. – Zlokalizowaliśmy A.P.P. Może pan być spokojny.
Poprosiłem, aby usiadł na skrzyni, a sam uplasowałem się naprzeciw.
– Ilu ich jest? – zapytałem.
– No cóż... – odpowiedział po krótkim namyśle. – Jest ich sporo, jeśli wliczyć także trzech paralityków i jednego ślepca. Sądzę, że damy sobie z nimi radę, zwłaszcza jeżeli zaskoczymy ich znienacka. Na milę widać, że to nowicjusze i nie znają się na tym.
– Poradzimy sobie – potwierdziłem. Musimy sobie poradzić, pomyślałem w duchu.
– I jeszcze jedno, Flaco, ten A.P.P. to mężczyzna czy kobieta?
Wsadził rękę pod psią skórę, którą był okryty, i drapiąc się pod pachą odpowiedział:
– Tego nie potrafię powiedzieć. Wiadomość przekazał mi Sammy i nic o tym nie wspomniał.
– Mam nadzieję, że to mężczyzna – stwierdziłem. – Jeśli nie, to rzecz skomplikuje się podwójnie... No cóż, zawołaj resztę – rozkazałem.
W minutę cała męska część grupy była zebrana. Rozlokowali się jak mogli, pomiędzy gruzami, spoglądając na mnie jak psy na swego właściciela. Już wiedzieli o co chodzi, a trzech, czy też czterech było niemal tak zdesperowanych jak ja. Tym lepiej, pomyślałem, w ten sposób pójdą na całego.
– No więc, chłopcy – zacząłem – znaleźliśmy A.P.P. Obecny tutaj Flaco poinformuje was o tym. Mów, Flaco.
Postąpił do przodu, trochę pompatycznie – nie może zapomnieć dawnych dobrych czasów, kiedy był mówcą – i wsparł się na kiju, przybierając postawę, która widocznie wydawała mu się w najwyższym stopniu wspaniała i która rzeczywiście coś w sobie miała, choć niewątpliwie rezultat byłby lepszy, gdyby łysa głowa i blizny nie psuły ogólnego efektu.
– Jest ich około trzydziestki, według tego co mi przekazał Sammy – rozpoczął. – Znajdują się w Metropolitan Museum. Dość dobrze obwarowani, oczywiście. Są tam gruzowiska zagradzające prawie wszystkie otaczające muzeum aleje... Ale utorujemy sobie drogę –


Zygmunt Januszewski



Zygmunt Januszewski

podniósł palec wskazujący - naszym wspólnym, grupowym wysiłkiem i wszyscy razem potrafimy dotrzeć na sam szczyt...
- Wystarczy, Flaco - przerwałem mu. - Nie jesteśmy na zebraniu. Zrobimy lepiej rozpoczynając przygotowania do ataku.

I wzięliśmy się do roboty. Aczkolwiek jako szefowi nie wypada mi tego mówić, to sądzę, że jesteśmy grupą zaprawioną w tego rodzaju przedsięwzięciach, więc w krótkim czasie mieliśmy nakreślony plan działania.
- Nie będziemy czekać, aż się ściemni - oświadczyłem. - Wszyscy tak robią i dlatego w ten sposób nikogo nie da się już zaskoczyć. My spadniemy na nich w samo południe - zignorowałem pomruk, jaki się natychmiast podniósł i kontynuowałem. - Kiedy dobrze przygrzeje, większość z nich się zdrzemnie, a wartownicy nie będą się spodziewali nic groźniejszego niż ukłucie komara. To najodpowiedniejszy moment, aby uderzyć na nich całą siłą.

- Chwileczkę - wysunął obiekcje „Doc", przyglądając mi się przez pozbawione szkieł oprawki. Z uporem ich używa, na przekór wiatrom i burzom, chociaż nie harmonizują z narzuconym na podarte koszule futrem z norek. - Jeżeli pójdziemy tak otwarcie, dostrzegą nas natychmiast i nie będzie łatwo ich zaskoczyć. Oszalałeś, Matt! Musimy podejść nocą. To jasne.

- Zamknij się „Doc". Nie demonstruj w ten sposób swojej uwstecznionej inteligencji. Kto mówi o jawnym podchodzeniu? Zbliżymy się, klucząc między ruinami, durniu. Okrążymy ich, następnie jeden lub dwóch pozwoli się dostrzec i kiedy oni spróbują ich pojmać, reszta zaatakuje ze wszystkich stron jednocześnie. To najlepszy sposób, ja ci to mówię.
- Matt ma rację! - krzyknął Bull.
Bull zawsze jest po mojej stronie. Podobnie jak ja walczył w wadze półciężkiej i kilka dobrych ciosów pięści, to jedyne pisma uwierzytelniające, jakie uznaje. Kiedy mianowałem się szefem, wspólnie skończyliśmy z niewielką opozycją, jaka się nam przeciwstawiała. Teraz wiedziałem, że był gotów użyć analogicznych metod przeciwko tym, którzy nie wykazywali należytego entuzjazmu. Ale nie był to odpowiedni moment. Potrzebowaliśmy wszystkich i to w dobrej kondycji. Dałem to do zrozumienia Bullowi, po czym kontynuowałem:
- Wszystkie sposoby obrony przygotowuje się biorąc pod uwagę ataki w nocy. Szturm w biały dzień przerazi ich.
- Skąd wiesz, że będzie gdzie się ukryć? - wtrącił się ponownie „Doc".
- Nie martw się tym. Flaco i ja zbadaliśmy okolice Central Park kilka dni temu... z Durkeyem. Tam wszędzie są góry złomów. Połamane drzewa, stosy liści. Jeśli chodzi o Metropolitan - jest tam w tylnej ścianie otwór wielkości słonia. Tamtędy moglibyśmy się przedostać, gdyby zaistniała konieczność... No nie, Flaco? Jeżeli zaskoczymy ich w sali głównej, są ugotowani.
Znalazło się jeszcze kilku wątpiących, ale w końcu wszystkich zdołaliśmy przekonać. Wówczas zabraliśmy się do przeglądu broni. Wypolerowaliśmy kije, a na ich końcach umieściliśmy nowe skórzane paski; obuliśmy się najlepiej jak kto mógł. Ja miałem na nogach lakiery, wygrzebane w ruinach jakiegoś sklepu - był to sklep Macy'ego, jak sądzę. Jeśli ktoś miał czym, ochraniał sobie także głowę. Chętnie zrobiłbym to również, osłaniając zwłaszcza jej łysą część, ale zgubiłem mój kask strażacki kiedy uwieszony na mniej porwanych kablach starałem się przedostać przez most w Brooklynie. Ponadto kazaliśmy kobietom przygotować gorącą wodę i szmaty, ponieważ wkrótce miały udzielać pomocy tym, którzy będą jej potrzebowali. Nie spodziewaliśmy się, że wyjdziemy z tego bez szwanku. Dwie kobiety zarezerwowałem do innej pracy. Przyszło mi bowiem do głowy coś, co stanowiło mistrzowskie pociągniecie w naszym planie batalii.
Na koniec została już tylko rzecz najważniejsza: sprawdzenie, czy ktoś z grupy nie ukrył w zanadrzu broni. Nie dalej jak miesiąc przedtem podczas walki użyto noża i w rezultacie jeden facet poniósł śmierć. Tego należało uniknąć za wszelką cenę. Zbyt mało nas już zostało na Manhattanie, aby pozwolić sobie na luksus zabijania się nawzajem. Walka na kije, w porządku; takie było prawo rządzące grupami i, niestety, jedyny sposób porozumienia między nimi. Natomiast żadnych strzałów czy pchnięć nożem. Ten, kto złamie to kardynalne prawo zostaje skazany na całkowity ostracyzm. Jest to najsurowsza kara. Samotny człowiek nie może dziś długo przetrwać. Jeśli nie zginie z głodu, wykończą go dzikie psy lub szczury, albo też zginie zmiażdżony przez obsuwające się z opóźnieniem gruzy. Surowe to prawo, ale niewątpliwie jedyna forma uniknięcia nieczystych walk pomiędzy grupami.
Wreszcie byliśmy gotowi do wymarszu. Wspaniały oddział, powiedziałem sobie z goryczą, patrząc na ozdobione bliznami i sińcami twarze moich ludzi i na nich samych poprzebieranych jak na karnawał. Ale umieli być twardzi i to było najważniejsze. Wyruszyliśmy, posuwając się zgięci w pół za górami cegieł, wapiennej zaprawy, cementu i powykręcanych belek, noszących kiedyś - jak to już dawno? - elegancką nazwę Rockefeller Center.

Przejście Piątą Aleją było niemożliwe. Nawet za pomocą dźwigu nie zdołalibyśmy otworzyć sobie drogi. Madison natomiast, wprost przeciwnie, zbyt gładka, również nie była dla nas dogodna. Zawsze krążył tam jakiś zwiadowca. Wybraliśmy Aleję Obu Ameryk, skręcając w tylne uliczki jedynie wtedy, gdy przeszkody stawały się zbyt uciążliwe, aby je sforsować. Na wysokości Pięćdziesiątej Siódmej ulicy zatrzymała nas wyrwa większa niż wszystkie widziane poprzednio.
- Stop! - rozkazałem, podnosząc jedną rękę. - Jama mastodonta.
W ten sposób określaliśmy te ogromne leje po bombach. Nazwa klasyczna, „lisia dziura", okazała się nieadekwatna. Kto kiedykolwiek słyszał o lisach 98-metrowej długości? Jama mastodonta była wypełniona wodą. Mogliśmy wprawdzie przeprawić się na belkach, dryfujących po błotnistym bajorze, ale to znaczyło wyjść na otwartą przestrzeń. Wolałem okrążyć ją aż do Kolumba od tyłu, kryjąc się za rumowiskami. Manewr ten oddalał nas dość znacznie od celu, ale lepiej było zachować ostrożność.

Do parku weszliśmy Sześćdziesiątą Szóstą. Uderzeniami kijów utorowaliśmy sobie drogę przez prawdziwą dżunglę, która tam wyrosła. Było już prawie południe i gorąco dawało się mocno we znaki. Skóry, w które byliśmy odziani pod wpływem potu przylepiały się do ciał. Wokół nas zaczął się unosić niezbyt miły zapach.
- Przekleństwo! - mruknął Curls, drapiąc się w wystający owłosiony brzuch. - Odkryją nas przez ten smród. Powinniśmy kąpać się przynajmniej raz w roku.
Niektórzy roześmieli się. Ja nie mogłem. Pogładziłem się po policzku.
- Musimy zabrać im A.P.P. - moje palce zacisnęły się mocniej na kiju.
- Zamknąć się, bydło! - wściekle warknął Bull. - Usłyszą nas!
Przedzieraliśmy się przez to, co dawniej było ogrodem zoologicznym, a obecnie lasem prętów tworzących rodzaj zębatej masy i miazgą rozkładających się zwierzęcych ścierw. Dwa koty, ucztujące na resztkach jakiegoś niezidentyfikowanego czworonoga, uciekły wystraszone - same kości, zjeżona sierść i żółte, błędne ślepia. Nie mogłem powstrzymać drżenia na widok przerażającego wyglądu tych zwierząt. Zadałem sobie pytanie, jak też ja wyglądam, z tą sześciotygodniową brodą, rosnącą tylko po jednej stronie twarzy, z drugim policzkiem spuchniętym i połową głowy łysą niczym budyń. Dla ukoronowania całości, ubrany byłem w damskie spodnie, a w garści trzymałem drąg.
Wyszliśmy z zoo i podążaliśmy, kryjąc się pod gigantycznym pniem. Szczęście zdawało się nam sprzyjać: gałęzie i liście zasłaniały nas. Mogliśmy niepostrzeżenie podejść bardzo blisko.
Na koniec osiągnęliśmy Obelisk Kleopatry. Jak na ironię losu stał nietknięty, podczas gdy o tyle wieków młodsze Empire, Chrisley i Katedra Św. Patryka gryzły asfalt. Obok Obelisku stare Metropolitan Museum obnażało swoje krwawiące tynkiem rany.
- Dobra - obwieściłem. - Teraz kolej na ochotników.
Zapanowała cisza. Wszyscy z zainteresowaniem spoglądali w inną stronę.
- Przekonam kilku, co, Matt? - zaofiarował się Bull i zacisnął swoje ogromne pięści, ale potrząsnąłem przecząco głową.
- Wystarczymy tylko ty i ja, Bull. Reszta zostaje pod dowództwem Flaco. Otoczyć miejsce i kiedy zobaczycie, że wskazuję na Obelisk, atakować.



Zygmunt Januszewski

Ktoś jeszcze protestował, ale w końcu został przekonany. Ciągnąc za sobą krowią skórę wypchaną papierem – to właśnie była ta praca, którą na moje polecenie wykonały przedtem kobiety, bez wahania skierowaliśmy się w stronę ruin muzeum.
Nie minęło wiele czasu, gdy zatrzymano nas okrzykiem.
– Chcemy przyłączyć się do waszej grupy! – zawołałem. – Przynosimy żywność.
Magiczne słowo. Wypchana papierem krowia skóra z daleka przypominała martwe zwierzę, a tamci byli tak zgłodniali, że nie wzbudziliśmy w nich nieufności. Po krótkim wahaniu, jeden za drugim, wynurzyli się z dziury. Otoczyli nas, zawczasu się oblizując.
– Skąd jesteście? – zapytał olbrzym o gęstej, jasnej brodzie, który niewątpliwie był szefem. Nosił wysoki kołnierzyk i ekstrawaganckie bermudy.
– Ze wsi – odpowiedziałem.
– Dlaczego nie widzieliśmy jak się zbliżacie?
– Przyszliśmy przez park. Z tej strony – odparłem i wskazałem na Obelisk.
Mój oddział był zdyscyplinowany. W kilka sekund znaleźli się przy nas. Zaskoczenie było całkowite. Odgłos uderzeń kijami po czerepach obwieszczał zwycięstwo. Pośród tego tumultu i wrzawy poszukałem wzrokiem A.P.P. Bez trudu go zidentyfikowałem. Na szczęście był to mężczyzna. Jego postawa była charakterystyczna. Spoglądał na walkę wzrokiem trochę nieobecnym, jakby dotyczyła go ona tylko w sposób pośredni. W jego zachowaniu było coś z dyletanta, coś z widza, oglądającego mecz rugby. Skazaniec. Wiedział, że jakikolwiek będzie rezultat walki, on w żadnym wypadku na tym nie ucierpi. Nie było dla niego istotne, która grupa go zagarnie. Dało się dostrzec, że przyzwyczaił się do częstego przechodzenia z rąk do rąk. Stał oparty łokciami o parapet okienny; jego bystre oczka przychylnie nas obserwowały.

W końcu blondyn podniósł rękę.
– W... porządku – wydyszał, tamując krew cieknącą ze zmiażdżonego, niegdyś wydatnego, nosa. – Zwyciężyliście... Czego... do diabła... chcecie?
– Tanio was to będzie kosztować – odpowiedziałem. – Zatrzymujemy A.P.P. Resztę możecie zabierać.
W jego szarych oczach błysnęła jakby prośba, ale twardo stałem przy swoim. Przede wszystkim własna grupa, a inni... Z drżeniem przypomniałem sobie obcęgi.
Odeszli. Mężczyzna z okna, zrozumiawszy sytuację, powoli szedł w naszym kierunku. Był niski, łysy, a w jego ruchach zauważało się pewien budzący irytację odcień wyższości. Miał na sobie dość dyskretne ubranie, aczkolwiek ozdobione łatą burego koloru dokładnie na tyłku. Z niewysłowioną ulgą dostrzegłem pod jego pachą czarną walizeczkę.
– Lubię ryby – powiedział półgębkiem.
– W porządku – odrzekłem.
– Lubię też sypiać na miękkim materacu, jeśli nie macie nic przeciwko.
– Dobra jest, dostanie pan.
– Pod porządnym dachem, oczywiście – podsunął.
– A także ogień, kobiety i wszystko co tylko pan zechce – zapewniłem.
Przesunął językiem po wąskich wargach.
– Kobiety... z włosami?
– Zostało nam dziewięć. Dwie blondynki – i ugryzłem się w język, pomyślawszy o Lydii.
– Znakomicie. Zostaję z wami.
W jednej chwili zostaliśmy otoczeni, ale jednym mocnym pchnięciem utorowałem sobie drogę.
– Do tyłu, bestie! – krzyknąłem.
Chwyciłem człowieczka za jedno ramię i, ignorując gardłowy chór protestów wywołany tym aktem, wszedłem z Artykułem Pierwszej Potrzeby do muzeum.
Opadłem na pierwsze napotkane krzesło.
Spojrzałem na niego z niecierpliwością.
– Ja pierwszy, doktorze – poprosiłem. – Ten przeklęty trzonowy ząb zabija mnie.
I otworzyłem usta tak szeroko, jak tylko mogłem.

Przełożyła Maria Nowakowska

Carlos Maria FEDERICI

urodził się w Montevideo (Urugwaj) w 1941 r. Specjalizuje się w wielu gatunkach: kryminały, komiksy, science fiction i fantasy. Krytycy cenią go najbardziej za krótkie formy.
Jako pisarz SF wybił się zwłaszcza opowiadaniami publikowanymi w hiszpańskim periodyku „Nueva Dimension". Niektóre z tych opowiadań zostały wydane w innych europejskich pismach fachowych: **„El nexo de Maeterlinck"** ukazało się w szwedzkim piśmie wydawanym przez Sama Lundwalla „Jules Verne magasinet", a opowiadanie **„Primera necesidad"** w belgijskim piśmie „Ideé...et autres".
Należy również wspomnieć o uzdolnieniach ilustratorskich autora, które zaowocowały wydaniem albumu **„Dinkenstein"**. C. M. Federici pracuje na co dzień w Montevideo jako projektant sztuki przemysłowej.

HAŁAS

(Noise)

Jack Vance

Kapitan Hess rzucił notatnik na biurko i przyciągnął sobie krzesło.
– Należy do pańskiego człowieka – powiedział. – Zostawił na statku.
– Nie było nic innego? – Galispell był nieco zaskoczony. – Żadnego listu?
– Nie, sir, nic innego. Ten notatnik był wszystkim, co miał ze sobą, gdy go zabraliśmy.
Galispell przeciągnął palcami po zniszczonych okładkach książeczki.
– Można to zrozumieć, jeśli się weźmie pod uwagę wszystko, przez co przeszedł. – Trzasnął okładkami. – Hmmm...
– Wydaje mi się, że wy zawsze uważaliście Evansa za, powiedzmy, raczej dziwnego faceta – zaryzykował przypuszczenie Hess.
– Howarda Evansa? Ależ nie, skądże. Był dla nas niezwykle cennym człowiekiem. – Galispell spojrzał na Hessa uważnie. – Co pan ma na myśli, mówiąc „dziwny"?
Hess zmarszczył brwi, szukając w myśli precyzyjnego określenia sposobu bycia Evansa.
– Myślę, że można by powiedzieć „przewrażliwiony", albo może „poddający się nastrojom".
– Howard Evans? – Galispell był szczerze zdziwiony.
Hess wskazał oczami notatnik.
– Pozwoliłem sobie przejrzeć jego dziennik i... hmm...
– I odniósł pan wrażenie, że Evans jest dziwny.
– Być może wszystko to, co pisze, jest szczerą prawdą. Jednak przez całe swoje życie wpychałem się w najdziwniejsze zakamarki kosmosu i nigdy nie widziałem nic podobnego.
– Osobliwa sytuacja – powiedział Galispell obojętnie. Zamyślonym wzrokiem spojrzał na notes.

Dziennik Howarda Charlesa Evansa

Rozpoczynam te zapiski bez pesymizmu, ale też na pewno bez optymizmu. Czuję się tak, jakbym już raz umarł. Śmierć, choć nie ostateczna, a jedynie jej przedsmak, to czas spędzony w kapsule ratunkowej. Leciałem naprzód, wciąż naprzód przez ciemności i miałem wrażenie, że ciaśniej mogłoby mi być tylko w trumnie. I to niewiele. Nie miałem zegara i nie mogłem określić jak długo już to trwa. Na pewno dłużej niż tydzień. Na pewno krócej niż rok.

To tyle na temat przestrzeni, kapsuły ratunkowej, śmierci. Ten notes nie jest zbyt gruby. Jego kartek będę potrzebował na kronikę mego pobytu w tym świecie, który, pojawiwszy się pod kapsułą, ofiarował mi życie.

Jest dużo do opowiedzenia i wiele sposobów prowadzenia opowieści. Jestem ja, moja osobista reakcja na tę dramatyczną sytuację. Nie mam jednak zamiłowania do grzebania się w niuansach i zawiłościach własnej psychiki. Dlatego postaram się przedstawić wydarzenia w sposób możliwie obiektywny.

Posadziłem kapsułę ratunkową w najbardziej odpowiednim miejscu, jakie miałem szansę wybrać. Zrobiłem analizę atmosfery, zbadałem temperaturę, ciśnienie, życie biologiczne. Potem zaryzykowałem wyjście na zewnątrz. Ustawiłem antenę i wysłałem swoje pierwsze SOS.

Problem dachu nad głową nie istnieje. Kapsuła służy mi jako łóżko oraz może, w razie konieczności, być bezpiecznym schronieniem. Później, ze zwykłych nudów, mogę ściąć kilka tych drzew i wybudować dom. Ale jeszcze poczekam, nie muszę się spieszyć.

Mam dużą ilość skondensowanego pożywienia, a tuż obok kapsuły sączy się strumyk czystej wody. Jak tylko pojemniki hydroponiczne rozpoczną produkcję, będą świeże owoce, warzywa, proteiny drożdżowe.

Przetrwanie tutaj wydaje się nie nastręczać szczególnych trudności. Słońce jest ciemnopurpurowe i daje niewiele więcej światła niż ziemski Księżyc w pełni. Kapsuła spoczywa na łące, porośniętej grubymi, ciemnozielonymi porostami, tworzącymi pod stopami miękki, przyjemny dywan. Łąka delikatnie opada w stronę jeziora atramentowej wody, leżącego pięćdziesiąt metrów w kierunku, który nazwałbym południowym. Z drugiej strony otaczają ją wysokie, blade rośliny – nazwałem je drzewami. Za nimi wznosi się strome zbocze, które prawdopodobnie – nie jestem tego pewien – rozrasta się dalej w łańcuch górski. Przyćmione, czerwone światło słońca sprawia, że można być pewnym tylko tego, co się widzi w odległości nie większej niż kilkaset metrów. Orzeźwiająca bryza błądzi po jeziorze, przynosząc ze sobą delikatny szum łamiących się przy brzegu fal.
Całość sprawia wrażenie pustki i spokoju. Jedynie niepewność mego przyszłego losu przeszkadza mi spokojnie zachwycać się pięknem okolicy.
Zmontowałem pojemniki hydroponiczne i przygotowałem kultury drożdży. Nie grozi mi głód ani śmierć z pragnienia.

Jezioro jest gładkie i nęcące – może z czasem zbuduję jakąś małą łódkę. Mimo że woda jest ciepła, jeszcze nie odważyłem się pływać. Co może być bardziej przerażającego, niż w wodzie być schwytanym od dołu i wciągniętym w głębię? Prawdopodobnie nie ma jednak podstaw do obaw. Dotychczas nie zauważyłem żadnej fauny – ani ptaków, ani ryb, owadów czy skorupiaków. Ten świat jest wypełniony ciszą, podkreślaną tylko przez lekki szept bryzy.

Już wiele razy kładłem się spać i wstawałem, a szkarłatne słońce wciąż wisi na niebie. Jednak widzę jak zachodzi, bardzo powoli. Po tak długim dniu, jakże długa i monotonna będzie noc!

Wysłałem cztery sekwencje SOS – jakaś stacja nasłuchowa musi je przechwycić.
Jedyną moją bronią jest maczeta i dlatego niechętnie myślę o zbytnim oddalaniu się od kapsuły. Dzisiaj (jeśli można użyć tego słowa) zebrałem się jednak na odwagę i obszedłem wokół jezioro. Drzewa są wysokie i wiotkie, przypominają brzozy. Myślę, że w świetle innym, niż ten czerwony półmrok, ich kora i liście lśniłyby czystym srebrem. Stoją rzędem wzdłuż brzegu jeziora, jakby dawno temu zostały posadzone przez jakiegoś wędrownego ogrodnika. Długie gałęzie uginają się pod podmuchami bryzy, błyskając szkarłatem z odcieniami purpury – dziwny i urzekający widok, który tylko mnie jednemu jest dane oglądać.

Zetknąłem się kiedyś z twierdzeniem, że zachwyt pięknem jest pełny tylko w obecności innych ludzi – sprawia to pojawiające się w takich momentach tajemne porozumienie dusz, przesyłających sobie wzajemnie wrażenia, których jeden umysł nie jest w stanie uchwycić. Idąc wzdłuż alei drzew, mając obok jezioro, a z tyłu szkarłatne słońce, byłbym oczywiście wdzięczny za towarzystwo. Wydaje mi się jednak, że coś ze spokoju, wrażenia przechadzania się po starożytnych, opuszczonych ogrodach, byłoby stracone.

Jezioro ma kształt klepsydry – w najwęższym miejscu mogłem dojrzeć przeciwległy brzeg i przycupnięty na nim kształt kapsuły. Usiadłem pod krzakiem. Jego czarno-czerwone kwiaty nieustannie kołysały się przede mną. Pasemka mgły wędrowały po powierzchni jeziora, a wiatr wydawał niskie, melodyjne dźwięki.

Wstałem i ruszyłem dalej. W końcu wróciłem do kapsuły. Oglądając pojemniki hydroponiczne odniosłem wrażenie, że drożdże zostały naruszone, jakby pokłute długim, cienkim przedmiotem.

Czerwone słońce zachodzi. Każdy dzień – używam słowa „dzień" dla określenia przerwy między moimi snami – zastaje je coraz niżej. Już niemal nadeszła noc, długa noc. W jaki sposób będę spędzał czas w ciemnościach?

Nie mam innego miernika niż własne odczucia, ale bryza wydaje się być znacznie chłodniejsza. Słyszę niesione przez nią długie, ponure akordy, bardzo smutne, bardzo melodyjne. Pasemka mgły przepływają szybko nad łąką. Ukazują się już blade, nikłe gwiazdy.
Myślę, że jutro spróbuję wspiąć się na leżącą z tyłu za lasem skarpę.

Oznaczyłem dokładne położenie wszystkich rzeczy, które posiadam. Jeśli zostaną przesunięte, będę wiedział, że w czasie kilkugodzinnej nieobecności miałem wizytę.

Słońce stoi nisko, powietrze szczypie policzki. Muszę się spieszyć, jeśli chcę wrócić, póki jeszcze światło słońca wydobywa krajobraz z mroku. Widzę się zagubionego, błądzącego w tym świecie, szukającego po omacku kapsuły, pojemników, łąki.

Przyspieszyłem kroku i na podnóże skarpy niemal wbiegłem. Natychmiast dostałem zadyszki i musiałem zwolnić. Darń, porastająca brzeg jeziora, zniknęła. Szedłem po gołej, pokrytej tylko plackami porostów, skale. Niżej, pode mną, leżała plama łąki z połyskującym pośrodku wrzecionem kapsuły. Przez chwilę rozglądałem się. Nic, żadnego ruchu w zasięgu mego wzroku.

Rozpocząłem wspinaczkę i w końcu wdrapałem się na grań. Przede mną rozpostarła się rozległa, kręta dolina. Po jej drugiej stronie sięgał ciemnego nieba wielki łańcuch górski. Szkarłatne, sączące się ukośnie z zachodu światło kładło się na szczytach, urwiskach, skłonach, zostawiając w mroku doliny – sekwencja czerwieni i czerni, rozpoczynająca się daleko na zachodzie i sięgająca daleko na wschód.

Spojrzałem w stronę mojej łąki. Zanikające światło zmusiło mnie do poszukiwania jej wzrokiem. Aha, była tam! A tam połyskująca klepsydra jeziora. Za nim pasma lasu, sawanny, krzaków – delikatna mozaika kolorów, aż po horyzont.

Słońce dotknęło krawędzi gór i gwałtownie, jakby się nagle zapadło, skryło się do połowy. Zacząłem schodzić w dół. Moje oczy zatrzymały się na białym przedmiocie, leżącym na skłonie, pięćdziesiąt metrów z boku. Stopniowo, w miarę jak się do niego zbliżałem, nabierał kształtów: stożek, piramida, kopczyk białych kamieni. Szedłem ku niemu czując, że nogi mam ciężkie jak z ołowiu.

Oczywiście, kopczyk. Stałem, patrząc nań z góry. Odwróciłem się szybko i spojrzałem przez ramię. Nic. Spojrzałem w dół, w kierunku łąki. Przemykające cienie? Wytężyłem wzrok, starając się przebić gęstniejący mrok. Nic. Rozrzucając naokoło kamienie, rozgrzebałem kopczyk. I co pod nim było? Nic. Jedynie niewyraźnie zaznaczony, długi na metr prostokąt. Odszedłem kilka kroków. Żadna siła nie mogłaby mnie zmusić do rozkopania ziemi w tym miejscu.

Słońce znikało, poruszając się z zadziwiającą szybkością. Niebo pokryło się mętnoszkarłatną poświatą. Cóż to za rodzaj słońca – w ślimaczym tempie pokonujące zenit, a zachodząc nurkujące za horyzont?

Pośpieszyłem w dół stoku, lecz ciemność była szybsza. Szkarłatne słońce odeszło, zostawiając jedynie nikły ślad płomieni na zachodzie. Potknąłem się, upadłem. Spojrzałem na wschód. Przybierając na sile, formował się tam wspaniały, błękitny trójkąt zodiakalnego światła. Klęcząc i podpierając się rękoma patrzyłem jak urzeczony.

Zza horyzontu wychylał się jaskrawobłękitny krąg. Chwilę później strumień szafirowego światła zalał krajobraz. Na niebo wznosiło się nowe słońce, o kolorze intensywnego indygo. Świat pozostał taki sam, a jednocześnie zmienił się. Tam, gdzie przywykłem widzieć czerwień i niezliczone jej odcienie, obecnie widziałem bogatą gamę błękitów.

Wróciłem na łąkę. Bryza przynosiła nowy dźwięk – jasne, szybkie akordy, które w moim umyśle układały się niemal w melodię. Przez chwilę zabawiałem się ich słuchaniem i wpatrywaniem się w wirowanie kłaczków mgły. Wydało mi się, że w ich ruchu widzę jakieś taneczne pas.

Opanował mnie dziwny, szczególny nastrój. Towarzyszył mi, gdy wpełzałem do kapsuły i usypiałem.

Mrużąc oczy od błękitnego, jakby stałym wyładowaniem elektrycznym spowodowanego światła, wyszedłem z kapsuły i zasłuchałem się. To z pewnością była muzyka. Niesione przez wiatr na podobieństwo zapachów, ciche szepty. Zszedłem nad jezioro, intensywnie błękitne. Muzyka stała się głośniejsza. Przycisnąłem dłonie do uszu – gdybym miał omamy słuchowe, słyszałbym ją nadal. Dźwięki ścichły, ale nie zniknęły zupełnie. Test nie dał jednoznacznej odpowiedzi. Byłem jednak wewnętrzenie przekonany, że są one rzeczywiste. A gdzie jest muzyka, tam muszą być muzycy. Pobiegłem naprzód, krzycząc „Heej! Heej!".

„Heej!" – odpowiedziało echo znad jeziora.

Muzyka na chwilę ścichła, jak chór świerszczy, które zostały zaniepokojone. Potem, stopniowo, znów mogłem ją słyszeć – dalekie dźwięki „rogi Elfów, grające z oddali". Stałem tak, w potokach błękitnego światła, samotny na mojej łące. Obmyłem twarz, wróciłem do kapsuły, wysłałem następne sygnały SOS.

Moja nowa fascynacja – muzyka i jej źródło – powoduje, że błękitny dzień wydaje się mijać znacznie szybciej. Możliwe, że jest krótszy od czerwonego, nie mając jednak zegarka, nie mogę być tego pewien.

Nie zauważyłem nawet śladu muzyków. Może są nimi drzewa, a może jakieś przeźroczyste owady siedzące gdzieś, poza zasięgiem mego wzroku?

Pewnego dnia spojrzałem na przeciwny brzeg jeziora i – cud nad cudami! – zobaczyłem rozciągnięte wzdłuż niego barwne, jaskrawe miasto. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia zbiegłem nad wodę i gapiłem się, jakby był to najcenniejszy widok, jaki miałem ujrzeć w życiu. Kołysał się, falował błyszczący jedwab: pawilony, namioty, fantastyczne budowle. Kto tam mieszkał? Wszedłem po kolana w wodę w nadziei, że uda mi się uchwycić wzrokiem jakieś sylwetki.

Pobiegłem jak wariat wzdłuż brzegu. Pod moimi stopami umierały uwieńczone delikatnymi, błękitnymi kwiatkami, rośliny. W kępie wiotkich trzcin zostawiłem ślad jak stado słoni. A kiedy dotarłem, dyszący i wyczerpany, na leżący naprzeciw mojej łąki brzeg, co tam zobaczyłem? Nic.

Miasto zniknęło jak sen, jak widmo zdmuchnięte przez wiatr. Usiadłem na kamieniu. Nagle, jakby ktoś otworzył zamknięte dotychczas drzwi, czysto rozbrzmiała muzyka. Skoczyłem na nogi. Wokół mnie – zwykła pustka i spokój. Spojrzałem przez jezioro. Po drugiej stronie, na mojej łące, tłumy przejrzystych cieni wirowały jak chmary komarów nad stawem.

Gdy wróciłem łąka była pusta. Pusty był też brzeg po drugiej stronie jeziora.

I tak upływa błękitny dzień. Wypełniam czas myśleniem o fascynującej mnie zagadce. Skąd płynie muzyka? Kim i czym są te nieuchwytne cienie, nigdy do końca rzeczywiste, ale nie będące przecież wytworem mojej jaźni? Cztery razy na godzinę przykładam dłoń do czoła, z obawą szukając symptomów pomieszania zmysłów... Jeżeli w tym świecie muzyka rzeczywiście istnieje, jeżeli rzeczywiście unosi się i wibruje w powietrzu, dlaczego jest tak podobna do ziemskiej? Akordy, które słyszę, mogą być wydobywane z znajomych instrumentów, w sekwencjach i harmonii nie ma nic obcego...

I tak upływa błękitny dzień. Szafirowe powietrze, czarnoniebieska darń, woda w kolorze ultramaryny i jaskrawobłękitna gwiazda, chyląca się ku zachodowi. Jak długo już jestem na tej planecie? Wkrótce wyczerpie się energia. Co prawda woda i żywność nie stanowią problemu, ale jaki sens ma pędzenie życia wygnańca na planecie czerwieni i błękitu?

Błękitny dzień już się kończy. Chciałbym wspiąć się na skarpę i obejrzeć zachód słońca w całej jego glorii, ale paraliżuje mnie wspomnienie strachu, jaki czułem po zachodzie czerwonego słońca. A więc będę patrzył z mojej łąki. Potem, gdy nadejdą ciemności wpełznę do kapsuły, jak niedźwiedź do jaskini, i będę czekał na nadejście światła.

Szafirowe słońce toczy się ku zachodniemu lasowi, błękitne niebo pogrąża się w czerni, gwiazdy wyglądają jak domy, zamieszkałe przez nieznajomych ludzi.

Od pewnego czasu nie słyszę muzyki. Być może jest ona tak wszechobecna, że przestałem ją zauważać.

Niebieska gwiazda zniknęła, powietrze stało się chłodne. Myślę, że czeka mnie naprawdę długa i głęboka noc. Słyszę dźwięk, jękliwy, lamentujący. Odwracam głowę. Wschód rozświetla się bladoperłowo. Srebrna kula wpływa w noc jak kwiat lotosu dryfujący po jeziorze – piłka, wielkości sześciu ziemskich Księżyców w pełni. Co to jest? Słońce, satelita, wypalona gwiazda? Jakiż fenomen kosmologiczny dane jest mi oglądać!

Jack VANCE

(prawdziwe nazwisko **John Holbrook Vance**) urodził się w 1916 roku w San Francisco. Pisać zaczął bardzo wcześnie, ale przez długie lata żaden z wydawców nie był zainteresowany publikacją jego utworów. Ukończył wprawdzie Uniwersytet Kalifornijski, ale śladem wielu swoich rówieśników przez wiele lat pozostawał bez stałego zajęcia. Był marynarzem, robotnikiem budowlanym, ratownikiem, pracował w fabryce konserw. Wędrował wiele po świecie, imając się różnych przypadkowych zawodów dających możliwość zarobienia na dalszą drogę. Tuż po wojnie zaprzyjaźnił się z Poulem Andersonem i Frankiem Herbertem. Czasy finansowej posuchy przeżyli razem mieszkając przez wiele miesięcy w kabinie starej, zacumowanej u nabrzeża San Francisco łodzi.

Wreszcie, pod koniec 1945 roku, na łamach „Thrilling Wonder Stories" ukazało się pierwsze opowiadanie Vance'a – **„The World Thinker"**. Pierwszą opublikowaną książką był zbiór nowel **„The Dying Earth"** (1950). Na poważniejsze sukcesy musiał jednak poczekać Vance do 1963 roku, kiedy to za minipowieść z gatunku fantasy **„The Dragon Masters"** otrzymał nagrodę HUGO.

Dziś Vance jest autorem kilkudziesięciu powieści i zbiorów opowiadań. Do najbardziej znanych utworów obok wymienionych już **„The Dragon Masters"** należą: **„The Moon Moth"** (1961), **„The Star King"** (1964), **„The Blue World"** (1966), **„Emphyrio"** (1969) i **„Maske: Theary"** (1976).

Jeszcze raz zmienia się kolor planety. Jezioro błyszczy jak żywe srebro, drzewa wyglądają jak wykute z metalu. Muzyka przypływa falą, jakby ktoś rozsunął grube zasłony – muzyka księżycowego blasku, średniowiecznego marmuru, placów, otoczonych smukłymi, zdobionymi arkadami. Miękko wzdychające tony, które mogłyby wyjść spod pióra Claude'a Debussy'ego. Schodzę nad jezioro. Po przeciwnej stronie znowu widzę miasto. Wydaje się czystsze, bardziej uchwytne. Zauważam szczegóły, które przedtem zatracały się w mgiełce – szeroki taras nad jeziorem, spiralne pilastry, rzędy ozdobnych urn. Wydaje mi się, że ogólny zarys miasta jest taki sam, jak wtedy, gdy widziałem je w świetle błękitnego słońca – wielkie atłasowe namioty, iskrzące się, odbijające promienie światła; rzeźbione, kamienne kolumny, półprzeźroczyste jak mleczne szkło; fantastyczne kształty o nieokreślonym przeznaczeniu...

Wzdłuż srebrnego jeziora dryfują łodzie, wielkie żagle zwisają bezczynnie, takielunek oplątuje je jak pajęczyna. Świetlne kręgi, jak czarodziejskie latarnie błyskają z want i masztów. Nagła myśl – oglądam się, patrzę na moją łąkę. Widzę rząd straganów, ustawionych jak na dawnym jarmarku, ułożony na darni krąg z bladego kamienia, tłum niewyraźnych, przejrzystych kształtów.

Krok za krokiem zbliżam się w kierunku mojej kapsuły. Muzyka wzmaga się, jej akordy i sekwencje mają niewysłowioną słodycz. Usiłuję przyjrzeć się dokładnie jednemu z cieni, ale jego sylwetka rozpywa się, faluje. Czy to one poruszają się w takt muzyki, czy może ich ruch rodzi muzykę?

Biegnę naprzód, krzycząc ochryple. Jeden z kształtów przemyka obok mnie. Patrzę na zamazaną plamę w miejscu, gdzie mogłaby być twarz. Zatrzymuję się, dysząc ciężko. Stoję na marmurowym kręgu. Tupię i dźwięk potwierdza jego masywność. Idę w kierunku straganów – wyłożone są na nich, jak mi się wydaje, wymyślne ubiory z bladej tkaniny i wykonane z matowego metalu ozdoby, jednak gdy próbuję przyjrzeć się bliżej, obraz rozpływa się, jakby oczy zachodziły mi łzami. Muzyka odpływa gdzieś daleko, łąka zostaje pusta i cicha. Moje stopy wgniatają się w srebrno-czarną darń, na niebie wisi srebrno-czarna gwiazda. Siedzę, oparty plecami o kapsułę i wpatruję się w drugi brzeg jeziora. Rozmyślam.

Moim podstawowym założeniem jest twierdzenie, że jestem przy zdrowych zmysłach. Muszę w to wierzyć, gdyż w przeciwnym wypadku nic nie ma sensu, nawet myślowe spekulacje. Tak więc – wszystko co widziałem i słyszałem jest wynikiem wydarzeń zachodzących poza moją jaźnią, na zewnątrz. Jednak – co jest ważne! – te widoki i dźwięki nie podlegają prawom klasycznej nauki – pod wieloma względami wydają się być odczuciami ściśle subiektywnymi. A więc musi być tak, mówię sobie, że sytuację tworzą zarówno czynniki obiektywne, jak i subiektywne. Odbieram bodźce, które mój mózg uznaje za nieznane i tłumaczy je na bardziej zrozumiałe wrażenia. Zgodnie z tą teorią mieszkańcy tego świata zawsze znajdują się w pobliżu – przechodzę, nie wiedząc o tym, przez ich pałace i arkady, wokół mnie ciągle trwa ich taniec. Widzę ich, gdy mój mózg staje się szczególnie wrażliwy, gdy przekracza próg wrażliwości, za którym kontakt jest już możliwy. Styl ich życia, ich doznania i uczucia wywołują rodzaj wibracji, która rozbrzmiewa we mnie jako muzyka. Mam smutną pewność, że nigdy nie poznam rzeczywistego świata tych istot. One są przejrzyste, ulotne, ja zaś mam ciało, one żyją w świecie ducha, ja zgniatam darń ciężkimi stopami.

Ostatnio zaniedbałem nadawanie sygnałów SOS. Mała strata – baterie i tak są prawie wyczerpane. Srebrna gwiazda minęła zenit i zaczyna skłaniać się ku zachodowi. Co nastąpi, gdy zajdzie? Powrót do czerwonego słońca czy ciemności? Nie jest to najwyraźniej zwykły system planetarny – orbita tego świata musi przypominać jeden z przedkopernikowskich epicykli. Mój mózg stopniowo dostraja się do tego świata, osiągając nowy, wyższy poziom wrażliwości. Jeżeli moja teoria jest poprawna, siła witalna istot z tej planety znajduje swoje odbicie w moim mózgu jako muzyka. Być może na Ziemi użylibyśmy słowa „telepatia".

Tak więc uczę się koncentracji i szerokiego otwierania się na te nowe doznania. Zauważyłem, że aby dostrzec te zwiewne istoty, nie powinienem patrzeć wprost na nie, a pozwolić ukształtować się i nabrać wyrazistości gdzieś w kącie mego oka. Tym sposobem stwierdziłem, że są oni niemal bliźniaczo podobni do człowieka. Czasami wydaje mi się, że mogę zauważyć nawet rysy twarzy. Kobiety są jak sylfidy, boleśnie piękne, mężczyźni – nie udało mi się żadnego dokładnie zobaczyć, ale ich ruchy, budowa ich ciała są męcząco znajome. Muzyka brzmi nieustannie, tworzy tło obrazu, jak tłem lasu jest szelest liści. Usposobienie tych istot zdaje się zmieniać się wraz z kolorem słońca, zmienia się też muzyka, stanowiąc odbicie nastroju. Czerwone słońce wywołuje u nich melancholię, niebieskie – wesołość. W świetle srebrnego słońca są delikatni, zadumani, trochę smutni, a w mojej głowie brzmią „Morze" i „Syreny" Debussy'ego.

Srebrny dzień gaśnie. Dzisiaj siedziałem nad jeziorem, przyglądając się pływającym tam i z powrotem łodziom. Jakie jest ich przeznaczenie? Czy w ogóle mają jakieś, czy życie takiego typu może być opisane terminami ekonomii czy socjologii? Wątpię. Pojęcie „inteligencja" może w tym świecie w ogóle nie istnieć. Czy mózg nie jest cechą charakterystyczną wyłącznie antropoidów? I czy inteligencja nie jest cechą związaną tylko z naszym, ludzkim mózgiem? Duża, dostojna łódź przepływa w pobliżu i zapominam natychmiast o moich hipotezach. I tak nigdy nie poznam prawdy.


Ryszard Wojtyński

Czas płynie. Wracam do mojej kapsuły. Obok przepływa kształt młodej kobiety. Zatrzymuję się, patrząc jej w twarz. Przechyla głowę i, mijając mnie, spogląda mi w oczy. W jej wzroku błyska życzliwość.

Próbuję nadać SOS. Robię to bez zapału, gdyż podejrzewam, że baterie są już całkowicie wyczerpane. I rzeczywiście.

Srebrna gwiazda przypomina gigantyczną bombkę z bożenarodzeniowej choinki, kulistą i błyszczącą. Zniża się powoli. Znowu budzi się we mnie niepewność, płynąca z oczekiwania nocy.

Gwiazda chowa się za lasem, niebo matowieje, ciemnieje. Nadeszła noc. Oparty o kadłub kapsuły patrzę na wschód. Nic.

Nie mam zupełnie poczucia upływu czasu. Ciemność, bezczasowość. Gdzieś tam zegary przesuwają wskazówki sekundowe, minutowe, godzinowe, a ja trwam, zagapiony w noc. Wraz z nadejściem ciemności muzyka ucichła. Gasła, brzmiąc coraz ciszej akordami pełnymi smutku, beznadziei.

Na wschodzie rośnie światło, zielone. Wspaniała zielona sfera, esencja wszelkiej zieleni, unosi się znad horyzontu. Pulsowanie dźwięku, muzyka – silna, rytmiczna muzyka. Szmaragdowe światło zalewa planetę. Przygotowuję się do zielonego dnia.

Stanowię niemal jedność z tym światem. Przechadzam się wśród ich pawilonów, zatrzymuję się przy ich straganach, by zastanawiać się nad ich towarami. A wokół mnie migają i płyną sylwetki ludzi-zjaw. Mężczyźni są zamgleni, trochę niewyraźni, ale łatwo uchwycić znajome kształty, kobiety posyłają mi uśmiechy, niezwykle prowokujące. Doprowadzę się do utraty zmysłów, jeśli zawładną mną pokusy – to, co widzę, jest niczym więcej„ jak tylko interpretacją, dokonywaną przez mój mózg, przekładem zjawisk niepojętych na zrozumiałe dla mnie obrazy. I jest to straszne, gdyż znalazłem tu istotę tak niewypowiedzianie uroczą... Gdy tylko zobaczę kształt, który jest nią, biegnę ku niemu z bijącym sercem, jak wariat. Szukam wzrokiem jej oczu, które nie są oczami. Dziś zamknąłem wokół niej ramiona, oczekując, że się rozpłynie. Niespodziewanie poczułem prężne, podatne ciało. Pocałowałem ją, policzki, brodę, usta. Wyrazu takiego zdumienia nie widziałem jeszcze na żadnej twarzy.

Odeszła swoją drogą, ale muzyka brzmi silnie i tryumfalnie. Mija mnie mężczyzna. Jego ruchy, jego postawa wydają się być szczególnie znajome, poruszają jakąś strunę w mej pamięci.

Szybko idę za nim – spojrzę mu w twarz, postaram się przeniknąć zasłonę nieokreśloności, która go otacza. Przemyka, wiruje wokół mnie jak na karuzeli. Staram się za nim nadążyć, przeciąć mu drogę.

Przechodzi obok wolno, spoglądając na mnie. Patrzę na nieruchomą, podobną do maski, twarz.

To jest moja twarz.

On ma moją twarz, porusza się tak jak ja. On jest mną.

Czy zielony dzień już przeminął?



Ryszard Wojtyński

Zielone słońce odchodzi, muzyka nabiera głębi. Nie znika, jedynie wypełnia się oczekiwaniem, tęsknotą... A skąd ten inny dźwięk? Daleki, narastający warkot, zgrzytliwy jak połamana skrzynia biegów.

Cichnie.

Zielone słońce odpada jak ogon pawia. Muzyka jest wolna, podniosła.

Zachód gaśnie, wschód się rozświetla. Muzyka przenosi się ku wschodowi, ku pasmom różu, żółci,pomarańczu. Strzępki chmur wybuchają płomieniem. Złota poświata pochłania niebo. Muzyka staje się głośniejsza, pobrzmiewa liturgicznymi zaśpiewami. Wstaje nowe słońce – wspaniała złota kula. Muzyka narasta, brzmi peanem na cześć światła, spełnienia, odrodzenia. Hrrr! – po raz wtóry wdziera się w nią zgrzytliwy dźwięk.

Na niebo wpływa statek kosmiczny. Zawisa nad moją łąką. Silniki lądowania tworzą odwrócony pióropusz.

Statek ląduje.

Słyszę szmer głosów, ludzkich głosów.

Muzyka zamilkła. Marmurowe rzeźby, stragany ze świecidełkami, piękne, połyskujące miasta zniknęły.

Galispell podniósł wzrok, trąc w zamyśleniu brodę.

– I co pan o tym myśli? – spytał niespokojnie kapitan Hess. Przez chwilę Galispell nie odpowiadał.

– Dziwny dokument... – powiedział w końcu. Przez długą chwilę wyglądał przez okno. – Co się zdarzyło po tym, jak go zabraliście? Widzieliście te fenomenty, o których pisze? – Ani jednego – kapitan Hess uroczyście potrząsnął wielką, okrągłą głową. – System rzeczywiście był fantastyczny zbieraniną ciemnych gwiazd, fluorescencyjnych planet, starych, wypalonych słońc. Możliwe, że to wszystko zabiło mu niezłego ćwieka. Nie wyglądał na zbyt uradowanego z naszego widoku, to fakt. Po prostu stał tam i patrzył na nas, jakbyśmy byli przechodniami na ulicy. „Złapaliśmy twoje SOS" – powiedziałem mu. „Wskakuj na pokład i zakrzątnij się za jakimś dobrym żarciem". Szedł w stronę statku jakby miał drewniane nogi. Załadowaliśmy jego kapsułę i wystartowaliśmy. Podczas drogi powrotnej nie utrzymywał z nikim żadnych kontaktów. Trzymał się na uboczu, chodząc całymi dniami po pokładzie spacerowym. Miał zwyczaj przykładania dłoni do głowy – raz go spytałem, czy nie jest chory, czy nie chce, by go zbadał lekarz. Odpowiedział, że nie, że wszystko jest w porządku. I to niemal wszystko, co o nim wiem. Dolecieliśmy do Układu, skierowaliśmy się w stronę Ziemi. Na własne oczy nie widziałem, co się stało, bo byłem na mostku, ale opowiedziano mi to mniej więcej tak: W miarę, jak zbliżaliśmy się do Ziemi, Evans zachowywał się coraz bardziej niespokojnie, krzywił się, kręcił głową tam i z powrotem. Kiedy byliśmy w odległości kilku tysięcy kilometrów, podskoczył jak furiat. „Hałas!" – wrzasnął – „Obrzydliwy hałas!" I tak rycząc pobiegł na rufę, wskoczył do swojej kapsuły, odłączył się i, jak mi powiedziano, zniknął w kierunku, z którego przybyliśmy. To wszystko, co mam panu do powiedzenia w tej sprawie.

– Poleciał z powrotem wzdłuż waszego kursu?

– Tak jest. A jeśli chce pan spytać, czy ma szansę dolecieć na planetę, z której go zabraliśmy, to odpowiedź brzmi: niewielką.

– Ale jakąś szansę ma? – nalegał Galispell.

– O, tak – powiedział kapitan Hess. – Jakąś szansę ma.

Przełożył Darosław J. Toruń

■

— I cóż z tego, że ten człowiek umarł przed naszą bramą? Równie dobrze mógł umrzeć gdzie indziej – mówiący wykonał ruch, jakby chciał strzepnąć z ubrania obrzydliwego owada.
Halldor leciutko zmrużył oczy:
– To, panie Stabany, że umarł tuż po wyjściu z waszej firmy. O ile mi wiadomo, zdarzyło się już kilkanaście podobnych wypadków.
– Wszyscy klienci podpisują oficjalne oświadczenia.
– Świstki, które nic nie znaczą. Mam bardzo poważne zastrzeżenia co do legalności waszej firmy. Po pierwsze: wypadki śmierci ludzi po zabiegu...
– Ledwie jeden na milion osób – Stabany lekceważąco skrzywił usta.
– ...a poza tym ta reklama: „już dziś będziesz wiedzieć, co zdarzy się za rok". Kłamstwo. To, co pokazujecie klientom, sprawdza się zaledwie w połowie.
– W pięćdziesięciu dziewięciu procentach – tym razem Stabany spoważniał, mówił powoli akcentując słowa. – Ale to są oficjalne dane. W rzeczywistości osiągamy dokładność do dziewięćdziesięciu dwóch i pół procenta. Rzecz jasna, że o tym klientów już nie informujemy.
– Zatajanie tego typu faktów również nie jest zgodne z prawem.
– Bzdura! Taki facet święcie przekonany, że nie wszystko musi się sprawdzić, ma przynajmniej złudzenie wolnej woli. Czy – w głosie Stabany'ego zadźwięczała drwina – postawiłby pan przed sądem lekarza, którzy pociesza śmiertelnie chorego?
– Pan nie jest lekarzem. Pan jest dyrektorem olbrzymiej firmy, żerującej na ludzkiej naiwności. Sprawdziłem, że roczne dochody wszystkich waszych filii sięgają miliardowych sum. I chociaż zawsze byłem przeciwny dostarczaniu sensacji brukowej prasie, tym razem zrobię wszystko, żeby ta sprawa dostała się do gazet.
– Nie ma pan prawa.
– Mam. Jako prowadzący śledztwo mogę udzielić informacji dziennikarzom. I do mnie należy ocena, które informacje są pożądane z punktu widzenia postępowania dowodowego. Taka afera rozdmuchana przez prasę umożliwi mi odnalezienie wszystkich ludzi poszkodowanych przez waszą firmę.
– Żadnej afery nie będzie.
– Bo? – we wzroku porucznika Halldora pojawiła iskierka rozbawienia.
– Bo nikt się do pana nie zgłosi. I po co to panu, poruczniku? Jest pan jeszcze młody, całe życie przed panem...
Przez chwilę Halldor zastanawiał się, czy w głosie Stabany'ego brzmi dobrotliwe pobłażanie, czy groźba.
– Widzę, że nie zna pan specyfiki naszej pracy. Tutaj przychodzą ludzie, którzy nie potrafią poradzić sobie z dzisiejszym dniem. Wszyscy załamani, wszyscy, którym się nie powiodło. A wychodzą od nas podniesieni na duchu – niepostrzeżenie Stabany wpadł w ton tłustego handlarza dobrocią – wychodzą z niezachwianą wiarą w lepsze jutro. Niech pan zrozumie, że nasza działalność to nie jest proste planowanie przyszłości ani ordynarne komputerowe wróżby. Zatrudniamy cały sztab wysoko wykwalifikowanych psychologów i...
– Na etatach szamanów, którzy wyłudzają pieniądze od prymitywnych, łatwowiernych głupców.
Halldor nie to mówił, co myślał. Przed rozmową ze Stabanym bardzo uważnie przestudiował technikę modelowania stosowaną w „Instant Day". Wcale jednak nie zamierzał chwalić się tym przed Stabanym. Wolał go sprowokować w nadziei, że zdenerwowany grubas powie wreszcie coś, co dałoby policji porządny punkt zaczepienia.
– Tak, żerujecie na ludzkiej naiwności i głupocie – powtórzył.
– To pan jest głupcem, poruczniku... – tym razem w zimnym i spokojnym głosie Stabany'ego nie było ani cienia złośliwości czy drwiny. Brzmiało to jak beznamiętne stwierdzenia mało ważnego faktu.
– Co!? – Halldor aż poderwał się z krzesła.
– Niech pan siada – obojętnie mruknął Stabany, wystukując jakiś kod na klawiaturze wideonu. – Z prywatnym gabinetem... – rzucił do mikrofonu. Potem obrócił aparat tak, żeby Halldor mógł zobaczyć ekran.
Porucznik powoli usiadł. Szarozielony plastyk ekranu pojaśniał i na tle urządzonego ze smakiem wnętrza pojawiła się postać prezydenta. Przez długą chwilę Halldor nie mógł oderwać oczu od stylowego biurka i szerokiego, chippendale'owskiego krzesła z poręczami, na których spoczywały dłonie prezydenta. Błyskawicznie przypomniał sobie sprawę tajemniczego zaginięcia mebli z miejskiego muzeum. Złodziej musiał być wyjątkowo bezczelny, skoro ośmielił się skradzione sprzęty sprzedać samemu prezydentowi. Choć wtedy prezydent wcale jeszcze nie był prezydentem... Halldor nagle zdał sobie sprawę, że Stabany mówi coś do mikrofonu:
– Słuchaj, Voitus. Mam tu policjanta, który kwestionuje legalność naszej firmy. Może ty umiałbyś trochę rozjaśnić mu w głowie? Ostatecznie jesteś jednym z głównych udziałowców.
Tłusta twarz Voitusa przybliżyła się ku Halldorowi, potem zaczęła się rozpływać w coraz szerszym uśmiechu. Halldor poczuł się nieswojo pod spojrzeniem obmacującym jego twarz i naramienniki. W ułamku chwili prezydent zgasił dobrotliwy uśmiech, jego głos brzmiał równie obojętnie, jak głos Stabany'ego:
– Ja go już gdzieś widziałem... Aha! Dobrze. Zapoznaj go z działalnością firmy. Tylko dokładnie...

"Instant Day"

Andrzej Krzepkowski

– Słyszał pan, poruczniku? – w głosie Stabany'ego pojawił się ton pogróżki. – Zgodnie ze swoim życzeniem otrzyma pan dostęp do naszej aparatury oraz pamięci komputera... – zawiesił głos i uniósł brwi, jakby wzrokiem pokazywał komuś plecy Halldora.
Porucznik zerwał się z krzesła, szarpiąc zatrzask kabury. Zdążył wyciągnąć broń i w tej samej chwili poczuł ukłucie w kark, potem dziwną ociężałość dłoni. Z coraz większej odległości dopływał słabnący głos Stabany'ego:
– Broń już nie będzie panu potrzebna, poruczniku Halldor. Zobaczy pan wszystko, albo nawet trochę więcej, niż się pan spodziewał... – później Halldor słyszał tylko coraz cichszy urągliwy śmiech.

Kiedy obudził się przywiązany do fotela, zobaczył przed sobą fragment olbrzymiej hali. Później zorientował się, że od najbliższej ściany dzieli go tafla grubego, niemal idealnie przejrzystego szkła. Za sobą słyszał czyjeś oddechy i kroki, lecz nie mógł obrócić głowy. Fotel ograniczał swobodę ruchów. Halldor rozluźnił naprężone mięśnie i przymknął oczy. Starał się nie myśleć o tym, co robią ludzie za jego plecami. I tak dolatywały do niego tylko głośniejsze stąpnięcia i niewyraźne słowa.
– Czy już się pan obudził? – jeszcze parę chwil Halldor trwał z zamkniętymi oczami zanim zrozumiał, że to pytanie zadano jemu.
– Tak. – Powoli uchylił powieki. Za szybą zobaczył twarz Stabany'ego. Lecz to już nie była twarz dobrodusznego grubasa, ujmującego klientów swoim łagodnym uśmiechem.
– To doskonale, bo nie mam zbyt wiele czasu. Sam pan rozumie. Praca... – przez moment na twarz dyrektora wrócił tamten zawodowy uśmiech człowieka, który obiecuje potencjalnym klientom laboratoryjny raj i najtańsze rozwiązanie ich życiowych problemów.
– Jak pan widzi, właśnie zapewniliśmy panu dostęp do naszych urządzeń. Myślę, że szczegółowe zapoznawanie pana z ich budową i zasadami działania byłoby bezcelowe, bo i tak nic pan nie zrozumie. Ograniczę się do szybkiego omówienia, żeby pan wiedział, co pana czeka. Później przejdziemy do demonstracji działania, zgoda?
Halldor tylko zmrużył oczy. Fotel nie pozwalał mu nawet na skinienie głową. Stabany drwił dalej:
– Zazwyczaj żądamy od klientów podpisania tego, co pan nazywa świstkami. Czyli oficjalnych oświadczeń, że nie będą rościć do naszej firmy pretensji bez względu na to, co zobaczą. Dla pana oczywiście uczynimy wyjątek. Osobiste polecenie prezydenta – brzuch Stabany'ego sfałdował się przy błazeńsko czołobitnym ukłonie – stanowi dla nas najzupełniej wystarczającą rękojmię pana lojalności. Ale czas na wyjaśnienia, których pan od dawna pragnie.
Halldor zacisnął zęby usiłując nie zwracać uwagi na złośliwy ton Stabany'ego. Nigdy nie znosił podłości, jaką niektórym typom daje poczucie własnej siły. Grubas patrzył na twarz porucznika z zimną obojętnością. Spokojnie mówił dalej:
– My nie żerujemy na ludzkiej głupocie, jak pan niezbyt uprzejmie zauważył. My wychodzimy naprzeciw ludzkim słabościom i cieka-

wości. Kiedy ktoś znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji, przychodzi do nas. My, oczywiście z zachowaniem pełnej komputerowej tajemnicy, odczytujemy jego dotychczasowe życie... – na słowa o zachowaniu tajemnicy Halldor uśmiechnął się ironicznie.

– Niech się pan nie śmieje, poruczniku. Nas naprawdę nie obchodzą wasze prywatne odchyłki. Oczywiście co innego, kiedy w grę wchodzi interes społeczny. To dzięki nam policja ma względnie pełną listę potencjalnych anarchistów. Generalnie biorąc, zasada działania naszych maszyn jest genialnie prosta. Na podstawie wstępnych informacji oraz w oparciu o niektóre prawa niezmiennie rządzące każdym socjoskładem modelujemy najbardziej prawdopodobny rok przyszły w życiu naszego klienta. Dodatkowe sprzężenia zwrotne w nowych typach iteratorów gwarantują elastyczność modelu nawet wtedy, gdyby osobowość klienta w wyniku dostarczenia nowego zespołu danych miała ulec jakimkolwiek zmianom. Stąd zresztą bierze się owe dziewięćdziesiąt dwa i pół procenta dokładności w prognozach. Cóż, skoro pan przybył do nas oficjalnie jako przedstawiciel prawa, musimy uczynić odstępstwo od zasady zachowania tajemnicy służbowej. Zapoznamy pana z tym fragmentem pamięci komputera, który obejmuje sprawę Steppena Kruova. Aha! Dla wyjaśnienia dodam, iż ów rok z reklamy istotnie jest swego rodzaju symbolem. Nawet pan sobie nie wyobraża, z jakimi głupstwami ludzie potrafią przychodzić. Większość tych śmiesznych problemików nasze komputery rozwiązują w ciągu modelowego miesiąca. Zaledwie raz na parę tysięcy przypadków zdarzają się problemy nierozwiązywalne na przestrzeni jednego roku. Aby więc uniknąć głupich reklamacji, decyzję o przerwaniu zabiegu zostawiamy komputerowi, który wypuszcza pacjenta biologicznie starszego o czas objęty modelowaniem, ale za to już pogodzonego z życiem i przygotowanego na wszystko, co może mu się w rzeczywistości przytrafić. Oczywiście bardzo dużo zależy od psychicznej odporności pacjenta. Bywają tacy, którzy z byle gówna potrafią sobie zrobić problem na całe życie. Do takich należał ten cały Kruov. Sam się pan jednak przekona, że wyszedł stąd już w stanie, który prymitywna psychotronicyna ubiegłych stuleci określała mało precyzyjnym terminem „katharsis". Czy pan mnie słucha? – Stabany przerwał, zauważywszy przymknięte powieki Halldora.

– Oczywiście – porucznik otworzył oczy. – Zastanawiałem się tylko... – ze skierowanego w bok spojrzenia Stabany'ego Halldor domyślił się, że gdzieś tam musi się znajdować głośnik komunikatora – ...jaki to problem zmusił tego nieszczęsnego Kruova do odwiedzenia waszej firmy.

Stabany obojętnie wzruszył ramionami.

– A co mnie to obchodzi? Sam się pan dowie za chwilę. Ale dość – spojrzał na zegarek. – Muszę kończyć. Życzę miłego oglądania.

Aha! – uśmiechnął się złośliwie. – Ponieważ pan zdaje się ma również jakiś swój moralny problem do rozwiązania, firma postanowiła ułatwić panu to zadanie. Oczywiście zupełnie gratis i poza kolejnością. Do osób przybywających tu z polecenia samego prezydenta podchodzimy z wyjątkową starannością. Można powiedzieć, że wręcz z rozkoszą spełniamy ich najskrytsze pragnienia...

Halldor z nienawiścią patrzył na plecy Stabany'ego. Przez moment dziwił się, że nie słyszy ciężkich kroków odchodzącego grubasa. Dopiero po chwili zrozumiał, że komunikator został wyłączony.

Przez cały czas doskonale pamiętał, co sprowadziło go do tej firmy, kryjącej się pod enigmatycznym skrótem „Instant Day". Pamiętał, że rano wstał o parę minut za późno, w pośpiechu zaciął się przy goleniu. Leciutko pocałował śpiącą Kay w policzek, zmarnował parę sekund patrząc, jak leniwie przeciąga się i uśmiecha zasypiając znowu. Potem wybiegł z domu bez śniadania, żeby w porę znaleźć się na trasie patrolowca, który zawoził dyżurnych funkcjonariuszy do komendy. Ledwie zdążył wbiec do gmachu, kiedy zabrzęczał automatyczny portier. Zatrzymał się w połowie kroku, z niechęcią obrócił głowę.

– Co jest? – mruknął.

– Porucznik Halldor natychmiast po przyjściu ma się zameldować u nadkomisarza Dagnera.

– Diabli nadali... – mruknął ze złością i skręcił w korytarz wiodący do gabinetu nadkomisarza. Takie wezwanie z samego rana nigdy nie wróżyło nic dobrego. Teraz wprawdzie nie miał nic poważniejszego na sumieniu, ale nadzieja na spokojne śniadanie w kantynie rozwiała się bezpowrotnie. Będzie musiał o suchym pysku wysłuchać wątpliwych dowcipów Duperela na temat całego przebiegu swojej służby i wszystkich pomyłek, jakie zdarzyło mu się kiedykolwiek popełnić. Policyjna legenda głosiła , że na Duperela tylko jeden człowiek znalazł właściwy sposób. Jakiś wyszczekany stójkowy po spokojnym wysłuchaniu całej litanii na temat jego pomyłek dorzucił:

– I jeszcze to, że poszedłem do roboty w policji, panie nadkomisarzu.

Następnego dnia stójkowy pracował już jako kanalizator. Halldor mimo wszystko lubił swoją pracę. Energicznie zapukał w drzwi, odczekał przepisowe pięć sekund i wszedł, tuż za progiem wyprężając się regulaminowo. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, kiedy Duperel na jego widok uśmiechając się wybiegł zza biurka.

– Doskonale, poruczniku. Dos-ko-nale! W naszej służbie punktualność to już połowa powodzenia. Druga część to oczywiście inteligencja i sumienność w wypełnianiu obowiązków.

– Tak jest, panie nadkomisarzu – ogłupiały Halldor zdobył się jedynie na regulaminową formułkę.

– A więc polegając na pańskiej inteligencji, poruczniku... – Drobner wrócił za swoje biurko – ...powierzam panu najnowszą sprawę. Wczoraj rano niejaki Steppen Kruov wyszedł ze swojego domu. Dziś w nocy jego ciało znaleziono tuż przed bramą firmy „Instant Day". Żona tego Kruova nalega na jak najszybsze wyjaśnienie sprawy. Łączyła się ze mną już trzy razy, grożąc wywołaniem skandalu, powiadomieniem prasy i tak dalej. Oczywiście nie muszę panu tłumaczyć, że jej oszczerstwa kierowane pod adresem „Instant Day" są dowodem psychicznego niezrównoważenia. Aha! – nadkomisarz ponownie przybrał dobrotliwy ton starszego kolegi, który chciałby pomóc młodszemu i niedoświadczonemu. – Niech pan zwróci uwagę przede wszystkim na fakt, że Kruov miał kochankę. Dyskretny wywiad, niestety przeprowadzony w pośpiechu, pozwala przypuszczać, że żona Kruova o tym wiedziała. W każdym razie na pewno miała okazję, żeby się dowiedzieć. Ta druga również mieszkała w dzielnicy Baarnitsch. A sam pan wie, że przed plotkarami z takiej dzielnicy nic się nie ukryje. Zresztą te wszystkie duperele znajdzie pan w protokole u siebie na biurku.

Okazało się, że w pośpiesznie założonych aktach sprawy znalazło się o wiele więcej. Oprócz rzeczy osobistych i dokumentów Kruova, było tam rówież zdjęcie, wykonane przez policyjnego fotografa w kilkanaście minut po znalezieniu ciała. Według dokumentów Kruov miał dwadzieścia siedem lat. Halldor długo patrzył na obie fotografie – tę w dowodzie i tę wykonaną już po śmierci – zanim zdecydował się na połączenie z żoną Kruova. I wcale nie był zaskoczony, kiedy kobieta nie rozpoznała swojego męża na policyjnym zdjęciu.

Pierwsze banalne rozwiązanie nasuwało się samo – zniechęcony i załamany Kruov postanowił zacząć życie na nowo. Znalazł sobie starego, obrośniętego włóczęgę, zaprowadził go pod bramę „Instant" i... Halldor zreflektował się. Kruov powinien przecież szukać kogoś młodego. Ponadto do udowodnienia takiej tezy Halldor potrzebował niezbitego świadectwa, że znaleziony denat i zaginiony Steppen Kruov nie są tą samą osobą. Czytając szczegółowy opis zwłok Halldor nagle trafił na ślad. Zmarły zamiast zębów miał wszczepione w dziąsła dwie płytki białego metaloplastu.

Odnalezienie dentysty, który wykonał zabieg było kwestią kilkudziesięciu minut. I jednocześnie okazało się całkowitym zaprzeczeniem pierwszej koncepcji Halldora. Stomatolog nie tylko rozpoznał wykonane przez siebie protezy na indywidualne zamówienie, lecz odnalazł również w swojej kartotece nazwisko i adres pacjenta:

„Steppen Kruov, lat dwadzieścia sześć, dzielnica Baarnitsch, blok..."

Halldor zapomniał o śniadaniu. Oświadczenie stomatologa było zaprzeczeniem zdrowego rozsądku. Eliminowało nie tylko prywatną koncepcję Halldora ale i to, co sugerował nadkomisarz Dagner.

Nathalie Kruov nie mogła zamordować swojego męża z zazdrości, działając w stanie chwilowego niezrównoważenia. Bo jej mąż, kiedy wychodził z domu, miał niespełna trzydzieści lat. Natomiast znalezione ciało Steppena Kruova miało biologicznych lat co najmniej siedemdziesiąt. I... tę samą protezę, wszczepioną przed zaledwie kilkoma miesiącami.

Po namyśle Halldor – wbrew wyraźnym sugestiom Duperela – wykazał brak inteligencji. Zdecydował się na zasięgnięcie szczegółowych informacji o działaniu firmy „Instant Day".

Podejrzenia dojrzewały w nim powoli. Teraz, w ciągu tych kilku sekund, jakie mu pozostały między odejściem Stabany'ego a włączeniem pamięci komputera, zrozumiał wszystko. Do ciała Steppena Kruova podłączono synchroniczną sieć tysięcy miniaturowych elektrod. W tej chwili sam czuł ich nieprzyjemny chłód na całym ciele. Elektrody bez przerwy dwoma równoległymi torami pobierały i dostarczały informacje. Pobierały informacje prawdzi-

we o tym, co Kruov robił przez całe dotychczasowe życie, co myślał i co lubił, co czuł, kiedy kochał żonę lub tamtą dziewczynę. A w zamian dostarczały mu setek i tysięcy bodźców tylko w części prawdziwych. Takich, które biologicznie postarzały jego mózg i ciało, lecz same przecież nie znaczyły nic. Były jedynie cyfrowym, nierealnym modelem świata, w jakim Kruov mógłby spokojnie żyć. To nie sam Kruov rozwiązywał swoje problemy, korzystając z pomocy szybkodziałającego komputera. Oszustwo tkwiło w tym, że maszyna podsuwała człowiekowi gotowe, starannie opracowane i wypróbowane schematy. Każdy, kto stąd wychodził, właściwie nie mał już żadnego wyboru. Stawał się przedłużeniem maszyny, realizując zaprogramowane sugestie. Halldor zrozumiał nagle o wiele więcej. Już wiedział, w jaki sposób przed dwustu laty zlikwidowano na całym świecie problemy alkoholizmu, buntu i narkomanii. Żadne używki nie były potrzebne, skoro za stosunkowo skromną opłatą można było sobie sprawić doskonałe złudzenie bezproblemowego świata. I nikt nie zdawał sobie sprawy, że za te złudzenia płaci własną swobodą osobistą, prawem wolności myślenia i jeszcze cząstką prawdziwego życia. Halldor szarpnął się gniewnie, lecz wyszło mu tylko słabe drgnięcie. Zawinięte ku środkowi brzegi fotela i szczelna siatka elektrod na nagim ciele trzymały lepiej niż kaftan bezpieczeństwa.

– No, no, no, spokojnie – zagadał ktoś za plecami Halldora. – Nie tacy jak ty podskakiwali już w tym fotelu i nie dali rady. Posiedź jeszcze chwilkę. Podłączymy cie, żebyś nie zdechł z głodu ani przypadkiem pod siebie nie napaskudził...

Halldor poczuł miękki dotyk chłodnego plastyku na podbrzuszu. Potem człowiek wepchnął między zęby Halldora coś, co momentalnie dostosowało się do jego szczęk i ust. Po chwili porucznik nie miał już wrażenia, że czegokolwiek językiem i wargami dotyka.

Skądś z góry cicho spłynęła kamera na teleskopowym wysięgniku, zatrzymała się na metr przed twarzą Halldora.

– No to nieźle musiałeś narozrabiać, chłopczyku – w polu widzenia Halldora nagle pojawił się człowiek, oburącz dźwigający ciężkie lustro w pozłacanych ramach. – Pan dyrektor ci przysyła. Żebyś sobie popatrzył, co się z tobą będzie działo.

Przez chwilę człowiek bezskutecznie usiłował ustawić lustro na przysunietym do fotela szklanym stoliku. Chwiało się i traciło równowagę. Wreszcie człowiek ostrożnie odłożył lustro na podłoge, na moment zniknął za fotelem, wrócił w pole widzenia Halldora, trzymając w dłoni kawałek cienkiego kabla. Przysunał stolik bliżej, oparł brzeg lustra o kamerę, oplątał kablem kilka występów na złoconej ramie, końce przewodu przywiązał do teleskopowego pręta.

I wtedy Haldor zrozumiał, że jednak ma pewną szansę. Mimowolnie uśmiechnął się na myśl, że przecież zawdzięcza tę ostatnią możliwość sadystycznej drwinie Stabany'ego. Grubas chciał, żeby porucznik w pełni zdawał sobie sprawę ze zmian, jakie zachodzą w jego ciele. Natomiast nie przewidział ani zasłonięcia kamery, ani tego, że porucznik Halldor nawet najtrudniejsze szachowe symultanki wygrywał w kilkunastu ruchach. Mózg policjanta pracował teraz szybko i spokojnie. Skoro Stabany chciał zostawić Halldorowi pełną świadomość umierania, to obejdzie się bez łamania blokady podświadomości. W efekcie przebieg procesu zostanie zubożony o kilka tysięcy czynnych sprzężeń z najwrażliwszym miejscem ludzkiej psychiki. Halldor przymknął oczy, obmyślając plan działania. Nawet nie zwrócił uwagi, kiedy facet z obsługi wycofał się cicho, znikł za oparciem fotela. Wiedział, że magnetyczne dyski ruszyły, bo nagle zaczął widzieć świat oczami Kruova. Jeszcze mógł sobie pozwolić na dekoncentrację. Miał nad komputerem tę przewagę, że wiedział, co stało się z Kruovem po wyjściu z gmachu „Instant Day". Kiedy komputer mechanicznie odtwarzając wczorajszy dzień podsuwał Halldorowi obraz trojga przytulonych do siebie ludzi (jakimś zakamarkiem świadomości Halldor zanotował fakt, że Nathalie Kruov nie tylko wiedziała o istnieniu Joy Asmaneé, ale nawet bardzo ją lubiła) myślał przede wszystkim o Kay, świadomie podsuwając maszynie bodźce rozbieżne z odczuwalnym obrazem. Spokojnie stwierdził, że problem jednostki nazywanej Steppen Kruov przestał go interesować i to właśnie był uchyb w modelowaniu procesu – pętle sprzeżenia między maszyną a ciałem i myślami Halldora pozostały otwarte. Niebezpieczeństwo groziło tylko wtedy, gdyby zasnął ze zmęczenia. I nagle uprzytomnił sobie, że przecież zarwał prawie całą poprzednią noc. Za rzadko widywał Kay, żeby usnąć przy niej spokojnie. Przez ciało Halldora przepłynęła ostra fala paniki. Przypadek sprawił, że w tej samej chwili Kruov pogwizdując wesoło wracał właśnie do domu po pracy. Po chwili Halldor zorientował się, że ma jeszcze jeden dodatkowy atut. To, że myśli o wiele wolniej, niż maszyna. Świadomość ludzka ma zbyt wiele ograniczeń, nie może w ułamku jednej chwili objąć całego życia. Spostrzegł, że wychwytuje tylko znikomą część wrażeń, resztę odbiera tylko jako nieprzyjemne migotanie i dreszcze, jako skurcze mięśni napinających się bez sensu, koordynacji i celu. Za to mózg Halldora pracował jeszcze bez zarzutu, automatycznie odliczał mijanie kolejnych sekund, które dla Kruova były godzinami. Całą siłą woli powstrzymywał się od stwarzania szczegółowych planów walki – komputer miał tę przewagę, że notował wszystko, co tylko powstało jako konkretny obraz w mózgu Halldora. Porucznik starał się myśleć jak najwolniej, podchwytywał i przeciągał wszystkie chwile bez obrazów. I wygrał. Wbrew pierwotnym dyspozycjom dyski magnetyczne z zapisem życia Kruova zmieniły bieg, dostosowały się do rytmu myślenia Halldora. Lecz to było jeszcze nic nie znaczące zwycięstwo, dopóki brzegi fotela oblepiające Halldora przy każdej najmniejszej próbie ruchu stawały się twardsze od stali, obciągniętej kauczukiem. Najtrudniejsze zaczęło się teraz, kiedy maszyna dostosowała się do fizjologii i osobowości Halldora. W ułamku chwili porucznik narzucił sobie pierwszą z brzegu obsesję. Mówić nie mógł, więc myślał tym intensywniej.

„Jestem młodą, piękną dziewczyną. Jestem... Pracuję w kabarecie, ale może już za parę dni... Stoję przed lustrem i patrzę na siebie, nie wiem w co ubrać się dziś wieczorem. Ta kolacja z Iaanem Gardminem to już prawie początek wielkiego świata i kariery. Może spodobały mu się moje piersi? Tak. Na pewno tak..."

Narzucona komputerowi sugestia przyniosła pierwszy skutek. Halldor poczuł, że szczelna sieć elektrod na jego torsie rozluźnia się powoli, dopasowując się do nieistniejącego biustu. W tej chwili błogosławił lustro, zasłaniające kamerę. A właśnie. Lustro. Ono też mogło się stać dodatkowym punktem w rozgrywce. Halldor odczekał, aż elektrody ustalą się w nowym położeniu, potem raptownie otworzył zaciśnięte powieki. Szok komputera odczuł jak wbicie w mózg rozpalonego gwoździa. Nawet nie mógł wrzasnąć ani zwinąć się z bólu. Przeczekał, aż ciemność ustąpi, potem podjął ostatnią, najbardziej ryzykowną decyzję. Jeżeli komputer uzna to za społeczne zagrożenie... Halldor przypomniał sobie dawno temu widziany, głupawy film. Uparcie powtarzał w myśli:

„Jestem śpiącym potworem, zwiniętym w poczwarny, nieforemny kłąb. Budzę się i prostuję powoli na całą swoją dwumetrową wysokość, wyprężam olbrzymią pierś. Jak na ludzkie normy jestem wręcz gigantem... Jestem...."

Poręcze fotela rozchyliły się z wahaniem, usiłując dopasować się do kształtu stworzonego przez mózg Halldora. Porucznik trwał bez ruchu jeszcze chwilę, potem wstał powoli, wyślizgując się z rozluźnionego oplotu. Rozejrzał się uważnie, tuż za oparciem dostrzegł niezbyt skomplikowaną konsolę, na której bezustannie migały jakieś światełka. Halldor – jeszcze opleciony elektrodami, jeszcze ciągle czując się potworem – powoli sięgnął po leżącą na konsoli pneumatyczną strzykawkę. Obejrzał ją, stwierdził, że ma jeszcze połowę zawartości i odłożył na miejsce. Potem ostrożnie przesunął głowę przez okno rozluźnionej siatki. Najniebezpieczniejsze, bo najkrótsze i najbardziej bezpośrednie połączenia z mózgiem zostały zerwane, Halldor czuł, że pozbawiona jego sterowania siatka znowu szczelnie opina jego ciało. Względna swoboda ruchów, jaką zyskał po opuszczeniu fotela pozwoliła mu sięgnąć do konsoli, przełączyć komputer na jałowe trwanie – na szczęście ze schematu zapamiętał, jak należy spiąć właściwe obwody tak, aby wyjście komputera stało się jednocześnie punktem podawania wejściowego sygnału. Teraz Halldor zaczął się śpieszyć. Wiedział, że ma bardzo mało czasu do chwili, kiedy relaksacje przesterują pierwsze bloki komputera. Zarówno wyłączenie, jak i spalenie maszyny prowadziłoby do odkrycia faktu, że Halldorowi udało się uwolnić.

A tego porucznik chciał za wszelką cenę uniknąć. Jego wzrok ponownie padł na strzykawkę. – To pewnie tym mnie załatwili – mruknął z namysłem. Wziął strzykawkę do ręki, nacisnął – w głąb pomieszczenia strzeliła cieniutka strużka cieczy. – Tak – Halldor uśmiechnął się, cicho podchodząc do drzwi. – Jednak powinni przy

Andrzej KRZEPKOWSKI

urodził się w 1953 r. w Warszawie. W roku 1971 ukończył liceum ogólnokształcące. Pierwsze próby pisania fantastyki naukowej zostały uwieńczone debiutem prozatorskim w 1976 roku w „Perspektywach". Dziś Andrzej Krzepkowski należy do najbardziej kontrowersyjnych pisarzy młodego pokolenia polskich fantastów. W swym dorobku ma trzy powieści: **„Obszar nieciągłości"** (1979), **„Śpiew kryształu"** (1981) i **„Kreks"** (1982) oraz dwa zbiory opowiadań: **„Obojętne planety"** i **„Wytrzymać ciszę"**. Opowiadania z tomu „Obojętne planety" ukazały się w przekładzie czeskim. W latach 1976–1981 Andrzej Krzepkowski był aktywnym działaczem polskiego ruchu miłośników fantastyki.

mnie zostawić jakiegoś strażnika. Chyba do tej pory jeszcze nikt im się stąd nie wywinął.

Powoli i ostrożnie uchylił drzwi, obrzucił korytarz jednym szybkim spojrzeniem, dostrzegł w jego końcu oszkloną dyżurkę, w której spokojnie drzemał sobie portier. Za nim ciemniało okno. – To już noc – pomyślał Halldor, bezszelestnie sunął po korytarzu. Po chwili był już przy drzwiach, delikatnie dotknął klamki. Zaskrzypiała. Halldor zacisnął zęby, położył palec na spuście strzykawki, jednym gwałtownym ruchem otworzył drzwi, wycelował. Półprzytomny strażnik powoli osunął się z krzesła. Halldor chwycił go w pasie, przerzucił sobie przez ramię, ugiął się pod ciężarem, lecz pobiegł z powrotem do swojego boksu. Prawie obdarł portiera z ubrania, naciągnął na jego ciało porzucone przed chwilą elektrody, ułożył go w fotelu i rozłączył zblokowane obwody. Wiedział, że narkotyczny sen złamie pierwszy opór strażnika. A kiedy tamten zacznie się budzić, będzie już dla niego za późno. Halldor wzdrygnął się na myśl, co by było, gdyby podłączono go do komputera parę minut wcześniej. Ubrał się szybko w mundur portiera, wyjął z kabury jego broń, parę razy przesunął bezpiecznik, usiłując wyczuć i poznać wszystkie możliwe opory. Potem schował stupor do kabury i spokojnie wyszedł. Po korytarzu stąpał już swobodnie, nawet lekko uśmiechając się do swoich myśli. Przechodząc obok otwartych drzwi dyżurki sięgnął po porzuconą strzykawkę, sprawdził ile w niej jeszcze zostało płynu, schował do kieszeni. Za załomem korytarza znalazł windę i schody. Początkowo zamierzał zbiec na dół, potem skierował się ku windzie i znowu zatrzymał się w połowie kroku. Jednak nie czuł się na tyle pewnie, żeby ryzykować zbyt wiele. Powoli schodził z dziewiątego piętra. Nawet zdjął buty, żeby nie sprawiać zbytniego hałasu, założył je dopiero tuż przed dotarciem do ostatniego półpiętra. Na parterze zaskoczyło go to, że w olbrzymim hallu nie było nikogo. Nieufnie podszedł do drzwi, obejrzał je uważnie, szukając śladów jakiegoś ukrytego systemu alarmowego. Potem wyprostował się, pokręcił głową i pchnął skrzydła drzwi na boki. Jedynym zabezpieczeniem było wyłączanie na noc fotokomórki. Spokojnie wyszedł na parking przed gmachem, wsiadł do zostawionego rano wozu patrolowego. Widać nawet nie zadali sobie trudu zawiadomienia Duperela, co się stało w głównym gmachu „Instant Day". I Halldor wcale nie miał o to pretencji. Dzięki temu zyskał swobodę działania. Uśmiechnął się jeszcze raz, przypominając sobie prywatny adres Stabany'ego i słowa Duperela o inteligencji i sumienności w sprawdzaniu nawet najdrobniejszych szczegółów, które mogłyby mieć jakikolwiek związek z aktualnie prowadzoną sprawą. Nie włączając syreny ani ostrzegawczych świateł na dachu, Halldor nacisnął pedał rozrusznika i wyjechał z parkingu, kierując się w stronę podmiejskiego centrum Kranin.

W dwadzieścia minut później Halldor kolbą stupora ogłuszył nocnego stróża i przez uchylone drzwi na taras wśliznął się do wnętrza parterowej willi. Światła były zapalone, więc ktoś powinien być w domu. Porucznik nasłuchiwał chwilę, potem cicho ruszył przed siebie starając się omijać wszystko, co mogłoby się stać pułapką dla nieproszonego gościa. Wybierał jedynie odkryte fragmenty podłogi. Kiedy doszedł już do połowy domu zorientował się, że wszystkie te środki ostrożności były niepotrzebne. Z łazienki dolatywał głośny szum wody i fałszywe podśpiewywanie. Halldor na chwilę zatrzymał się pod drzwiami, potem szybko sprawdził pozostałe pomieszczenia – oprócz człowieka śpiewającego w łazience w całym domu nie było nikogo. Powoli uchylił drzwi, potem otworzył je na całą szerokość i szybko podszedł do wanny. Tak szybko, że Stabany nie zdążył zrozumieć, co się stało. Dla wstępnego ułatwienia rozmowy Halldor wepchnął głowę grubasa do wody i przytrzymał przez kilkanaście sekund. Tamten rzucił się, ale w zbyt obszernej wannie nie znalazł żadnego oparcia. Halldor cofnął dłoń, pozwalając Stabany'emu wychylić głowę spod wody. Z rozbawieniem obserwował, jak z twarzy grubasa szybko znika zdziwienie i niezadowolenie, zastępowane przez gwałtowny grymas przerażenia.

– Myślę... – Halldor nieco przykręcił kurek, żeby nie wydzierać się bez potrzeby – ... że wanna jest równie dobrym miejscem do rozmowy, jak tamten fotel. Milcz! Twojego nocnego stróża uśpiłem, więc wrzask nic ci nie da.

Mimo to Stabany otworzył usta do krzyku, Halldor otwartą dłonią uderzył go w twarz, mówiąc z wyrzutem:

– Przecież prosiłem.
Może uderzenie, może spokojny ton Halldora uspokoiły Stabany'ego.

– Czego chcesz? – przerażonymi oczyma bez przerwy śledził każdy ruch Halldora.

– Ostatnio wspominałeś o oddaniu mi drobnej, przyjacielskiej przysługi. Przyszedłem poprosić cię o jeszcze jedną...

– O...? – Stabany zamarł z wpółotwartymi ustami.

– Nic szczególnego. Ty pewnie znasz dokładny adres prywatnego mieszkania Voitusa...

Stabany gwałtownie potrząsnął głową i znowu zamarł bez ruchu. Tylko z jego oczu znowu wyjrzał strach.

Halldor bez patrzenia sięgnął ręką w tył, zakręcił kurki do oporu.

– Przelałoby się – mruknął wskazując brodą poziom wody dochodzący już niemal do brzegu wanny. – Szkoda podłogi. A co do tego ostatniego drobiazgu, to przecież nie uwierzę, że nie znasz adresów swoich najlepszych przyjaciół – leciutko mrużył oczy. – To bardzo nieładnie okłamywać biednych policjantów. Bo przecież ja nie byłem pierwszy, prawda?

– Tamci dawali się przekonać – stęknął Stabany, usiłując wygramolić się z wanny.

– Nie – Halldor potrząsnął głową. – Nie wyjdziesz, dopóki się nie dowiem.

– Po co ci to? – Stabany odprężył się.

– Z nim także chciałbym porozmawiać. Potrzebuję... – Halldor na pół sekundy zawiesił głos. – Widzisz, mam już trzydzieści dwa lata i cholernie małe szanse awansowania dalej. Duperel mnie nie lubi. Przecież dlatego wpakował mi tę cholerną łamigłówkę...

– Głupi jesteś – Stabany wygodnie rozparł się w wannie. – W trzy dni po odfajkowaniu sprawy dostałbyś służbowe przeniesienie do wewnętrznych w randze nadkomisarza. Teraz trzeba będzie odkręcać, to co dzisiaj namotałeś Ale ja ci pomogę... – Stabany zmrużył powieki, opanowując domyślny i zarazem złośliwy uśmieszek.
– Skoro chodzi o taki drobiazg...

– Wolę gwarancje, a nie obietnice – Halldor spojrzał na grubasa nieufnie. – Najpierw adres. I rozmowa z prezydentem jeszcze dziś. Przy mnie.

– Proszę bardzo – Stabany uśmiechnął się szeroko. – Voitus ma kilka gabinetów, ale dziś jest o trzy domy dalej.

– Co? – Halldor przypomniał sobie pancerny samochód stojący przed którąś bramą na tej samej ulicy. – W porządku. Ale mimo to wolałbym sprawdzić. Na wszelki wypadek podaj inne adresy.

Wyliczanie trwało około dziesięciu minut. Pod koniec listy Halldor ze zniechęceniem machnął ręką, mrucząc:

– Przestań, przestań do licha. Wystarczy. A teraz... – pochylił się nad wanną i uważnie zajrzał w oczy Stabany'ego. Patrzył tak długo, aż w spojrzeniu grubasa pojawił się powoli narastający strach.

– A teraz przejdziemy do właściwego celu mojej wizyty.

Stabany rozpaczliwie usiłował poderwać głowę, jego ręce i nogi przez kilka chwil rozchlapywały wodę dokoła wanny. Lecz Halldor trzymał mocno i tak długo, dopóki woda w wannie nie uspokoiła się całkowicie. Potem długo i starannie wycierał dłonie, popatrując na wykrzywioną i obrzękłą twarz Stabany'ego. Wyszedł z łazienki, cicho zamykając drzwi.

Parę chwil później sadowił się w swoim wozie, układając kolejny plan działania. Tutaj jedyną względnie realną szansą było bezczelne zaskoczenie. O tym, żeby bez kłopotu obezwładnić kilkunastu goryli nawet nie marzył. Ale gdyby podjechał pod bramę służbowym wozem...

Powoli nacisnął pedał i ruszył w stronę pancernego wozu stojącego nieopodal. I nagle poczuł, że równie powoli zapada się w miękką, nieogarnioną ciemność.

Stabany stał przed fotelem, uśmiechając się złośliwie, potem lekko wzruszył ramionami, obrócił się do towarzyszących mu mężczyzn.
– Zabierzcie to stąd – rozkazał, pokazując martwe ciało starca zagubione w olbrzymim fotelu. – A jego rzeczy odeślijcie do komendy policji do nadkomisarza Dagnera. Nie powiedziałbym, że się ucieszy. Ostatecznie teraz będzie miał na głowie już dwie baby do uspokojenia.

■

– Boże! On ma bombę! – odezwał się człowiek z pistoletem.
Tanner uśmiechnął się.
– Zamknij się i słuchaj! – powiedział. – Albo może zastrzel mnie i powędrujemy wszyscy razem do nieba. Próbowałem dostać się do telefonu. Skrzynka na bagażniku mojego motocykla jest pełna antyserum Haffikiny. Przywiozłem ją z L.A.
– Nie przejechałeś Alei na tym motocyklu!
– Nie, nie przejechałem. Mój samochód leży rozwalony gdzieś między Bostonem a Albany, tak samo zresztą jak kupa ludzi, którzy próbowali mnie zatrzymać. Bierzcie lepiej szybko te lekarstwa i wieźcie je gdzie trzeba.
– Nie bujasz, Mister?
– Ręka mi się szybko męczy. Nie czuję się najlepiej. – Tanner oparł się o motocykl. – Proszę.
Wyciągnął z kieszeni kurtki swe ułaskawienie i wręczył je policjantowi trzymającemu kajdanki.
– To jest moje ułaskawienie – powiedział. – Zostało jak widzisz wystawione w Kalifornii.
Mężczyzna wziął kopertę, otworzył ją i wyciągnął dokument. Studiował go przez chwilę.
– Wygląda na autentyczny – powiedział w końcu. – A więc Brady przejechał...
– On nie żyje – przerwał mu Tanner. – Słuchaj, jestem ranny. Róbcie coś!
– O Boże! Trzymaj to mocno! Właź do samochodu i siedź! My tylko chwileczkę... Zaraz przeniesiemy skrzynkę do wozu i ruszamy. Dojedziemy do rzeki i będziesz mógł wrzucić do niej to świństwo. Ściśnij mocno.
Zdjęli szybko skrzynkę z motocykla i umieścili ją ostrożnie w bagażniku samochodu. Tanner siedział obok kierowcy, wystawiwszy rękę z granatem przez opuszczoną szybę.
Zawyła syrena wozu policyjnego i rękę Tannera, od nadgarstka po ramię, przeszył ostry ból. Tak łatwo było po prostu puścić.
– Gdzie trzymacie tę swoją rzekę? – jęknął.
– To kawałek. Zaraz tam będziemy.
– Spieszcie się. – Głos mu się łamał.
– Wytrzymaj! Niedaleko jest most. Wjedziemy na niego i wyrzucisz granat do rzeki jak będziesz mógł najdalej.
– Człowieku, jestem zmęczony! Nie wiem, czy dam radę...
– Szybciej, Jerry!
– Przecież jadę szybko, do cholery! Nie mamy skrzydeł.
– Kręci mi się w głowie...
Samochód wpadł na most i zatrzymał się z piskiem opon. Tanner wolno otworzył drzwiczki. Te od strony kierowcy zamknęły się już z trzaskiem.
Zachwiał się. Mężczyźni pomogli mu dojść do barierki. Uczepił się jej kurczowo, gdy go puścili.
– Nie myślałem...
Wyprostował się, wziął zamach i cisnął granat daleko przed siebie.
Uśmiechnął się. Gdzieś pod mostem dał się słyszeć wybuch i woda w tym miejscu zakotłowała się.
Dwaj policjanci odetchnęli z ulgą, a Tanner zachichotał.
–Czuję się całkiem dobrze – powiedział normalnym głosem. – Chciałem was tylko nastraszyć.
– Dlaczego...
Upadł. W snopach światła, rzucanych przez reflektory ujrzeli bladość jego twarzy.

XIX

Następnej wiosny, w dniu odsłonięcia pomnika Czarta Tannera we Wspólnocie Bostońskiej odkryto, że ktoś wydrapał na cokole nieprzyzwoite słowa. Nikomu nie przyszło do głowy, aby spytać oczywistego sprawcę, dlaczego to uczynił, a następnego dnia było już za późno, gdyż wyjechał on w niewiadomym kierunku, nie pozostawiając adresu. Tego też dnia zameldowano o kradzieży kilku samochodów, a jednego z nich nigdy już w Bostonie nie oglądano.
Odsłonięto więc pomnik, na którym Tanner, większy niż ten żywy, siedział okrakiem na Harleyu z brązu. Wyczyszczono cokół dla spodziewanych przyszłych pokoleń. Nadlatujące nad Wspólnotę wiatry ciągle szalały wokół niego, a nieblosa ciągle zrzucały śmiecie.

KONIEC

ALEJA POTĘPIENIA

ROGER ZELAZNY

(Damnation Alley)

przełożył **Jacek Manicki**

Roger Zelazny, **uznawany obok S. R. Delany'ego i H. Ellisona za najwybitniejszego przedstawiciela amerykańskiej „Nowej Fali SF", urodził się 13 maja 1937 r. w Cleveland w stanie Ohio. Studiował na Western Reserve University, później przeniósł się na Uniwersytet w Columbii, gdzie obronił pracę magisterską z filologii angielskiej i literaturoznawstwa (specjalizował się w dramaturgii angielskiej XVII wieku). Był luźno związany ze szkołą „New Criticism", jednym z najbardziej wpływowych kierunków badań literackich XX wieku, postulującym autonomię utworu wobec osoby pisarza, antypsychologizm, uwolnienie interpretacji tekstu od elementów biografizmu i dociekań genetyczno-historycznych (przedstawiciele w USA: A. Tate, C. Brooks, R. P. Warren, W. K. Wimsatt). W latach 1962-1969 pracował w Ohio, jako przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej (od 1969 do 1972 w Zarządzie Głównym tej instytucji). Obecnie mieszka w Santa Fé w stanie Nowy Meksyk i utrzymuje się głównie z twórczości literackiej.**

Pierwsze opowiadanie Zelazny'ego: *„Passion Play"* ukazało się na łamach „Amazing Stories" w sierpniu roku 1962. W listopadzie 1963 r. „Magazine of Fantasy and Science Fiction" publikuje jego kolejny utwór *„A Rose for Ecclesiastes"*, a w marcu 1965 nowelę *„The Doors of His Face, the Lamps of His Mouth"*. W 1965 powstaje opowiadanie *„He Who Shapes"* („Amazing Stories", 1–2), które kilka lat później zostaje rozszerzone do wymiarów powieści: *„The Dream Master"* (1969). W roku 1965 Zelazny publikuje swą pierwszą książkę *„....and Call Me Conrad"* („Magazine of Fantasy and Science Fiction" Io-II) wydaną następnie pod tytułem *„This Immortal"* (1966). W latach 1969–1978 pisze: *„Lord of Light"* (1967), *„Damnation Alley"* (1969), *„Creatures of Light and Darkness"* (1969), *„Today We Choose Faces"* (1973), *„To Die in Halbar"* (1973), *„Sign of the Unicorn"* (1975), *„Home is the Hangman"* („Analog Science Fact/Science Fiction", II/75), *„Doorways in the Sand"* (1976), *„My Name is Legion"* (1976), *„The Hand of Oberon"* (1976), *„Bridge of Ashes"* (1976) oraz cykl *„Amber"* (1977–1978). W 1976 r., wspólnie z Ph. Dickiem, wydaje powieść *„Deus Irae"*.

Roger Zelazny jest trzykrotnym laureatem nagród „Nebula" (za opowiadania: *„He Who Shapes"*, 1965; *„The Doors of His Face..."*, 1965; *„Home Is the Hangman"*, 1975;) oraz „Hugo Gernsback"; (za powieści: *„....and Call Me Conrad"*, 1966; *„Lord of Night"*, 1968; oraz za opowiadanie *„Home Is the Hangman"*, 1976)

Po przejściowym spadku zainteresowania w połowie lat 70-tych, twórczość R. Zelazny'ego cieszy się nadal niesłabnącym powodzeniem. Wielobarwny, emocjonalny język jego opowiadań, egzotyka i pasjonująca akcja utworów, odwołująca się do tradycji mitologiczno-religijnych, przyciąga uwagę wielu czytelników SF.

Czy była burza? Nie pamiętał. Gdy się ocknął, leżał na lewym boku, przyciśnięty plecami do drzewa. Było południe. Z góry padały na niego promienie różowego słońca, a mgła zniknęła. Skądś dochodził świergot ptaków. Chciał zakląć na głos i z krtani wydobył się ochrypły charkot. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak wysuszone ma gardło. Zapałał nagle straszliwym pragnieniem.

W odległości trzydziestu stóp dostrzegł czystą kałużę. Podpełzł do niej i pił łapczywie. Woda zmętniała.

Zaspokoiwszy pragnienie powlókł się na czworakach do miejsca, gdzie ukrył motocykl i wstał. Oparł się o maszynę. Gdy zapalał papierosa, trzęsły mu się ręce.

Dysząc ciężko wepchnął motocykl na szosę. Brnął do niej chyba z godzinę. Nie miał pojęcia, która to godzina, bo zegarek był rozbity. Gdy ruszał, słońce chyliło się już za jego plecami ku zachodowi. Wiatr smagnął go po twarzy, a gwiżdżące w uszach prądy powietrza odcięły swym przepływem jego świadomość od świata zewnętrznego. Ładunek spoczywał bezpiecznie na tylnym bagażniku. Tanner wyobraził sobie nagle, jak ktoś tam na miejscu otwiera skrzynkę i znajduje w niej stertę potłuczonych butelek. Śmiał się i klął na przemian.

Minęło go kilka samochodów zmierzających w przeciwnym kierunku. Nie widział jeszcze takiego, który kierowałby się w stronę miasta. Droga była w dobrym stanie, a wzdłuż niej stały nieźle utrzymane, niezamieszkałe jednak budynki. Nie zatrzymywał się. Tym razem postanowił nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem, chyba że zostanie do tego zmuszony.

Słońce zniżyło się jeszcze bardziej i niebo na wschodzie pociemniało. Kołysały się po nim dwie czarne linie. Minął drogowskaz, z którego odczytał, że do przejechania pozostało mu jeszcze osiemnaście mil. Dziesięć minut później włączył reflektory.

Wspiął się na szczyt wzgórza i zwolnili, zanim szosa zaczęła opadać z powrotem w dół.

Daleko przed sobą, u stóp wzniesienia ujrzał światła.

Wyrwał do przodu. Wiatr przyniósł mu dźwięk dzwonu, rozlegający się w zapadających ciemnościach. Poczuł unoszącą się w powietrzu, znajomą woń: to był słony zapach morza.

Gdy zjeżdżał w dół, słońce skryło się za wzgórzem. Pędził teraz w niekończącym się cieniu. Daleko na horyzoncie, między dwoma czarnymi pasami, pojawiła się samotna gwiazda.

W gęstniejącym mroku jarzyły się światła. Budynki stały teraz bliżej siebie. Pochylił się nisko nad kierownicą. Bolały go mięśnie ramion i żałował, że nie ma na głowie kasku. Czuł, iż coraz bardziej traci poczucie równowagi.

To chyba już niedaleko. Gdzie ma się udać, gdy dotrze do miasta? Nie powiedzieli mu tego.

Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób przywrócić jej zdolność logicznego rozumowania.

Ulica, którą teraz jechał, zdawała się być wyludniona. Nie słyszał odgłosów ruchu kołowego. Zatrąbił i po chwili echo powróciło do niego odbite od jakiejś skrytej w mroku przeszkody.

W budynku po lewej paliły się światła. Zatrzymał się, zsiadł z motocykla i podszedłszy do drzwi zabębnił w nie pięścią. Wewnątrz panowała głucha cisza. Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Jeśli w środku jest telefon, to jego podróż może zakończyć się już tutaj.

A co, jeśli wszyscy mieszkańcy tego domu nie żyją? Przyszło mu nagle do głowy, że do tej pory mogło już wymrzeć całe miasto. Włamie się do środka! Wrócił do motocykla po śrubokręt i zaczął manipulować przy zamku.

Mniej więcej w tej samej chwili usłyszał strzał i warkot silnika.

Odwrócił się szybko i oparł plecami o drzwi. W prawej, obleczonej w rękawicę dłoni ściskał ukryty granat.

– Stój! – zaryczał głośnik umieszczony na dachu zbliżającego się, czarnego samochodu. – To był strzał ostrzegawczy! Następny pójdzie w ciebie!

Tanner uniósł ręce do poziomu uszu, odwracając prawą dłoń grzbietem do przodu, aby zasłonić trzymany w niej granat. Zrobił parę kroków i przystanął przy krawężniku, obok swego motocykla. Czarny samochód zatrzymał się.

W środku siedziało dwóch policjantów i ten zajmujący miejsce obok kierowcy trzymał pistolet 0,38 wycelowany prosto w Tannera.

– Jesteś aresztowany – powiedział policjant. – Za szaber.

Tanner skinął głową. Obydwaj mężczyźni wysiedli z samochodu. Kierowca obszedł wóz wokół maski, niosąc w ręku kajdanki.

– Szaber – powtórzył mężczyzna z pistoletem. – Posiedzisz parę lat.

– Daj tu rączki, chłopcze – powiedział drugi glina i Tanner wręczył mu zawleczkę granatu.

Mężczyzna gapił się na nią tępo przez kilka sekund, potem jego oczy pobiegły do prawej ręki Tannera.

W boku zabolało tak strasznie, iż myślał, że pękają wszystkie żebra, schwycił jednak za rozpórkę sterczącą z tylnego błotnika motocykla i dał mu się powlec po ziemi.

Po przebyciu w ten sposób dziesięciu stóp, trzymał już w drugiej dłoni sztylet wyciągnięty z buta. Dźgnął na oślep w górę i poczuł jak ostrze przebija cienką, metalową ściankę. Puścił się wtedy rozpórki i legł twarzą do ziemi, czując zapach benzyny. Ręka powędrowała do kieszeni i wysunęła się z niej ściskając zapalniczkę.

Przebił bak zawieszony z boku motocykla Wielkiego Brata i jego zawartość tryskała teraz na drogę. Dwadzieścia stóp dalej. Wielki Brat zawracał.

Tanner trzymał zapalniczkę, zapalniczkę z uniesionym wieczkiem i orlimi skrzydłami po bokach. Kciuk pokręcił kółkiem, trysnęły iskry, buchnął płomień. Cisnął ją w przepływający przed nim strumień benzyny. Ognista pręga pomknęła błyskawicznie w kierunku Wielkiego Brata.

Wielki Brat skończył nawrót ruszając znowu na Tannera, gdy nagle zorientował się co mu grozi. Wytrzeszczył oczy, a obramowany płomienną brodą uśmiech znikł z jego twarzy.

Próbował jeszcze zeskoczyć z motocykla, ale było już za późno. Upadł naszpikowany odłamkami eksplodującego zbiornika paliwa, z wielkim kawałem żelaza w głowie.

Płomienie dosięgły też Tannera. Dusił je niemrawo gołymi rękoma.

Ugasiwszy swoje ubranie, uniósł głowę i spojrzał na ognistą hekatombę i zamykając oczy znowu legł twarzą do ziemi. Broczył krwią, był osłabiony i bardzo wyczerpany. Jego motocykl stał nie uszkodzony na drodze.

Zaczął pełznąć w tamtym kierunku.

Dotarłszy do maszyny rzucił się na siodełko i zwisał z niego przez dobre dziesięć minut. Zwymiotował dwa razy, a ostry ból przerodził się w nieustające pulsowanie.

Po godzinie wgramolił się na motocykl i zapuścił silnik.

Po przejechaniu pół mili zmogły go zawroty głowy i zmęczenie.

Zjechał z szosy, ukrył najlepiej jak potrafił motocykl i, położywszy się na gołej ziemi, zasnął.

XVIII

Ocknął się leżąc na boku w kałuży zakrzepłej krwi. Lewa ręka była spuchnięta i bolała. Czuł sztywność w czterech palcach i cierpiał starając się je zgiąć. W głowie pulsowała krew, a smak benzyny w ustach doprowadzał go do mdłości. Przez dłuższą chwilę był zbyt obolały, aby się poruszyć. Brodę miał osmaloną płomieniem, a prawe oko zapuchnięte tak, że ledwie na nie widział.

– Corny... – jęknął. – Cholera!

Przed oczyma, niczym treść sugestywnego snu wyłaniającego się nagle z zakamarków podświadomości, przelatywały obrazy z przeszłości.

Zaczął dygotać. Wszystko wokół spowijała mgła. Było bardzo zimno i przemarzły mu nogi. Wilgoć przesiąknęła na wylot przez drelichowe spodnie.

Słyszał gdzieś w oddali przejeżdżające pojazdy. Chyba samochody.

Zdołał przetoczyć się na drugi bok i podparł głowę ręką. Była noc, ale równie dobrze mógł to być ciemny dzień.

Leżąc tak, wrócił myślami do swej więziennej celi. Teraz wydawało mu się, że było mu tam jak w niebie. Pomyślał też o swoim bracie Dennym, który też pewnie cierpi w tej chwili. Zastanawiał się, czy sam również ma połamane żebra. Wszystko wskazywało na to, że tak. Myślał o potworach z południowego zachodu i o ciemnookim Gregu. Czy żył jeszcze? Jego myśli uleciały z powrotem do L.A. i starego Barbary Coast, które po Wielkiej Obławie skończyło się raz na zawsze. Potem przed oczyma przesunęła mu się Corny z zakrwawioną piersią. Zagryzł wargę i mocno zacisnął powieki. Mogli razem ułożyć sobie życie w Bostonie. Jak jeszcze daleko?

Podźwignął się na kolana i popełznął na czworakach przed siebie, dopóki nie uderzył głową w coś wysokiego i twardego. Drzewo. Usiadł, opierając się o nie plecami. Dłoń błądziła po kurtce w poszukiwaniu papierosów. Znalazł zmiętoszoną paczkę. Wyciągnął jednego, przerolował go w palcach i przypomniał sobie, że jego zapalniczka leży teraz gdzieś na autostradzie. Wygrzebał z kieszeni zawilgocone pudełko zapałek. Trzecia zajęła się płomieniem. Gdy zaciągnął się dymem, przenikający go do szpiku kości chłód minął i spłynęła na niego fala gorąca. Odpinając kołnierzyk zakaszlał i poczuł w ustach smak krwi.

Jedyną bronią, jaka mu pozostała, był zwisający u pasa granat.

Nad głową w ciemnościach usłyszał ryk. Zaciągnął się sześć razy, papieros wyśliznął mu się z palców i zaskwierczał w zetknięciu z wilgotną ziemią. Głowa opadła mu na piersi i stracił przytomność.

I

Tuż obok zanurkowała mewa. Przez chwilę wydawało się, że zawisła nieruchomo w powietrzu na szeroko rozpostartych skrzydłach.

Czart Tanner cisnął w nią niedopałkiem cygara i zaliczył celne trafienie. Ptak wydał ochrypły krzyk, wzbił się gwałtownie w górę i czy wrzasnął ponownie, tego Tanner nigdy już się nie dowiedział.

Ptak odleciał.

Na tle fioletowego nieba kołysało się jedno jedyne siwe piórko. Spychane wiatrem poza krawędź urwiska, opadało na ocean, wirując wokół własnej osi. Do jednostajnego wycia wichru i grzmotu tłukących o brzeg fal dołączył się chichot zadowolonego z siebie Tannera. Spuścił nogi z kierownicy motocykla, złożył kopniakiem podpórkę. Ryknął zapuszczany silnik.

Brał wolno pochyłość terenu, dopóki nie dotarł do szlaku, tam przyspieszył i kiedy wpadał na autostradę strzałka licznika stała już na pięćdziesiątce.

Miał całą drogę dla siebie, pochylił się więc nad kierownicą i gnał przed siebie, dociskając do dechy pedał gazu. Na oczy nasunął gogle i oglądał świat przez szkła koloru ekskrementów, co było mniej więcej sposobem, w jaki nań patrzył także bez nich.

Z jego kurtki zniknęło całe stare żelastwo. Stracił swastykę oraz, nad czym bolał najbardziej, uniesiony ku górze kciuk. Zerwali mu również jego emblemat. Może zdoła zdobyć taki w Tijuanie i poderwie jakąś dziwkę, która mu go naszyje i... Nie. Dość tego. Z tamtym już koniec. Zdradziłby się i nie doczekał końca dnia. Zrobi tak: sprzeda Harleya, czysty i nie zwracający uwagi przedostanie się wybrzeżem na południe i zobaczy, co można zdziałać w drugiej Ameryce.

Zjechał na luzie z jednego wzgórza i z ogłuszającym rykiem silnika wdarł się na następne. Mknął autostradą, mijając po drodze Laguna Beach, Capistrano Beach, San Clemente i San Onofre. Zatrzymał się w Oceanside, gdzie zatankował, a potem pojechał dalej przez Carlsbad i wszystkie te zapomniane, małe plaże, zapełniające wybrzeże przed Solana Beach Del Mar. Czekali na niego na peryferiach San Diego.

Spostrzegł blokadę drogi i zawrócił. Nie wierzyli własnym oczom, że przy prędkości jaką rozwijał, zdołał tego dokonać tak szybko, faktem jednak było, iż teraz oddalał się od nich. Usłyszał strzały, ale nie zatrzymywał się. Potem doszedł go jęk syren.

W odpowiedzi nacisnął dwukrotnie swój klakson i jeszcze niżej pochylił się nad kierownicą. Pędząc tak z wiatrem w zawody, zastanawiał się, czy nawiązali już kontakt radiowy z kimś, oczekującym go na trasie.

Uciekał dziesięć minut i nie mógł zgubić pościgu. Nie udało się to również po piętnastu minutach.

Wspiął się na szczyt kolejnego wzgórza i daleko przed sobą dostrzegł drugą blokadę. Wzięli go w dwa ognie.

Rozejrzał się za jakąś boczną drogą. Nie było żadnej.

Pędził więc dalej, kierując się prosto na drugą blokadę. Może uda się ją sforsować.

Niedobrze!

Samochody ustawione były jeden za drugim w poprzek całej drogi. Stały również na poboczach.

Zahamował w ostatniej chwili i, gdy prędkość spadła do rozsądnych granic, poderwał w górę przednie koło, obrócił motocykl na tylnym i dodając gazu pomknął na spotkanie swych prześladowców.

Nadjeżdżało ich sześciu, a za plecami rozlegało się już wycie nowych syren.

Przyhamował ponownie, zjechał na lewą stronę drogi i kopiąc pedał gazu zeskoczył z siodełka. Harley pojechał dalej sam, a on rąbnął o ziemię, potoczył się po niej, zerwał na nogi i zaczął uciekać.

Biegnąc, słyszał piski opon, słyszał łomot zderzenia, ale nie oglądał się za siebie. Strzelanina przybrała teraz na sile. Chcieli go żywego i celowali nad jego głową, nie wiedział jednak o tym.

Po piętnastu minutach przyparli go do skalnej ściany i otoczyli wachlarzem. Kilku miało karabiny, ale żaden nie był skierowany na niego.

Rzucił na ziemię łyżkę do opon i uniósł ręce w górę.

- Macie ją, obywatele - powiedział. - Zabierzcie ją sobie.
Tak też zrobili.
Potem skuli mu ręce kajdankami i zaprowadzili do pozostawionych na drodze samochodów. Wepchnęli go na tylne siedzenie jednego z nich, a po obu jego stronach zajęli miejsca funkcjonariusze policji. Jeszcze jeden usiadł z przodu obok kierowcy i ten trzymał na kolanach karabin z upiłowaną lufą.
Kierowca zapuścił silnik, wrzucił bieg i zawracając ruszył drogą numer 101 na północ.
Mężczyzna z karabinem odwrócił się i patrzył na Tannera przez szkła z podwójną ogniskową, za którymi jego oczy, kiedy pochylił głowę, wyglądały jak wypełnione zielonym piaskiem klepsydry. Gapił się tak może z dziesięć sekund, a potem powiedział:
- To było głupie z twojej strony, Tanner.
Czart Tanner patrzył na niego bezmyślnie, więc mężczyzna dodał:
- Bardzo głupie, Tanner.
- O, nie wiedziałem, że pan mówi do mnie.
- Przecież patrzę na ciebie, synu.
- Ja też na pana patrzę. Halo, tam.
- Szkoda, że musimy dostarczyć go w dobrej formie, co? - odezwał się nie odrywając oczu od drogi kierowca. - Rozwalił przecież tym swoim cholernym motocyklem drugi wóz.
- Może jeszcze mieć wypadek - powiedział mężczyzna siedzący po lewej ręce Tannera. - Dajmy na to, może upaść i złamać sobie ze dwa żebra.
Mężczyzna z prawej nie odezwał się, ale człowiek z karabinem wolno potrząsnął głową.
- Nie może, chyba że próbowałby ucieczki - powiedział. - L. A. chce go w dobrej kondycji.
- Czemu próbowałeś nawiać, chłopie? Mogłeś się spodziewać, że i tak cię złapiemy.
Tanner wzruszył ramionami.
- Dlaczego mnie przyskrzyniliście? Przecież nic nie zrobiłem.
Kierowca zachichotał.
- Właśnie dlatego - powiedział. - Nic nie zrobiłeś, a miałeś coś zrobić, pamiętasz?
- Nic nikomu nie obiecywałem. Ułaskawili mnie i wypuścili z mamra.
- Masz kiepską pamięć, dziecino. Obiecałeś coś Państwu Kalifornijskiemu, kiedy cię wczoraj zwalniali. Na załatwienie swoich spraw miałeś już więcej niż dwadzieścia cztery godziny, o które prosiłeś. Jak chcesz, to możesz im powiedzieć „nie" i zarobić cofnięcie amnestii. Nikt cię nie zmusza. Potem możesz spędzić resztę życia robiąc małe kamyczki z większych. Mniej nie moglibyśmy ci załatwić. Słyszałem zresztą, że mają już kogoś na twoje miejsce.
- Dajcie mi papierosa - powiedział Tanner.
Mężczyzna z prawej przypalił papierosa i podał go Tannerowi.
Przyjął go podnosząc obie ręce. Palił, strząsając popiół na podłogę.
Pędzili autostradą, a kiedy przejeżdżali przez miasteczka, lub natykali się na wzmożony ruch, kierowca uruchamiał syrenę i na dachu samochodu zaczynało migotać czerwone światło. Wtedy rozlegało się również wycie syren dwóch wozów patrolowych jadących za nimi. Przez całą drogę do L. A. kierowca ani razu nie dotknął hamulca i co kilka minut łączył się przez radio z bazą.
Powietrzem targnął nagle grzmot, który można by porównać do odgłosu towarzyszącego przekraczaniu bariery dźwięku, i z góry runęła na nich lawina pyłu i żwiru. W prawym dolnym rogu przedniej, kuloodpornej szyby pojawiła się maleńka rysa. O dach i maskę samochodu bębniły kamienie wielkości pięści. Opony chrzęściły na żwirze zaścielającym teraz całą nawierzchnię drogi. Kurz wisiał w powietrzu niczym gęsta mgła, ale wyjechali z niego po dziesięciu sekundach.
Mężczyźni w samochodzie pochylając się patrzyli z napięciem w górę.
Niebo przybrało barwę purpury, przecinały je czarne linie przesuwające się z zachodu na wschód. Pęczniały, zwężały się, poruszały na boki, to znów zlewały się ze sobą. Kierowca już wcześniej włączył światła.
- Zanosi się na coś poważniejszego - powiedział mężczyzna z karabinem.
Kierowca kiwnął głową.
- Dalej na północ wygląda to jeszcze gorzej - stwierdził.
Gdzieś wysoko w górze rozległo się zawodzenie, a czarne pasma poszerzały się nieustannie. Dźwięk przybrał na sile i, zatracając swój śpiewny charakter, przerodził się w jednostajny ryk.
Pasma zlały się ze sobą i niebo pociemniało, jak podczas bezgwiezdnej, bezksiężycowej nocy. Pył opadał wokół gęstymi chmurami. Od czasu do czasu słyszeli łomot, świadczący o trafieniu samochodu przez większy odłamek skały.

- Przeciwko epidemii, która tam panuje.
- Ach, myślałem, że chodzi o coś innego.
- Przykro mi.
Mężczyzna trzymał teraz pistolet w prawej dłoni.
- Złaź z motocykla - rzucił rozkazującym tonem.
Tanner zrobił co mu kazano. Mężczyzna uniósł lewą rękę i z krzaków porastających pobocze drogi wyłonił się drugi człowiek.
- Odprowadź motocykl tego gościa jakieś dwieście stóp autostradą - zwrócił się do niego Rudobrody - i zaparkuj go pośrodku drogi. Potem wracaj na swoje miejsce.
- Co jest grane? - spytał Tanner.
Nieznajomy zignorował to pytanie.
- Kim jesteś? - zapytał Tannera.
- Nazywam się Czart. Czart Tanner.
- Idź do czarta.
Tanner wzruszył ramionami.
- Ty nie jesteś Czart Tanner.
Tanner ściągnął rękawicę i pokazał zaciśniętą pięść.
- Tu jest moje imię.
- Nie wierzę - powiedział mężczyzna obejrzawszy tatuaż.
- Jak chcesz, obywatelu.
- Zamknij się! - wrzasnął Rudobrody i jeszcze raz podniósł w górę lewą rękę. Tymczasem drugi mężczyzna postawił już motocykl Tannera na szosie i wrócił na swój posterunek w zaroślach po prawej stronie drogi.
Na znak dany przez Rudobrodego, w krzakach po obu stronach szosy zapanowało poruszenie. Jacyś ludzie, pchając przed sobą motocykle, ustawiali się szeregiem wzdłuż poboczy. W końcu utworzyli szpaler składający się z jakichś piętnastu par.
- No i co ty na to? - powiedział z dumą w głosie Rudobrody. - Nazywam się Wielki Brat.
- Miło mi cię poznać.
- Wiesz co teraz zrobisz, Mister?
- Właśnie zaczynam się domyślać.
- Pójdziesz do swojego motocykla i zabierzesz go sobie.
Tanner uśmiechnął się.
- Jak męczący będzie ten spacerek?
- Tym się nie przejmuj. No ruszaj. Czekaj, daj mi najpierw swój karabin.
Wielki Brat podniósł znowu rękę i silniki motocykli ożyły jeden po drugim.
- Okay - powiedział do Tannera. - Teraz.
- Człowieku, masz mnie za idiotę?
- Nie. Ruszaj. Twój karabin.
Tanner, zsuwając karabin z pleców, uchwycił go za lufę i przedłużając ruch po łuku uderzył Wielkiego Brata kolbą w podbródek. Poczuł jednocześnie jak w jego ciało wchodzi pocisk. Rzucił broń, złapał za granat, wyciągnął zawleczkę i cisnął go pomiedzy ludzi stojących po lewej stronie drogi. Zanim jeszcze granat rozerwał się, wyciągnął zawleczkę drugiego i rzucił go na prawo. Motocykle zdążyły jednak już ruszyć i pędziły teraz wprost na niego.
Padł obok swego karabinu i złożył się do strzału z pozycji leżącej. Wtedy dopiero nastąpiła pierwsza eksplozja. Otworzył ogień przed upływem sekundy.
Położył trzech, zerwał się na nogi i odskoczył, strzelając z biodra. Skrył się za leżący na ziemi motocykl Wielkiego Brata i ostrzeliwał się aż do opróżnienia magazynku. Nie było czasu ładować go ponownie. Zdążył oddać cztery strzały z automatu 0,45 i otrzymał cios łańcuchem.
Ocknąwszy się usłyszał ryk silników. Krążyli wokół niego. Próbował wstać na nogi, ale powaliło go uderzenie kierownicą. Zostało ich dwóch. Reszta leżała martwa na szosie.
Gdy znowu usiłował się podnieść, otrzymał kopniaka.
Na jednym z motocykli siedział Wielki Brat, a na drugim człowiek, którego jeszcze nie widział.
Przeczołgał się w prawo i nagle poczuł ból w koniuszkach palców, miażdżonych kołami jednej z maszyn.
Nie spuszczał jednak oczu z kamienia, czekając aż motocyklista podjedzie bliżej. Gdy to nastąpiło, poderwał się z ziemi i uderzył przejeżdżającego mężczyznę trzymanym w ręku kamieniem w głowę. W chwilę potem stracił równowagę i kiedy upadł, poczuł jak wpada na niego drugi motocykl.

- Musimy z tym wolno jechać - powiedział, przewieszając przez plecy karabin. Naciągnął rękawice i kopniakiem zapuścił silnik.

Corny poszła w jego ślady i ruszyli ramię w ramię autostradą.

Po jakiejś godzinie jazdy minęły ich dwa osobowe samochody, zmierzające na zachód. Na tylnych siedzeniach obu widzieli przyciśnięte do szyby twarzyczki dzieci przyglądające się im z ciekawością. Kierowca drugiego wozu był w samej koszuli i spod pachy wystawała mu czarna kabura.

Niebo nabrało koloru różowego i przecinały je trzy czarne linie, których wygląd nie wróżył nic dobrego. Słońce było bladą kulą wpadającego w róż srebra, ale Tanner stale chronił oczy za goglami przed jego blaskiem.

Skrzynka jechała bezpiecznie na tylnym bagażniku. Tanner pochylił się nad kierownicą i myślał o Bostonie. Powietrze było chłodne i wilgotne, a u stóp każdego wzgórza unosiła się lekka mgiełka. Nawierzchnia drogi stawała się coraz lepsza.

Około północy, ponad jednostajnym rykiem silników, usłyszał strzał. Z początku myślał, że pochodzi z gaźnika, ale strzał padł ponownie. Corny krzyknęła, zjechała z drogi i uderzyła w leżący na poboczu wielki głaz.

Tanner skręcił ostro w lewo i zahamował. Huknęły dwa następne strzały. Oparł motocykl o drzewo i przywarł do ziemi. Pocisk uderzył tuż przy jego głowie. Zorientował się z jakiego kierunku nadleciał. Przeczołgał się do przydrożnego rowu i ściągnął rękawicę z prawej dłoni. Widział swoją dziewczynę leżącą tam, gdzie upadła. Z jej piersi sączyła się krew. Nie poruszała się.

Uniósł karabin i pociągnął za spust.

Odpowiedziano mu strzałem. Podpełznął w lewo.

Strzelano z odległego o jakieś dwieście stóp wzgórza. Zdawało mu się, że widzi lufę karabinu.

Wziął ją na cel i ponownie nacisnął na spust. I tym razem odpowiedziano mu strzałem. Przeczołgał się wolno jeszcze bardziej w lewo i, pokonawszy piętnaście stóp, dotarł do sterty gruzu, za którą mógł przykucnąć. Wyciągnął zawleczkę granatu, wstał i rzucił go.

Padł na ziemię, gdyż ze wzgórza padł kolejny strzał, i ujął w dłonie drugi granat.

Rozległa się seria potężnych detonacji, którym towarzyszył oślepiający błysk. Z góry posypały się strzępy metalu. Tanner zerwał się na równe nogi i cisnął drugi granat, tym razem celując dokładniej.

Gdy ucichły echa kolejnych eksplozji, podbiegł w kierunku wzgórza, ściskając w dłoniach karabin. Nie miał tam już jednak nic do roboty.

Na miejscu zastał tylko parę strzępków ludzkiego ciała. Karabinu, z którego doń strzelano, nie odnalazł.

Wrócił do Cornelii.

Nie oddychała. Jej serce przestało bić. Wiedział, co to znaczy.

Przeniósł ją do przydrożnego rowu, w którym przed chwilą leżał i pogłębił go rękoma.

Złożył dziewczynę do grobu i przysypał ziemią. Potem przyprowadził jej motocykl, postawił go na świeżej mogile i wysunął podpórkę. Na błotniku wydrapał sztyletem słowa:

„Miała na imię Cornelia i nie wiem ile miała lat, ani skąd pochodziła, ani jak brzmiało jej nazwisko, ale była dziewczyną Czarta Tannera i kochałem ją".

Potem wrócił do swojego motocykla, zapuścił silnik i ruszył w dalszą drogę. Od Bostonu dzieliło go jeszcze około trzydziestu mil.

XVII

Po przejechaniu paru mil, usłyszał warkot drugiego motocykla. Z leśnej ścieżki po jego lewej stronie wypadł na szosę Harley. Nie mógł odsadzić się na większą odległość od nieznajomego, gdyż ładunek, który wiózł, nie pozwalał na szybką jazdę. Pozwolił więc tamtemu jechać za sobą.

Po chwili motocyklista - wysoki, chudy mężczyzna z płomienną brodą, zrównał się z Tannerem. Jadąc po jego lewej ręce uśmiechnął się, podniósł rękę i opuścił ją, dając znak głową.

Tanner przyhamował i zatrzymał się. Rudobrody uczynił to samo.

- Dokąd jedziesz, kolego? - spytał uprzejmie.

- Do Bostonu.

- A co masz w tej skrzynce?

- Leki.

- Jakiego rodzaju? - Brwi mężczyzny uniosły się w górę, a na jego ustach wykwitł znowu uśmiech.

Kierowca przełączył reflektory na światła terenowe, ponownie uruchomił syrenę i pędził przed siebie na złamanie karku. W górze, nad nimi, jęk syreny i ryk nieba walczyły ze sobą o prymat, a daleko na północy, pulsując, zaczęła się rozlewać niebieska zorza.

Tanner skończył papierosa i mężczyzna podał mu następnego. Palili teraz wszyscy.

- Masz szczęście, że cię schwytaliśmy, chłopie - odezwał się mężczyzna z lewej. - Co byś powiedział, gdyby ci tak przyszło pruć teraz przez ten farsz na swoim motocyklu?

- Nic. Lubię to robić - odparł Tanner.

- Ty masz chyba nierówno pod sufitem.

- Nie. Już mi się to zdarzało. To by nie było pierwszy raz.

Kiedy dojeżdżali do Los Angeles, niebieska zorza zalewała już pół nieba, a ono samo miało odcień różowy i przecinały je smugi żółtego dymu, sięgające, niczym nogi pająka, daleko na południe. Ryk był tak ogłuszający, iż wydawało się, że powietrze wypełnia jakaś gęsta substancja, napierająca na bębenki uszu i powodująca mrowienie skóry. Kiedy wysiedli z samochodu i przecinali dziedziniec, kierując się w stronę wielkiego, podpartego kolumnami budynku o przyozdobionej fryzem ścianie frontowej, musieli krzyczeć, aby wzajemnie się słyszeć.

- Szczęście, że zdążyliśmy - wrzeszczał mężczyzna z karabinem. - Prędzej!

Przyspieszając kroku dopadli do schodów.

- Teraz może się zacząć w każdej chwili - krzyknął kierowca.

II

Kiedy wjeżdżali na dziedziniec, igrające na ścianach refleksy przesuwającej się po niebie zorzy upodobniały budynek do lodowej rzeźby, rzucającej wokół zimne cienie. Teraz znów przypominał on bryłę wosku, gotową stopnieć w nagłym podmuchu ciepła.

Twarze mężczyzn i skóra na ich dłoniach nabrały bezkrwistego, trupiosinego koloru.

Wbiegli szybko po schodach. Człowiek z patrolu stanowego wpuścił ich do środka przez furtkę widniejącą w murze tuż obok ciężkiej, podwójnej, metalowej bramy, stanowiącej główne wejście do budynku. Na widok Tannera, strażnik odpiął kaburę. Szybko zatrzasnął za nimi drzwi, blokując je łańcuchem.

- Którędy? - spytał człowiek z karabinem.

- Drugie piętro - odparł strażnik, wskazując ruchem głowy schody. - Kiedy wejdziecie na górę, cofnijcie się korytarzem do samego końca. Jest tam duże biuro.

- Dzięki.

Ryk szalejących na zewnątrz żywiołów docierał tutaj znacznie stłumiony, a sztuczne oświetlenie przywracało postaciom i przedmiotom ich normalny wygląd.

Wspięli się krętymi schodami na drugie piętro i poszli korytarzem prowadzącym w głąb budynku. Przystając przed ostatnimi drzwiami, człowiek z karabinem skinął na kierowcę.

- Zapukaj.

Drzwi otworzyła kobieta. Zaczęła coś mówić, ale na widok Tannera przerwała i odstąpiła na bok, przytrzymując drzwi.

- Wejdźcie - powiedziała, czyniąc zapraszający ruch głową.

Mijając ją wkroczyli do biura. Kobieta nacisnęła wmontowany w jej biurko przycisk.

- Tak, Mrs. Fiske? - spytał jakiś głos.

- Są tu z tym człowiekiem, sir.

- Proszę ich wprowadzić.

Podeszła do wyłożonych ciemną boazerią drzwi w głębi pokoju i otworzyła je przed przybyłymi.

Weszli do gabinetu. Siedzący za biurkiem przykrytym szklaną taflą, krępy mężczyzna odchylił się na oparcie fotela. Splatając na karku dłonie o krótkich palcach, obrzucił ich spojrzeniem oczu o jeden zaledwie ton ciemniejszych od jego siwej czupryny. Gdy przemówił, głos miał cichy i nieco chrapliwy.

- Usiądź - zwrócił się do Tannera. - A wy poczekajcie na zewnątrz.

- Mister Denton, ten gość jest niebezpieczny - odezwał się człowiek z karabinem, gdy Tanner siadał na krześle odsuniętym na pięć stóp od biurka.

Wszystkie trzy okna gabinetu zasłonięte były żaluzjami i chociaż mężczyźni nie widzieli co dzieje się na zewnątrz, to mogli domyślać się jednak potęgi szalejących tam furii. Przez pokój przeszedł nagle dźwięk przypominający serię z karabinu maszynowego.

- Wiem.
- No właśnie. Na wszelki wypadek skuliśmy go kajdankami. Ma pan pistolet?
- Mam.
- No to dobrze. Będziemy obok.
Wycofali się z gabinetu.
Dopóki drzwi nie zamknęły się za nimi, dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie człowiek nazwiskiem Denton odezwał się:
- Jak, do diabła, brzmi naprawdę twoje imię? Nawet w aktach...
- Czart - wpadł mu w słowa Tanner. - Mam na imię Czart. Byłem siódmym bachorem w naszej rodzinie i kiedy przyszedłem na świat, akuszerka uniosła mnie w górę i spytała starego jakie imię dla mnie wybrał, na co tatuś zaklął „A, Czarta tam" i wyszedł trzaskając drzwiami. No i tak mi wpisała do świadectwa urodzin. Opowiadał mi o tym brat. Sam nigdy nie widziałem mojego staruszka, nie mogłem więc go zapytać jak to było naprawdę. Tego samego dnia wyciągnął kopyta. Myślę jednak, że tak mogło być.
- A więc całą waszą siódemkę wychowywała matka?
- Nie. Matka uderzyła w kalendarz w dwa tygodnie później i różni krewni nas przygarnęli.
- Rozumiem - powiedział Denton. - Ciągle jeszcze masz prawo wyboru. Decyduj się. Będziesz próbował, czy nie?
- A kim pan w ogóle jest? - spytał Tanner.
- Jestem Inspektorem Ruchu Drogowego na Państwo Kalifornijskie.
- Nie rozumiem co Zarząd Dróg może mieć wspólnego z tą aferą?
- Jestem koordynatorem całej akcji. Równie dobrze mógłby nim być Naczelny Chirurg, czy Naczelny Poczmistrz, ale większość posunięć z nią związanych leży w zakresie moich kompetencji. Ja najlepiej znam się na sprzęcie. Ja najlepiej mogę ocenić szanse...
- A jakie są szanse? - przerwał mu Tanner.
Denton po raz pierwszy spuścił oczy.
- No cóż, to ryzykowne przedsięwzięcie...
- Nikt jeszcze tego nie dokonał, nie licząc faceta, który przebył tę trasę, żeby przynieść nam wieści. Ale on już nie żyje. Jak na takiej podstawie może pan mówić o jakichś szansach?
- Wiem - powiedział wolno Denton. - Myślisz, że to robota dla samobójcy i chyba masz rację. Wysyłamy trzy samochody, po dwóch kierowców w każdym. Jeśli któryś z nich zdoła zbliżyć się przynajmniej na dostateczną odległość, to wysyłane przez niego sygnały radiowe mogą posłużyć za wskazówkę kierowcy z Bostonu. Nikt cię nie zmusza, żebyś jechał, ale sam wiesz.
- Wiem. Mogę sobie w zamian spędzić resztę życia w mamrze.
- Zabiłeś troje ludzi. Mogłeś dostać karę śmierci.
- Ale nie dostałem, a więc nie ma o czym gadać. Niech pan posłucha, Mister. Nie chcę ani umierać, ani nie odpowiada mi ta druga ewentualność.
- Jedziesz, albo nie jedziesz. Decyduj się. Pamiętaj tylko, że jeśli się tego podejmiesz i uda ci się dojechać, wszystko zostanie ci puszczone w niepamięć i możesz sobie iść gdzie chcesz. Państwo Kalifornijskie zapłaci nawet za ten motocykl, który sobie przywłaszczyłeś, a potem rozbiłeś, nie wspominając już o uszkodzonym wozie policyjnym.
- Wielkie dzięki - odparł Tanner.
Wiatr zawodził za ścianą, a pokój wypełniał nieustający klekot okiennic.
- Jesteś bardzo dobrym kierowcą - podjął po chwili Denton. - Prowadziłeś chyba każdy pojazd, który można prowadzić. Ścigałeś się nawet. Kiedyś, gdy jeszcze bawiłeś się w kontrabandę, robiłeś co miesiąc wypady do Salt Lake City. Nawet dzisiaj niewielu jest kierowców, którzy się na to odważą.
Czart Tanner uśmiechnął się na wspomnienie jakiegoś epizodu z tamtych czasów.
- ...Oprócz tego, byłeś jedynym człowiekiem, który dostarczał pocztę do Albuquerque. Nawiasem mówiąc, było to jedyne uczciwe zajęcie w twoim życiu. Od kiedy cię wylali, dokonało tego niewielu.
- To nie było z mojej winy.
- Byłeś też najlepszy w wypadzie do Seatle - ciągnął dalej Denton. - Tak twierdzi twój zwierzchnik. Z tego co powiedziałem wynika, że ze wszystkich, których udało nam się zwerbować, ty prawdopodobnie masz największą szansę przedostania się przez kontynent. Dlatego do tej pory pobłażaliśmy ci, ale nie możemy już czekać dłużej. Tak albo nie. I to teraz. Jeśli to będzie tak, wyruszasz przed upływem godziny.
Tanner uniósł skute kajdankami dłonie i uczynił nimi gest w kierunku okna.
- W tę całą bryndzę? - spytał.

średnicy kilku stóp. Przechylony na jedną stronę samochód zataczał się pod uderzeniami porywistego wichru. Szybkość, z jaką się teraz posuwali, nie przekraczała czterdziestu mil na godzinę. Z radia wydobywały się tylko zakłócenia elektrostatyczne.
Tanner minął ostry zakręt, zahamował gwałtownie, wyłączył światła, wyciągnął zawleczkę granatu i czekał z ręką na klamce drzwiczek.
Kiedy na ekranie pojawiły się światła, otworzył szybkim ruchem drzwiczki, wychylił się i cisnął granat poprzez kamienny deszcz.
Zanim doszła ich uszu eksplozja, zanim na ekranie pojawił się błysk, byli już w drodze.
Dziewczyna roześmiała się niemal histerycznie.
- Dostałeś ich, Czart, dostałeś ich - krzyczała.
Tanner popił z butelki, a Corny wychyliła ją do dnia.
Droga była coraz bardziej popękana, wyboista i niebezpieczna. Samochód wspiął się na szczyt wysokiego wzniesienia i pędzili teraz w dół. Zjechawszy ze wzgórza wpadli w tuman gęstej mgły.
Z przeciwka zbliżały się jakieś światła i Tanner przygotował miotacze ognia. Była to jednak zwykła ciężarówka, zmierzająca na zachód i nie przejawiająca żadnych wrogich zamiarów. W ciągu następnej pół godziny minął jeszcze dwie.
Niebo zaczęło przecinać coraz więcej błyskawic. Na ziemię sypał się grad kamieni wielkości pięści. Tanner dostrzegł las i zjechał z drogi z zamiarem schronienia się wśród wysokich drzew. Niebo pociemniało całkowicie, gubiąc nawet niebieską łunę.
Czekali trzy godziny, ale burza nie ustawała. Jeden po drugim zgasły cztery ekrany, a piąty pokazywał tylko czerń zalegającą pod samochodem. Ostatnim obrazem, jaki Tanner oglądał na ekranie wstecznym, było ogromne, rozszczepione na dwoje drzewo i odłamująca się właśnie od niego gałąź. Nastąpiło kilka straszliwych trzasków o maskę samochodu. Wóz chybotał się przy każdym na wszystkie strony. Dach kabiny został w trzech miejscach głęboko wgnieciony. Światło przygasało i rozjaśniło się znowu. Z radia nie dochodziły już nawet zakłócenia.
- Zdaje się, że dostaliśmy - odezwał się Tanner.
- Chyba tak.
- Jak jeszcze daleko?
- Z pięćdziesiąt mil.
- Jeśli to przeżyjemy, to jest jeszcze szansa.
- Jaka szansa?
- Mam z tyłu wozu dwa motocykle.
Rozłożyli fotele, zapalili papierosy i czekali. Po chwili światło w kabinie zgasło i nie zapaliło się już więcej.
Burza szalała cały dzień i przeciągnęła się do późnej nocy. Spali pod osłoną wraku rozbitego samochodu. Kiedy nawałnica ustała, Tanner otworzył drzwiczki, wyjrzał na świat i zamknął je z powrotem.
- Poczekamy do rana - zdecydował. Uścisnęła jego dłoń i zasnęli, trzymając się za ręce.

XVI

Rano Tanner brnąc w błocie i omijając leżące na ziemi gałęzie, głazy oraz zdechłe ryby obszedł samochód dookoła, otworzył tylne drzwiczki i odpiął klamry, za pomocą których unieruchomiono motocykle. Napełnił paliwem zbiorniki i sprowadził maszyny po rampie na ziemię.
Potem wczołgał się na tył kabiny, skąd wyjął tylne siedzenie. Pod nim, w bagażniku znajdowała się duża, aluminiowa skrzynka - przesyłka, którą miał dowieźć do Bostonu. Była hermetycznie zamknięta. Wyjął ją ze schowka i przeniósł do swojego motocykla.
- To ten towar? - spytała Cornelia.
Skinął głową i postawił pojemnik na ziemi.
- Nie wiem jak to jest tam w środku przechowywane. Czy jest chłodzone, czy jak - powiedział - ale sama skrzynka nie jest tak ciężka, żebym nie mógł jej powieźć na bagażniku motocykla. W ostatnim po prawej schowku są taśmy. Pójdź i przynieś mi je. Wyjmij też moje ułaskawienie ze środkowej skrytki. Jest w dużej, kartonowej kopercie.
Wróciła po chwili z taśmami i kopertą i pomogła Tannerowi przymocować pojemnik do bagażnika motocykla.
Owinął sobie wokół bicepsa dodatkową taśmę i pchając przed sobą motocykle, wprowadzili je na drogę.

wzdłuż drogi. Tanner wyodrębnił pięć źródeł ognia - trzy z lewej i dwa z prawej strony. Przed samochodem leżały pogruchotane motocykle i trupy ludzi. Niektóre jeszcze dymiły. Nawierzchnia szosy była w wielu miejscach podziurawiona i popękana.

Zawrócił samochód i na sześciu kołach ruszył w dalszą drogę.

- Skończyła się nam amunicja, Corny - powiedział do dziewczyny.

- Wcale się nie dziwię. Strasznie dużo ich położyliśmy...

- Na pewno.

Na wstecznym ekranie dostrzegł jak na drogę wjeżdża znowu pięć motocykli. Zachowywali spory dystans, ale wciąż jechali trop w trop za nim.

Spróbował skorzystać z radia, ale odpowiedzi nie otrzymał. Nacisnął hamulec i stanął. Motocykle zatrzymały się również w sporej odległości od samochodu.

- No, przynajmniej się nas boją. Myślą, że ciągle mamy zęby.

- Bo mamy - powiedziała.

- Tak, ale nie te, o których oni myślą.

- Jeszcze lepsze.

- Cieszę się, że cię spotkałem - powiedział Tanner.

- Mogę dzięki temu przebywać w towarzystwie optymistki, nie uważasz?

Skinęła głową. Tanner wrzucił bieg i ruszył zrywem naprzód.

Motocykle, wciąż trzymając się w bezpiecznej odległości, ruszyły również. Obserwował je na ekranie i klął.

Po chwili zbliżyły się nieco. Tanner przez pół godziny gnał jak szalony przed siebie, ale pięć ocalałych z pogromu motocykli coraz bardziej zmniejszało dzielącą ich odległość.

Gdy byli już wystarczająco blisko, siedzący na nich ludzie otworzyli ogień z opartych o kierownice karabinów.

Tanner słyszał kilka rykoszetów i nagle pękła następna opona.

Zatrzymał się ponownie. Motocykle uczyniły to samo, pozostając ciągle tuż poza zasięgiem miotacza ognia. Zaklął i ruszył znowu. Samochód dygotał, przechyliwszy się na lewą stronę. Minęli rozwalony o drzewo wrak półciężarówki. Siedział w niej szkielet - prawdopodobnie kierowcy. Szyby były wybite, a opon brakowało. Na niebie widać było pół słońca. Dochodziła dziewiąta. Przed nimi unosiły się widmowe tumany mgły. Ciemne pasma na niebie falowały, a spadający z nich deszcz był coraz bardziej ulewny i zmieszany z pyłem, małymi kamykami i kawałkami metalu.

- Dobrze - powiedział Tanner, gdy rozległo się bębnienie o dach i maskę samochodu - ale mogłoby być jeszcze lepiej.

Jego życzenie spełniło się bardzo szybko. Ziemia zaczęła drżeć, a na północy pojawiło się niebieskie światło. Wśród ryku nieba słychać było grzmoty, potem doszedł ich uszu łoskot i tuż obok prawej burty samochodu runęła nagle sterta gruzu.

- Żeby tak następna spadła prosto na naszych chłopców, tam za nami - powiedział Tanner.

Przed sobą, nieco z prawej zobaczył pomarańczową zorzę. Jarzyła się tam już od kilku minut, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej istnienia.

- Wulkan - stwierdziła Corny, kiedy jej to pokazał. - To znaczy, że zostało nam do przejechania jakieś sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu mil.

Nie mógł się zorientować, czy nadal do niego strzelają. Dochodzące zewsząd dudnienie zagłuszyłoby nawet kanonadę artyleryjską, a bębnienie żwiru o karoserię samochodu mogło zlewać się z rykoszetami pocisków. Pięć świateł podążało za nimi krok w krok.

- Czemu nie dadzą za wygraną? - zastanawiał się Tanner. - Mają tam niezłą łaźnię.

- Są do tego przyzwyczajeni - odparła Corny. - Poza tym gna ich żądza krwi.

Tanner zdjął z drzwiczek kabiny Magnuma 0,375 i podał go dziewczynie.

- Złap się za to - powiedział, po czym wyjął ze schowka pudełko z amunicją i dodał:

- Schowaj je do kieszeni.

Do kieszeni swojej kurtki wsunął naboje do 0,45 i poprawił granaty ręczne przytroczone u pasa.

Z pięciu podążających za nim świateł pozostały nagle tylko cztery, a i te zmalały zwalniając.

- Mam nadzieję, że to jakiś wypadek - powiedział.

Ujrzeli górę - stożek o wyszczerbionym wierzchołku, krwawiący płomieniami w niebo. Zjechali z drogi w lewo i posuwali się teraz dobrze zaznaczonym szlakiem. Ominięcie góry zajęło dwadzieścia minut. Potem znowu ujrzeli swych prześladowców - cztery wolno zmniejszające dystans światła.

Tanner wprowadził samochód z powrotem na drogę i pomknął przed siebie, czując pod kołami drżenie gruntu. Niebem przelatywały żółte błyskawice. Wokół waliły w ziemię ciężkie bezkształtne obiekty o

- Te samochody mogą stawić czoła burzy - odparł Denton.

- Człowieku, tyś oszalał.

- Nawet w tej chwili, gdy my tu tracimy czas na próżne dyskusje, tam umierają ludzie - powiedział Denton.

- No to paru mniej, czy paru więcej nie zrobi wielkiej różnicy. Nie możemy zaczekać do jutra?

- Nie! Człowiek oddał życie, aby przynieść nam wezwanie o pomoc! Musimy przedostać się jak najszybciej przez kontynent i to teraz. Później nie będzie już po co! Burza, nie burza, samochody wyruszają teraz! Twoje zdanie w tej sprawie nic mnie nie obchodzi! Chcę od ciebie usłyszeć tylko jedno słowo, Czart: w którym wozie pojedziesz?

- Chciałbym coś zjeść. Nie jadłem...

- Żywność jest w samochodzie. Jaka jest twoja decyzja?

Czart gapił się na ciemne okna.

- W porządku - odezwał się w końcu. - Pojadę dla pana Aleją Potępienia. Ale nie ruszę się stąd bez świstka z odpowiednim tekstem.

- Mam go tutaj.

Denton otworzył szufladę i wydobył z niej grubą kartonową kopertę, a z koperty wyciągnął dokument opatrzony Wielką Pieczęcią Państwa Kalifornijskiego. Wstał, wyszedł zza biurka i wręczył go Tannerowi.

Czart studiował dokument przez kilka minut, wreszcie odezwał się.

- Tu jest napisane, że jeśli dotrę do Bostonu, zostanę objęty pełną amnestią i wszystkie czyny kryminalne, jakich kiedykolwiek dopuściłem się w granicach Państwa Kalifornijskiego ulegną przedawnieniu.

- Zgadza się.

- Czy przedawnienie dotyczyć będzie również tych przestępstw, które nie wyszły jeszcze na jaw, a ktoś się ich potem dokopie?

- Przecież jest tam wyraźnie napisane, Czart - „wszystkie czyny kryminalne".

- W porządku. Wygrałeś, grubasku. Zdejmij mi teraz te bransoletki i pokaż mi mój samochód.

Człowiek zwany Dentonem wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Pozwól Czart, że coś ci przedtem powiem - odezwał się. - Jeśli będziesz próbował urwać się gdzieś po drodze, to wiedz, że pozostałym kierowcom wydano odpowiednie polecenia i zgodzili się do nich stosować. Otworzą ogień i zamienią cię w kupkę popiołu. Pojąłeś?

- Pojąłem - powiedział Tanner. - Przypuszczam, że w razie czego mam ich potraktować w podobny sposób?

- Dobrze przypuszczasz.

- Nieźle. To może być zabawne.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Nawet nie wie pan jak. Przekona się pan, jak mnie pan rozkuje.

- Nie zdejmę ci kajdanek, dopóki nie powiem co o tobie myślę.

- W porządku, jeśli chce pan tracić czas obrzucając mnie wyzwiskami, gdy tam umierają ludzie...

- Zamknij się! Nic cię oni nie obchodzą i dobrze o tym wiesz! Chcę ci tylko powiedzieć, że dla mnie jesteś najpodlejszym, najbardziej zasługującym na pogardę typem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zabijałeś mężczyzn i gwałciłeś kobiety. Raz, tak sobie, dla zabawy, wyłupiłeś człowiekowi oczy. Byłeś trzykrotnie stawiany w stan oskarżenia za ćpanie narkotyków i dwukrotnie za stręczycielstwo. Jesteś alkoholikiem i degeneratem i pewien jestem, że nie kąpałeś się od dnia narodzin. Ty i twoja banda terroryzowaliście przyzwoitych ludzi, gdy po wojnie próbowali ułożyć sobie życie na nowo. Grabiłeś ich i napadałeś. Pod groźbą użycia przemocy fizycznej wymuszałeś od nich pieniądze i środki niezbędne do życia. Żałuję, że tamtej nocy nie zginąłeś w Wielkiej Obławie razem z całą resztą. Ty nie jesteś człowiekiem, a jeśli już, to tylko z biologicznego punktu widzenia. Masz wielki, zimny pryszcz w miejscu, gdzie inni ludzie mają coś, co pozwala im żyć zgodnie w społeczeństwie i być sąsiadami. Jedyną zaletą, że tak to nazwę, którą obdarzyła cię natura jest to, że twój refleks jest może nieco szybszy, twoje mięśnie trochę silniejsze, twoje oko odrobinę bystrzejsze niż u każdego z nas. Możesz więc siąść za kierownicą i jechać przez wszystko, przez co prowadzi jakaś droga. To jest właśnie przyczyna, dla której Państwo Kalifornijskie skłonne jest wybaczyć ci twoje rozbestwienie, pod warunkiem jednak, że wykorzystasz tę jedyną swoją zaletę do pomagania ludziom, a nie do szkodzenia im. Ja tego nie popieram. Nie chcę być zależny od ciebie, bo ty nie jesteś facetem, na którym można polegać. Życzę ci, żebyś zginął w tej akcji i chociaż mam nadzieję, że któryś z was dojedzie do celu, to jednocześnie spodziewam się, że to nie będziesz ty. Nienawidzę twojej cholernej gęby. Masz już teraz swoje ułaskawienie. Samochód gotowy. Chodźmy.

Denton wstał, prostując się. Był o głowę niższy od Tannera i ten zachichotał, spoglądając na inspektora z góry.

– Dojadę – powiedział. – Jeśli ten obywatel z Bostonu przejechał i umarł, to ja przejadę i będę żył. Robiłem wypady aż do Missus Hip.

– Kłamiesz.

– Nie, nie kłamię. A jeśli kiedyś przekona się pan, że to prawda, to niech pan pamięta o tym papierku, który mam w kieszeni – „każdy czyn kryminalny" i tak dalej. Nie było łatwo, a poza tym miałem trochę szczęścia, ale naprawdę dotarłem tak daleko i jak panu zapewne wiadomo, nikt inny nie może pochwalić się takim wyczynem. Zdaje się, że to prawie połowa drogi. Jeśli więc zrobiłem jedną połówkę, potrafię przebyć i drugą.

Ruszyli do drzwi.

– Nie mówię, ani nie myślę tego szczerze – powiedział jeszcze Denton – ale powodzenia, chociaż nie przez wzgląd na ciebie.

– Jasne, wiem.

Denton uchylił drzwi.

– Rozkujcie go – powiedział do oczekujących mężczyzn. – Jedzie.

Człowiek z karabinem oddał broń mężczyźnie, który częstował Tannera papierosami i sięgnął do kieszeni po klucz. Znalazłszy go otworzył kajdanki i cofając się zawiesił je sobie u pasa.

– Pójdę z wami – oznajmił Denton. – Garaże są na dole.

Wyszli z biura. Mrs. Fiske otworzyła torebkę, wyjęła z niej różaniec i pochyliła głowę. Modliła się za Boston. Modliła się za duszę zmarłego kuriera. Dorzuciła nawet dwa pacierze na intencję Czarta Tannera.

III

Zeszli do podziemi. Denton sprowadził ich na trzeci poziom i tam Tanner ujrzał trzy gotowe do drogi wozy; zauważył też pięciu mężczyzn siedzących na ławeczkach ustawionych wzdłuż ściany. Rozpoznał jednego z nich.

– Denny – powiedział – chodź no tu.

Z ławki podniósł się szczupły młodzieniec o jasnych włosach i obracając w dłoniach kask motocyklisty, podszedł do Tannera.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – spytał go Tanner.

– Jestem drugim kierowcą w wozie numer trzy.

– Masz własną stację obsługi i możesz kichać na wszystko. Co ci przyszło do głowy?

– Denton zaproponował mi pięćdziesiąt patyków – odparł Denny.

Czart odwrócił wzrok.

– Rzuć to! Co ci po forsie, jeśli zginiesz?

– Potrzebuję pieniędzy.

– Po co?

– Chcę się ożenić. Mam dużo wydatków.

– Myślałem, że dobrze ci się powodzi.

– Zarabiam nieźle, ale chciałbym kupić dom.

– Czy twoja dziewczyna wie w co się pakujesz?

– Nie.

– Tak myślałem. Słuchaj, ja muszę jechać – nie mam innego wyjścia. Ty nie musisz...

– To moja sprawa.

– ...czekaj, chcę ci coś powiedzieć. Jedź do Pasadeny w to miejsce, gdzie bawiliśmy się zawsze, będąc dzieciakami. Wiesz o co mi chodzi? Te skałki i trzy wysokie drzewa, pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam.

– Obejdź dookoła środkowe drzewo. Wyryłem na pniu swoje inicjały. Stamtąd, gdzie je znajdziesz, odlicz siedem kroków i kop na jakieś cztery stopy. Kapujesz?

– Jasne. Co tam jest?

– Tam jest spadek po mnie. Znajdziesz taką starą, solidną skrzynkę; teraz cała już chyba przerdzewiała. Rozwal ją. Będzie pełna wełny drzewnej i będzie w niej jeszcze sześciocalowy kawałek rurki. Rurka jest nagwintowana i z obu stron ma nakręcone pokrywki. Wewnątrz znajduje się jakieś pięć patyków, zwinięte w rulonik. Wszystkie banknoty są czyste.

Pociski bez przerwy odbijały się rykoszetem od pancernych burt. Odwzajemnił się ogniem.

Pędzili szpalerem poskręcanych drzew, takich samych, jakie widział w pobliżu innych kraterów. Wokół ich gałęzi, niczym proporce owijały się kłaczki mgły. Słychać było coraz głośniejszy grzechot deszczu o dach samochodu.

Kiedy dotarli wreszcie do miejsca, od którego nawierzchnia drogi zachowana była w przyzwoitym stanie, Tanner przypomniał sobie o ścigających go światłach.

– Ile teraz naliczyłaś? – zwrócił się do Cornelii.

– Zdaje się, że jest ich około dwudziestu. Jak nam idzie?

– Boję się tylko o opony. Mogą sporo wytrzymać, ale pocisk je przebije. Oprócz tego jakaś zabłąkana kulka może trafić w obiektyw któregoś skanera. Nie licząc tych dwóch czułych miejsc samochód jest kuloodporny i nawet jeśli zdołają nas zatrzymać, to będą musieli się do nas włamywać.

Motocykle znowu zmniejszyły dystans dzielący je od samochodu. Tanner widział jasne rozbłyski i słyszał huk karabinów.

– Trzymaj się – krzyknął do Corny i uderzył po hamulcach. Wóz wpadł w poślizg i przebywając jeszcze parę metrów po mokrej nawierzchni zatrzymał się.

Światła gwałtownie pojaśniały. Tanner bluznął w ich stronę płomieniem z miotacza wstecznego, a po chwili włączył miotacze boczne i grzał z nich przez kilkanaście sekund do paru motocykli, które próbowały przemknąć się obok samochodu.

Potem zdjął nogę z hamulca i, nie tracąc czasu na ocenę zniszczeń, których dokonał, wyrwał gwałtownie do przodu.

Gdy pędzili przed siebie oddalając się od miejsca utarczki, usłyszał śmiech Cornelii.

– Boże! Ale im przyłożyłeś, Czart! Rozwaliłeś całą tę cholerną bandę.

– Nie ma się z czego śmiać! – powiedział. – Widzisz jeszcze jakieś światła?

Wpatrywała się przez chwilę we wsteczny ekran.

– Nie – stwierdziła w końcu. – Chociaż czekaj. Trzy, siedem, trzynaście.

– Cholera! – zaklął.

Poziom promieniowania spadł. Do panującego w górze ryku dołączyły trzaski. Przez jakieś pół minuty wraz z deszczem padał z nieba drobny żwir.

– Kończą się nam zapasy – powiedział Tanner.

– Czego?

– Wszystkiego: szczęścia, paliwa, amunicji. Może wyszłabyś lepiej na tym, gdybym zostawił ciebie tam gdzie znalazłem.

– Nie – zaprzeczyła gorąco. – Jestem z tobą – na dobre, czy na złe.

– No to jesteś głupia – zawyrokował. – Nie byłem dotąd przykry dla ciebie. Gdybym był, grałabyś na inną nutkę.

– Może – odparła. – Poczekaj, a usłyszysz jak śpiewam.

Wyciągnął rękę i uścisnął jej udo.

– Okay, Corny. Na razie jesteś w porządku. Trzymaj tak i zobaczymy co będzie dalej.

Sięgnął po papierosa i zaklął stwierdzając, że paczka jest pusta. Uczynił gest głową w stronę skrytki. Corny otworzyła drzwiczki i wyjęła nową paczkę, rozdarła ją i przypaliła Tannerowi papierosa.

– Dzięki.

– Dlaczego trzymają się wciąż poza zasięgiem naszej broni?

– Nie wiem. Może chcą tylko jechać za nami.

Mgła zaczęła się podnosić i zanim Tanner skończył papierosa, widoczność znacznie się poprawiła. Mógł już odróżnić czarne postacie siedzące okrakiem na motocyklach. Jechali ciągle z tyłu nie podejmując żadnych akcji zaczepnych.

– Jeśli chcą tylko dotrzymać nam towarzystwa, to nie mam nic przeciwko temu – odezwał się Tanner. – Niech sobie dotrzymują.

Po pewnym czasie jednak strzelanina rozpętała się na nowo i Tanner usłyszał huk pękającej opony. Zwolnił, lecz się nie zatrzymał. Wycelował starannie i zasypał swych prześladowców gradem kul. Kilku przewróciło się.

Kanonada za jego plecami nie ustała. Gdy pękła druga opona zahamował gwałtownie i samochód zwalniając wpadł w poślizg i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Tanner wysunął słupy kotwiczne i jedną po drugiej odpalił w kierunku nadjeżdżających rakiety. Kiedy rozjechali się na prawo i lewo oskrzydlając go ponownie, otworzył ogień z karabinów maszynowych najpierw z prawej, a potem lewej burty. Gdy ich magazynki opróżniły się, wystrzelił resztę granatów.

Kanonada straciła na sile, ale nie ucichła zupełnie. Strzały padały teraz spośród drzew rosnących tu

zjeżdżać w dół. Po prawej wznosiła się ściana zmieszanych z gliną kamieni. Tanner zauważył ją.
Gdy zjechali na sam dół i Tanner zauważył, że droga biegnie już po płaskim terenie, włączył najsilniejsze światła i poszukał wzrokiem miejsca, w którym pobocza były najszersze.
W górze, za nimi, ukazał się nagle rząd zjeżdżających na dół świateł.
Znalazł miejsce, gdzie droga była wystarczająco szeroka i wprowadzając samochód w kontrolowany poślizg dokonał zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Krzaczaste urwisko miał teraz po lewej ręce. Pościg zbliżał się nieubłaganie.
Uniósł wyrzutnię rakiet i odpalił jeden pocisk. Uniósł je o dalsze pięć stopni i odpalił drugi pocisk. Uniósł je jeszcze o pięć stopni wyżej i odpalił trzeci. Potem opuścił wyrzutnię o piętnaście stopni i odpalił jeszcze jedną rakietę.
We mgle rozbłysła jasność. Słyszał turkot toczących się po drodze kamieni i czuł wibracje gruntu. To zaczynało obsuwać się zbocze urwiska. Skręcił kierownicę w prawo i cofając się odpalił jeszcze dwie rakiety na wprost. Wzniosły się tumany pyłu przemieszane teraz z mgłą. Wibracje nie ustawały.
Zawrócił i ruszył w dalszą drogę.
– Mam nadzieję, że to ich powstrzyma – powiedział przypalając dwa papierosy i podając jednego dziewczynie.
Po pięciu minutach, gdy wjechali wyżej i podmuch wiatru rozwiał nieco mgłę, Tanner dostrzegł daleko w tyle kilka podążających ciągle jego tropem świateł.
Kiedy dotarli na szczyt wysokiego wzniesienia, wskazanie licznika promieniowania przekroczyło normalny poziom. Rozejrzał się i daleko przed sobą zobaczył krater.
– To ten – usłyszał głos dziewczyny. – Gdy zbliżymy się do niego, będziesz musiał zjechać z drogi. Skręcisz tam w prawo i okrążysz go naokoło.
– Dobrze.
Po raz pierwszy tego dnia usłyszał padające z tyłu strzały i chociaż nastawił celownik, to sam nie otworzył ognia. Odległość była jeszcze zbyt duża.
– Musiałeś odciąć połowę z nich – powiedziała Corny wpatrując się w ekran. – Nawet więcej. To jedna twarda banda.
– Widzę. – Jechał teraz we mgle. Przeliczył pociski do granatników i stwierdził, że ich zapas wyczerpuje się.
Gdy poczuł, jak samochód podskakuje na popękanej, betonowej nawierzchni, skręcił w prawo i zjechał z szosy. Poziom promieniowania był teraz bardzo wysoki. Od ziejącego po lewej krateru dzieliło go nie więcej jak tysiąc jardów.
Podążając ciągle za samochodem światła rozsypały się w tyralierę i pojaśniały. Wziął na cel najjaśniejsze i strzelił. Reflektor zgasł.
Jeszcze jeden do kompletu – stwierdził i pędził dalej przez zwegloną równinę.
Ulewa wzmogła się. Ustawił środek krzyża nitek celownika na następne światło i oddał kolejny strzał. Zgasło również i znowu usłyszał huk ich karabinów. Strzelali do niego.
Włączył układ celowniczy karabinów wbudowanych w prawą burtę wozu i obserwował wyostrzający się na ekranie krzyż nitek. Kiedy trzy motocykle wysunęły się do przodu, aby oskrzydlić go z tej strony, otworzył ogień i skosił je. Strzały zza jego pleców zaczęły padać gęściej. Zignorował to, zajęty pokonywaniem nierówności terenu.
– Naliczyłam dwadzieścia siedem świateł – odezwała się Corny.
Tanner lawirował wśród zaścielających pole głazów. Zapalił następnego papierosa.
W pięć minut później motocykle pędziły już po obu jego stronach.
Nie spieszył się z otwarciem ognia, oszczędzając amunicję i chcąc być pewnym trafienia. Odczekawszy na dogodny moment, ostrzelał wszystkie światła znajdujące się w zasięgu rażenia jego broni, docisnął do dechy pedał gazu i skręcił za skały.
– Pięciu upadło – powiedziała Corny, ale Tanner wsłuchiwał się w odgłosy strzelaniny.
Wystrzelił za siebie granat, ale kiedy próbował cisnąć następny, urządzenie spustowe wydało tylko cichy, metaliczny trzask. Magazynek wstecznego granatnika był już pusty. Wyrzucił po jednym granacie na boki i przerwał na chwilę ogień.
– Pokażę im coś jak się tylko zbliżą – powiedział do Cornelii. Po lewej ręce mieli ciągle krater.
Strzelał teraz tylko do pojedynczych celów, kiedy miał pewność, że znajdują się w polu rażenia jego karabinów. Położył jeszcze dwóch i niespodziewanie z mgły wynurzyła się przed nim zniszczona nawierzchnia drogi.
– Jedź równolegle do niej – poradziła mu Corny. – Tam jest szlak. Na odcinku jakiejś mili ta szosa nie nadaje się do niczego.

– Po co mi to mówisz?
– Bo są teraz twoje – odparł Tanner i wymierzył Denny'emu cios w szczękę. Gdy Denny upadł, Czart, zanim policjanci dopadli go i odciągnęli od leżącego, kopnął chłopaka raz, drugi i trzeci.
– Głupcze – krzyknął Denton. – Ty cholerny głupcze!
– Dobra, dobra – rzucił Tanner – żaden mój brat nie pojedzie Aleją Potępienia, dopóki jestem w pobliżu i mogę mu tak przyłożyć, żeby wypadł z gry. Lepiej znajdź pan szybko innego kierowcę, bo ten ma połamane żebra. Albo jeszcze lepiej – pojadę sam.
– No to pojedziesz sam – zdecydował Denton – bo nie możemy już dłużej zwlekać. W schowku są tabletki pobudzające i lepiej je zażywaj, bo jak zaśniesz i zostaniesz z tyłu, to cię spalą. Pamiętaj o tym.
– Zapamiętam sobie pana, Mister, na wypadek, gdybym kiedyś wrócił do miasta. Nie martw się pan o to.
– Właź lepiej do wozu numer dwa i ruszaj. Wszystkie pojazdy wiozą ładunek. Bagażnik jest pod tylnym siedzeniem.
– Tak, wiem.
– ...I jeśli w ogóle się kiedyś spotkamy, to nie nastąpi to prędko. Zejdź mi z oczu, kanalio.
– Tanner splunął na ziemię i odwrócił się plecami do Inspektora Ruchu Drogowego. Kilku policjantów udzielało pierwszej pomocy jego bratu, a jeden oddalił się biegiem w poszukiwaniu lekarza. Z pozostałych kierowców Denton zestawił dwie załogi i przydzielił im samochody numer jeden i trzy. Tanner wspiął się do kabiny swego wozu, zapuścił silnik i czekał. Patrząc w zamyśleniu na pnącą się ku powierzchni rampę, zastanawiał się co go tam spotka. Przeszukał schowek i znalazł papierosy. Zapalił i rozparł się wygodnie w fotelu.
Pozostali kierowcy wgramolili się tymczasem do swych ciężko opancerzonych wehikułów. Z radia wydobyły się trzaski, potem szum, potem znowu trzaski, wreszcie, gdy Tanner słyszał już pomruk pracujących silników samochodów numer jeden i trzy, głośnik przemówił:
– Wóz numer jeden – gotów!
Nastąpiła pauza.
– Wóz numer trzy – gotów! – zachrypiał inny głos.
Tanner podniósł mikrofon i wcisnął guzik z boku obudowy.
– Wóz numer dwa gotowy – powiedział.
– Odjazd – padł rozkaz i ruszyli rampą pod górę.
Brama uniosła się przed nimi, znikając w szczelinie sufitu i stanęli oko w oko z żywiołem.

IV

Wydostanie się z Los Angeles i dotarcie do Trasy 91, było koszmarem. Z nieba lały się potoki wody a o pancerną karoserię samochodu bębniły odłamki skał wielkości baseballowych piłek. Tanner zapalił papierosa i włączył światła specjalne. Miał na oczach gogle noktowizyjne. Ścigały go noc i burza.
Kilka razy w radio rozlegały się jakieś trzaski i wtedy Tannerowi wydawało się, że słyszy dobiegający z oddali głos, ani razu jednak nie mógł zrozumieć o co mu chodzi.
Przez pewien czas jechali szosą, ale nadszedł wreszcie moment, gdy wielkie opony samochodów westchnęły na nierównym terenie. Tam szosa urywała się i tam Tanner wysunął się na czoło kolumny. Pozostali przyjęli to nawet z zadowoleniem i pewną ulgą. Tanner znał drogę, oni nigdy jeszcze tu nie byli.
Prowadził konwój starym, przemytniczym szlakiem, który przemierzał kiedyś, dostarczając Mormonom cukier. Nie było wykluczone, że z tych, którzy znali tę trasę, on jeden pozostał jeszcze przy życiu.
Zaczęło się błyskać. Nie, to nie były pojedyncze błyskawice, to rozjarzały się całe połacie nieba. Samochód był izolowany, ale po pewnym czasie włosy stały Tannerowi dęba. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi gigantycznego potwora Gilę, ale nie był tego całkiem pewien. Na razie nie dotykał pulpitu sterowania ogniem. Oszczędzał swe pazury na specjalne okazje. Na ekranie wyświetlającym obrazy przekazywane przez tylne skanery, pojawił się krótki błysk, co mogło oznaczać, że jeden z posuwających się za nim wozów odpalił rakietę. Pewności nie miał, gdyż utracił z nimi kontakt radiowy zaraz po opuszczeniu budynku.
Nacierające masy wody rozbryzgiwały się wokół samochodu. Niebo grzmiało niczym dywizjon artylerii. Przed maską spadł głaz wielkości nagrobka i Tanner musiał zboczyć z trasy, aby go objechać. Niebo

przecinały raz po raz czerwone błyskawice. Gdy gasły, Tanner dostrzegał wiele czarnych pasm, przesuwających się z zachodu na wschód. Nie było to zachęcające widowisko. Burza mogła potrwać kilka dni.

Parł naprzód skrajem pasa promieniowania, którego natężenie nie zmalało przez cztery lata, jakie upłynęły od czasu, gdy przejeżdżał tędy ostatni raz.

Dotarli do miejsca, gdzie stopiony piasek zastygł, tworząc szklane morze. Wjeżdżając na szklistą taflę, Tanner zwolnił, wypatrując kraterów i przepastnych szczelin, które przecinały jej powierzchnię.

Jeszcze trzykrotnie kamienny deszcz szturmował samochód Tannera, zanim niebiosa rozstąpiły się, odsłaniając jaskrawoniebieskie sklepienie, graniczące w odcieniu z fioletem. Ciemne zasłony chmur zwinęły się ku biegunom, a ryk i huk przypominający artyleryjską kanonadę, przycichły. Na północy jarzyła się jeszcze lawendowa łuna. Zielone słońce chyliło się ku linii widnokręgu.

Przejechali. Tanner wyłączył urządzenie noktowizyjne, zdjął gogle i zapalił zwykłe, nocne reflektory.

Nawet w dobrych warunkach atmosferycznych, ta płaszczyzna była trudna do przebycia.

Z góry runęło coś dużego, podobnego do nietoperza i przecinając snopy światła, rzucane przez reflektory, rozpłynęło się w mroku. Zignorował ten incydent. Po pięciu minutach stwór pojawił się znowu, tym razem dużo bliżej. Tanner wystrzelił flarę. W jej świetle ukazał się czarny kształt o rozpiętości jakichś czterdziestu stóp. Tanner wpakował w niego dwie pięciosekundowe serie z działka kaliber pięćdziesiąt. Potwór spadł na ziemię i nie pojawił się już więcej.

Dla tamtych frajerów była to już Aleja Potępienia. Dla Czarta Tannera był to ciągle jeszcze zaciszny parking. Jeździł tędy trzydzieści dwa razy i uważał, że prawdziwa Aleja Potępienia zaczyna się dopiero na terenie znanych niegdyś pod nazwą Colorado.

Jechał przodem, tamci podążali jego śladem. Nadciągała noc.

Od chwili zakończenia wojny, nie mógł tędy przelecieć żaden samolot. Żaden nie ośmielił się wznieść na wysokość przekraczającą dwieście stóp. Tam brały swój początek wiatry. Wiatry. Potężne huragany, obiegające glob, ścierające wierzchołki gór, powalające niebotyczne sekwoje, obracające w gruzy budynki, porywające z sobą ptaki, nietoperze, insekty i wciągające wszystko do pasa śmierci. Wiatry, szalejąc po świecie w opętańczych wirach powietrznych trąb, siekąc niebo ciemnymi krechami gruzu, spotykały się czasem, łącząc ze sobą, ścierając, siejąc śmierć i zniszczenie. Transport drogą powietrzną do jakiegokolwiek miejsca na świecie nie wchodził absolutnie w rachubę, gdyż wiatry te krążyły i nigdy nie ustawały. Nie popuściły w każdym razie przez całe dwadzieścia pięć lat, jakie ze swego życia pamiętał Tanner.

Parł do przodu w zielonkawej poświacie, rzucanej przez zachodzące słońce. Z nieba opadały bez przerwy tumany, wielkie chmury pyłu, a ono samo, przed chwilą jeszcze fioletowe, przybrało teraz odcień purpury. Niebawem słońce skryło się całkowicie za widnokręgiem i zapadła noc. Gwiazdy były bladymi punkcikami światła zawieszonymi gdzieś wysoko w przestworzach. Gdy wzeszedł księżyc, połowa jego tarczy, którą tej nocy odsłaniał, miała barwę lampki wina Chianti trzymanej przed świecą.

Tanner zapalił papierosa i zaczął kląć; powoli, cicho, bez emocji.

Przedzierali się między stosami gruzu i pordzewiałego żelastwa. Mijali rumowiska skalne, sterty złomu, porozrzucane w nieładzie części maszyn, dziób statku. Przez drogę biegnącą pośród zwałów żelastwa sunął wąż, gruby jak pojemnik na śmieci i ciemnozielony w padającym na niego świetle reflektorów. Tanner zahamował, a wąż pełzł, pełzł i pełzł. Zanim Tanner zdjął nogę z hamulca i znowu delikatnie nacisnął pedał gazu, przesunęło się przed nim jakieś sto dwadzieścia stóp gada.

Gdy spojrzał na ekran ukazujący podczerwoną wersję widoku na lewą stronę, wydało mu się, że w cieniu sterty belek i cegieł widzi parę jarzących się ślepi. Położył dłoń w pobliżu klawisza spustu i trzymał ją tam przez kilka mil jazdy.

W samochodzie nie było ani jednego okna. Zastępowały je ekrany, przekazujące obrazy tego, co działo się na zewnątrz ze wszystkich stron, w górze, nad pojazdem i pod spodem, między jego kołami. Tanner siedział w oświetlonej kabinie, która chroniła go przed promieniowaniem. „Samochód" przez niego prowadzony miał osiem kół na głęboko bieżnikowanych oponach i trzydzieści dwie stopy długości. Zamontowano w nim osiem karabinów maszynowych kaliber pięćdziesiąt i cztery granatniki. Uzbrojony był ponadto w trzydzieści rakiet przeciwpancernych, które można było odpalać na wprost i pod kątem, regulowanym płynnie od zera do czterdziestu stopni w stosunku do poziomu. W każdą z czterech ścian wehikułu oraz w jego dach wmontowany był miotacz ognia. Ostrymi jak brzytwa „skrzydłami" z hartowanej stali – szerokimi na osiemnaście cali u podstaw i zwężającymi się w ostrza grubości, w miejscu gdzie ich profil był najszerszy, jeden i ćwierć cala – można było poruszać wzdłuż burt samo-

Cornelia spała nadal i nie obudziła się nawet, gdy zapuścił silnik i ruszał pod zasłane wodorostami zbocze wzgórza.

Niebo było znowu jasne, a droga usiana kamieniami. Lawirował między nimi, kierując się na blade słońce. Po pewnym czasie Cornelia przeciągnęła się.

– Uch! – powiedziała i Tanner przywitał ją skinieniem głowy.

– Ramiona już mnie tak nie bolą – powiedział.

– A widzisz!

Samochód piął się wolno pod górę. Pociemniało. Jedna czarna linia biegnąca środkiem nieba przeistoczyła się w diabelską autostradę.

Gdy przejeżdżali przez porośniętą lasem dolinę, zaczął padać deszcz. Dziewczyna wróciła już z tyłu samochodu i zajęta była przygotowywaniem śniadania, kiedy Tanner dostrzegł na horyzoncie maleńki punkcik. Przełączył obiektywy skanerów na teleskopowe i po chwili przyspieszył, starając się uciec przed tym co ujrzał.

Cornelia uniosła głowę i spojrzała na ekran.

Ich śladem pędziła chmara motocykli.

– To twoi ludzi? – spytał Tanner.

– Nie. Moich załatwiłeś wczoraj.

– To niedobrze – mruknął Tanner, docisnął gaz do dechy i modlił się o burzę.

Samochód wszedł z poślizgiem w ostry zakręt i rozpoczął wspinaczkę pod następne wzgórze. Ścigający zbliżyli się nieco. Tanner przełączył obiektywy z teleskopowych z powrotem na normalne, ale i teraz można było ocenić liczebność nadjeżdżającego tłumu.

– To muszą być Kingsi – odezwała się Cornelia. – To największa banda na tych terenach.

– To źle – powiedział Tanner.

– Dla nich, czy dla nas?

– Dla jednych i dla drugich.

Uśmiechnęła się.

– Chciałabym zobaczyć, jak to robisz.

– Zdaje się, że będziesz miała okazję. Ścigają nas jak szaleni.

Deszcz był teraz mniej ulewny, ale mgła zgęstniała. Pomimo to Tanner widział światła jadących za nimi w odległości ćwierć mili motocykli. Swoich reflektorów nie włączał. Liczbę ścigających go tego chłodnego, ponurego poranka prześladowców oszacował na sto do stu pięćdziesięciu.

– Ile jeszcze mamy do Bostonu? – spytał.

– Około dziewięćdziesięciu mil – odparła.

– Szkoda, że zachowują ciągle dystans. Mogliby się do nas zbliżyć – powiedział napełniając miotacze i włączając układ celowniczy, wyostrzający krzyż nitek na ekranie wstecznym.

– Co to jest? – spytała.

– Krzyż. Ukrzyżuję ich, moja pani.

Uśmiechnęła się i uścisnęła jego ramię.

– Mogę ci w czymś pomóc? Nienawidzę tych sukinsynów.

– Za chwileczkę – odparł Tanner. – Za chwileczkę na pewno. – Sięgnął na tylne siedzenie, wziął z niego sześć ręcznych granatów i zawiesił je sobie u czarnego, szerokiego pasa. Dziewczynie podał karabin. – Złap się za to – powiedział, a sobie wsunął za pas pistolet 0,45.

– Wiesz jak się z tym obchodzić?

– Tak – odparła bez wahania.

– To dobrze.

Nie spuszczał wzroku z tańczących po ekranie świateł.

– Dlaczego u diabła ta burza się nie zaczyna? – zaklął, gdy światła zbliżyły się na tyle, że we mgle mógł już rozróżnić poszczególne sylwetki motocyklistów.

Gdy dzieląca go od nich odległość zmniejszyła się do stu stóp, wystrzelił pierwszy granat. Pocisk zatoczył szeroki łuk w szarym powietrzu i pięć sekund później nastąpiła eksplozja, której towarzyszył oślepiający błysk.

Światła sunące bezpośrednio za samochodem pozostały. Poruszając na boki krzyżem nitek celownika, położył palce na spustach pięćdziesiątek. Karabiny zagdakały długimi seriami. Wyrzucił następny granat. Gdy nastąpiła druga eksplozja, samochód piął się już pod kolejne wzniesienie terenu.

– Zatrzymałeś ich?

– Może na jakiś czas. Widzę jeszcze parę świateł, ale daleko za nami.

Po pięciu minutach dotarli do szczytu. Mgły tu nie było i w górze widzieli ciemne niebo. Zaczęli znowu

– Może być i kawa.

– Okay. Już się robi. – Opłukał ekspres, napełnił go i wsunął wtyczkę do gniazdka na tablicy rozdzielczej.

Siedzieli paląc papierosy i wsłuchiwali się w szalejącą burzę.

– Wiesz co? – odezwał się. – To przyjemne uczucie siedzieć sobie w bezpiecznym miejscu, jak szczur w norze, gdy tymczasem diabli biorą wszystko co na zewnątrz. Słuchaj, co się wyprawia. Dałoby nam popalić.

– Też tak myślę – odparła. – Co zamierzasz robić jak już dojedziesz do Bostonu?

– O, nie wiem... Może dostanę jakąś pracę, uciułam trochę gotówki i otworzę sklep z motocyklami albo stację obsługi. Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Niezłe plany. A sam zamierzasz jeździć?

– No jasne. Mają w mieście jakiś dobry klub?

– Nie. Wszyscy tam są piechurami.

– Tak przypuszczałem. Może zorganizuję własny klub.

Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń.

– Mogę ci postawić drinka – powiedziała.

– Co masz na myśli?

Wyciągnęła z prawej kieszeni swej kurtki plastykową butelkę, odkręciła korek i podała ją Tannerowi.

– Masz.

Nabrał pełne usta wódki i przełknął ją krztusząc się. Wziął drugi łyk i oddał butelkę Cornelii.

– Dobre! Jesteś kobietą o nie dającym się przewidzieć potencjale i to mi się w tobie podoba. Dzięki.

– Nie ma o czym mówić. – Łyknęła z butelki i odstawiła ją.

– Masz papierosa?

– Chwileczkę.

Przypalił dwa i jednego oddał Corny.

– Trzymaj, Corny.

– Dzięki. Chciałabym ci pomóc dojechać do Bostonu.

– Skąd ten pomysł?

– I tak nie mam nic lepszego do roboty. Mojej paczki już nie ma i teraz nie mam z kim jeździć. Poza tym, jeśli dojedziesz, będziesz ważną figurą. Z dużej litery. Pomyślałam, że mógłbyś mnie wtedy zatrzymać przy sobie.

– Możliwe. A jaka jesteś?

– Och, jestem naprawdę miła. Pomasuję ci nawet ramiona, gdy cię zabolą.

– Właśnie teraz mnie bolą.

– Tak myślałam. Pochyl się.

Nachylił się w jej stronę i poddał masażowi. Ręce miała zręczne i silne.

Dobrze to robisz, dziewczyno.

– Dzięki.

Wyprostował się i odchylił do tyłu. Potem sięgnął po butelkę, wziął łyk i podał ją Corny.

Wokół szalały furie, ale osłaniający ich most dzielnie wytrzymywał napór burzy. Tanner zgasił światło.

– Chodź – powiedział do Corny, objął ją i przyciągnął do siebie.

Nie opierała się. Znalazł sprzączkę jej pasa, odpiął ją i zabrał się do guzików. Po chwili rozłożył fotel.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – spytała.

– Pewnie.

– Pomogę ci. Zrobię wszystko co każesz, bylebyś tylko dotarł do Bostonu.

– Cieszę się.

– Przecież jeśli Boston się skończy, skończymy i my.

– No jasne.

Potem nie mówili już nic.

W niebiosach panował gwałt. Potem nastały ciemność i cisza.

XV

Gdy Tanner otworzył oczy, był już ranek. Burza ustała. Odwiedził latrynę w tylnej części samochodu, po czym zajął znowu miejsce w fotelu kierowcy.

chodu na wysokości dwóch stóp i ośmiu cali, równolegle do powierzchni terenu. Ustawione pod kątem prostym do korpusu pojazdu – osiem stóp od wewnętrznej strony przedniego zderzaka – sterczały z obu burt na odległość sześciu stóp. Można je było nastawiać jak lance podczas szarży. Można je było trzymać lekko tylko odchylone od burt, aby przecinały wszystko, co atakowało wóz z boku. Samochód był kuloodporny, klimatyzowany, posiadał własną spiżarnię i urządzenia sanitarne. Na drzwiczkach, po lewej ręce kierowcy, wisiał długolufy Magnum 0,357. Na półce, tuż nad przednim siedzeniem, spoczywały: pistolet 30.06, automat kaliber 0.45 i sześć ręcznych granatów.

Pomimo dysponowania takim arsenałem, Tanner zatrzymał swoją własną broń – wsunięty za cholewę buta, długi, wąski sztylet, będący ongiś w wyposażeniu formacji SS.

Ściągnął rękawiczki i wytarł spocone dłonie o kolana kombinezonu. Na grzbiecie prawej dłoni widniało wytatuowane serce, czerwone w poświacie padającej z tablicy rozdzielczej. Przeszywający je nóż był ciemnoniebieski, a pod spodem litery w tym samym kolorze, wytatuowane na kostkach palców, składały się, poczynając od nasady palca serdecznego, na jego imię – „CZART".

Otworzył dwa najbliższe schowki i przeszukał je, ale cygar nie znalazł. Zgniótł o podłogę niedopałek papierosa i zapalił następnego.

Na przednim ekranie pojawiły się ślady roślinności. Tanner zwolnił. Spróbował skorzystać z radia, ale odbierając w odpowiedzi jedynie zakłócenia elektrostatyczne, nie potrafił stwierdzić, czy ktoś go słyszy.

Zwolnił ponownie patrząc na ekran i zatrzymał się.

Przełączył przednie reflektory na pełną jasność i badał sytuację.

Przed nim wyrastał zbity gąszcz ciernistych zarośli, wysokich na dwanaście stóp. Spojrzał w prawo, potem w lewo, ale zwarta, najeżona kolcami ściana ciągnęła się w obu kierunkach jak okiem sięgnąć. Jak gęsty dalej i jak szeroki był ten monstrualny żywopłot trudno było przewidzieć. Nie było go tutaj kilka lat temu.

Ruszył wolno naprzód, przygotowując miotacze ognia. Na wstecznym ekranie widział, jak dwa pozostałe wozy zatrzymują się o sto jardów za nim i przygaszają światła.

Podjechał tak blisko, jak tylko mógł i nacisnął klawisz spustu przedniego miotacza.

Bluzgający z niego ognisty język wdarł się na pięćdziesiąt jardów w głąb ciernistego gąszczu. Tanner naciskał klawisz przez pięć sekund, puścił go, nacisnął jeszcze raz i kiedy krzaki zajęły się, szybko wycofał wóz.

Płomień, z początku ledwo zauważalny, z trudem torował sobie drogę ku górze i powoli rozprzestrzeniał się na boki, potem znienacka buchnął wysoko, zalewając okolicę krwawym blaskiem.

Jadąc ciągle na wstecznym biegu, Tanner musiał przyciemnić ekran, gdyż nim zdążył wycofać się na wystarczającą odległość, zarośla paliły się już na szerokość pięćdziesięciu stóp, a języki płomieni strzelały w górę na wysokość trzeciego piętra.

Ogień rozszerzał się w błyskawicznym tempie. Tanner, z miejsca gdzie się zatrzymał, mógł obserwować odpływającą w dal rzekę płomieni. Wokół było jasno jak w dzień.

Wpatrywał się z fascynacją w szalejący żywioł i w końcu miał wrażenie, że widzi przed sobą roztopione morze. Przeszukał wtedy lodówkę, ale piwa w niej nie znalazł. Otworzył puszkę bezalkoholowego napoju i popijając z niej, obserwował płonące zarośla. Po około dziesięciu minutach klimatyzator zaskomlał i zaczął pracować. Z rozszalałego piekła wypadały w popłochu hordy ciemnych, czworonożnych stworzeń wielkości szczura albo kota. Ich futerka dymiły. Przemykały tuż obok samochodu. W pewnym momencie zakryły obiektyw skanera przekazującego obraz na przedni ekran i Tanner usłyszał drapanie ich pazurów o błotniki i dach.

Wyłączył reflektory, zgasił silnik i wrzucił pustą puszkę do pojemnika na odpadki, po czym popchnął dźwignię usytuowaną w poręczy fotela i odchylił oparcie do tyłu. Opadł na nie i zamknął oczy.

V

Obudziło go wycie klaksonów. Była jeszcze noc. Spojrzał na zegar wmontowany w tablicę rozdzielczą i stwierdził, że spał niewiele ponad trzy godziny.

Przeciągnął się, usiadł prosto i wyregulował oparcie fotela. Dwa pozostałe wozy podjechały tymczasem bliżej i stały teraz po obu stronach jego samochodu. Zatrąbił dwukrotnie na swoim klaksonie i zapuścił silnik. Włączył przednie reflektory i naciągając rękawice zbadał wzrokiem roztaczający się przed nim krajobraz.

Z poczerniałego pola ciągle unosiły się pasma dymu, a daleko po prawej świeciła krwawa łuna, jak gdyby hen w oddali pożar trwał nadal. Znajdowali się w okolicy znanej niegdyś pod nazwą Nevada.

Przetarł oczy i podrapał się w nos, po czym jeszcze raz nacisnął klakson i wrzucił bieg.
Ruszył powoli naprzód. Wypalona strefa wydawała się być zupełnie płaska, a opony samochodu, grube i szerokie, nie powinny ucierpieć na skutek żaru bijącego od pogorzeliska.
Wjechał na czarne pole wzbijając kołami fontanny dymu i popiołu, które spowiły samochód gęstym tumanem i przysłoniły wszystkie skanery. Ekrany natychmiast pociemniały. Posuwał się dalej, słysząc chrzest rozgniatanych oponami, kruchych resztek zwęglonych zarośli. Ustawił ekrany na największą jasność i przełączył reflektory na światła długie.
Jadące po obu stronach jego wozu samochody zostały nieco w tyle i Tanner musiał znowu przyciemnić ekrany, gdyż blask ich reflektorów przekazywany przez wsteczne skanery oślepiał go.
Wystrzelił flarę i gdy zawisła wysoko, oblewając okolicę jaskrawym, zimnym światłem, ujrzał przed sobą zwęgloną równinę ciągnącą się hen, po sam widnokrąg.
Dodał gazu i jadące za nim wozy, chcąc uniknąć tumanów popiołu wzniecanych przez opony jego samochodu, rozjechały się daleko na boki. Radio zatrzeszczało i usłyszał dobiegający z oddali, zanikający głos, nie mógł jednak rozróżnić słów.
Zatrąbił klaksonem i potoczył się jeszcze szybciej. Dwa jadące z tyłu samochody dotrzymywały mu kroku.
Dopiero po upływie półtorej godziny dostrzegł w dali przed sobą kraniec spopielonego pola. Dalej ciągnął się czysty piasek.
W pięć minut później jechał już przez pustynię, sprawdzając wskazanie kompasu i kierując się nieco bardziej na zachód. Wozy numer jeden i trzy pędziły z tyłu, przyspieszając, aby dostosować się do nowego tempa jazdy, a Tanner prowadził jedną ręką i zajadał kanapkę z wołowiną.

Wiele godzin później, gdy nadszedł ranek, Tanner zażył tabletkę pobudzającą i wsłuchał się w wycie wichru. Słońce wzeszło po jego prawej ręce niczym kula roztopionego srebra. Trzecia część nieba, poprzetykana pajęczyną cienkich linii, nabrała barwy bursztynu. Pustynia była topazowa, a gdy ciemności pierzchły na zachód i wokół słońca utworzyła się jasnoczerwona aureola, brązowa kurtyna kurzu wisząca bez przerwy za jego plecami, przebijana jedynie snopami świateł rzucanymi przez jadące z tyłu wozy, nabrała odcienia różowawego. Mijając pomarańczowy kaktus o średnicy dobrych pięćdziesięciu stóp, przypominający kształtem muchomora, przygasił reflektory.
Na południe czmychały gigantyczne nietoperze, a daleko przed sobą ujrzał szeroki, biorący swój początek w niebiosach, wodospad. Zanim dotarł do wilgotnego w tym miejscu piasku, wodospad już znikł, ale po lewej dostrzegł rozkładające się ścierwo zdechłego rekina, a wszędzie wokół zaścielały pustynię morskie ryby, wodorosty i kawałki przegniłego drewna.
Niebo poróżowiało ze wschodu na zachód i nie zmieniało już tej barwy. Tanner wychylił duszkiem butelkę lodowatej wody, czując jak zimny płyn spływa mu do żołądka. Mijał coraz więcej kaktusów, a przy jednym z nich siedziała para kojotów, obserwując go, gdy przejeżdżał obok. Odniósł wrażenie, że uśmiechają się do niego. Miały bardzo czerwone języki.
Gdy słońce stało się jaśniejsze, przyciemnił ekran. Zapalił papierosa i odszukał klawisz włączający muzykę. Zaklął, słysząc wypełniające kabinę płaczliwe dźwięki strun, ale nie wyłączył ich.
Skontrolował panujący na zewnątrz poziom promieniowania i stwierdził, że niewiele odbiega on od normy. Kiedy ostatnio tędy przejeżdżał, promieniowanie było znacznie silniejsze.
Minął kilka rozbitych pojazdów, takich samych jak jego. Pędził teraz krzemową równiną. Po jej środku ział ogromny krater i Tanner musiał nałożyć drogi, aby objechać go wokoło. Różowość nieba bladła, bladła i bladła, a jej miejsce zajmował odcień niebieskawy. Ciemne linie stale tam były i od czasu do czasu którąś z nich pęczniała do rozmiarów czarnej rzeki, odpływając na zachód. W południe, jedna z takich rzek przyćmiła na jedenaście minut słońce. Ziemię zalały ciemności i rozpętała się gwałtowna burza piaskowa. Tanner włączył radar i reflektory. Wiedział, że gdzieś przed nim przecina równinę szeroka rozpadlina. Kiedy do niej dojechał, skręcił w lewo i przez niemal dwie mile posuwał się krawędzią urwiska, zanim szczelina zwęziła się i w końcu znikła. Wozy numer jeden i trzy sunęły za nim. Tanner jeszcze raz określił z kompasu swoje położenie. Pył opadał, gnany silnym wiatrem i chociaż ekran był przyćmiony, Tanner musiał założyć przydymione gogle, aby uchronić oczy przed rażącym blaskiem słonecznych promieni odbijających od wyszlifowanego niczym klejnot pola, które teraz przemierzał.
Mijał wznoszące się ku niebu twory, uformowane chyba z kwarcu. Nigdy przedtem nie zatrzymywał się, aby obejrzeć je z bliska i teraz też nie odczuwał takiej potrzeby. U ich podstaw pląsały barwy rozszczepionego światła, a w pewnym od nich oddaleniu pojawiały się i znikały widmowe, kolorowe plamy.

Gdzieś wysoko rozległo się kilka głośnych grzmotów. Na północy rozbłysło niebieskie światło.
Tanner gnał dalej i nagle znalazł się pod wodospadem. Woda była wszędzie. Lała się kaskadami na samochód, przesłaniała ekrany. Niebo znowu poczerniało i w górze rozległo się wycie ducha – zwiastuna śmierci.
Wszedł poślizgiem w ostry zakręt. Włączył reflektory.
Deszcz był teraz mniej ulewny, ale wycie nie ustawało. Po piętnastu minutach jęk narósł do ogłuszającego ryku.
Dziewczyna wpatrywała się w ekrany, zerkając od czasu do czasu na Tannera.
– Co zamierzasz zrobić? – spytała wreszcie.
– Uciec, jeśli potrafię – odparł.
– Jak okiem sięgnąć jest ciemno. Nie wydaje mi się, żebyś zdołał uciec.
– Mnie też się nie wydaje, ale cóż nam innego pozostało?
– Skryć się gdzieś.
– Jeśli wiesz gdzie, to mi pokaż.
– Jest takie miejsce, kilka mil stąd – most, pod który można wjechać.
– Okay, to coś dla nas. Zawołaj, jak go zobaczysz.
Ściągnęła buty i masowała sobie stopy. Poczęstował ją papierosem.
– Hej, Corny – właśnie przyszło mi do głowy. – Tam po twojej prawej ręce jest apteczka. O, właśnie ta. Powinna w niej być jakaś maść. Nasmaruj nią sobie oparzenie na twarzy.
Znalazła jakąś tubkę, wycisnęła na dłoń trochę mazistej substancji i wtarła w policzek. Uśmiechnęła się lekko i odłożyła tubkę z powrotem.
– Trochę lepiej?
– Tak. Dzięki.
Zaczęły spadać kamienie i w górze rozrastała się niebieska łuna. Niebo pulsowało, stając się coraz jaśniejsze.
– To mi podejrzanie wygląda.
– Wszystko mi wygląda podejrzanie.
– W ostatnim tygodniu cholernie często się to zdarza.
– Tak. Słyszałam jak mówili, że być może wiatry ustają – że niebo może się oczyścić.
– Dobrze by było – odpowiedział Tanner.
– Może jeszcze zobaczymy je takim, jakim powinno wyglądać – całe niebieskie i z płynącymi po nim chmurami. Wiesz co to chmury?
– Słyszałem o nich.
– To takie białe, kłębiaste twory dryfujące po niebie. Czasami są szare. Nie spada z nich nic oprócz deszczu, a i on nie zawsze.
– Tak, wiem.
– Widziałeś ja kiedyś w L.A.?
– Nie.
Niebo zaczęły przecinać żółte błyskawice, a czarne linie wiły się po nim jak węże. Kamienny deszcz grzechotał głośno o dach i maskę samochodu. Ulewa przybrała na sile. Podniosła się mgła. Tanner zmuszony był zwolnić. Wydawało się, że w samochód walą kowalskie młoty.
– Nie dojedziemy – powiedziała Corny.
– Nie kracz. Ten wóz jest tak zbudowany, że to wytrzyma... Co to, tam przed nami?
– Most! – krzyknęła, pochylając się gwałtownie do przodu. – To ten! Zjedź z drogi w lewo, a potem w dół. Pod mostem jest wyschnięte koryto rzeki.
Błyskawice rozświetlały całe połacie nieba. Wydawało się, że wszystko wokół płonie. Minęli spalone drzewo. Nawierzchnię drogi ciągle zaścielały setki zdechłych ryb.
Dojechawszy do mostu, Tanner skręcił w lewo, zwolnił i zjechał śliską, błotnistą skarpą w dół.
Gdy dotarł do koryta rzeki, skręcił w prawo i wjechał pod most. Byli tam zupełnie sami. Z góry kapały na samochód krople wody. W świetle rozdzierających raz po raz niebo błyskawic, robiło się jasno jak w dzień. Niebo było jak obracający się nieustannym grzmotem kalejdoskop. Z mostu docierało do ich uszu jakieś zawodzenie.
– Tu jesteśmy bezpieczni – powiedział Tanner i zgasił silnik.
– Czy drzwi są zamknięte?
– Tak. Blokują się automatycznie.
Wyłączył reflektory.
– Postawiłbym ci jakiegoś drinka, ale mam tylko kawę.

- Diabła tam nie przyjechał. Sam go przyprowadziłem.
Usiadła prosto i rozcierała nogę.
Tanner zapalił papierosa.
- Nie poczęstujesz mnie? - spytała.
Oddał jej tego, którego palił, i wziął sobie następnego. Oczy dziewczyny spoczęły na jego tatuażu.
- Co to jest?
- Moje imię.
- Czart?
- Czart.
- Kto ci dał takie imię?
- Mój stary.
Palili chwilę w milczeniu.
- Po co przejechałeś Aleją? - spytała po chwili.
- Bo to był jedyny sposób, żeby mnie wypuścili.
- Skąd?
- Z miejsca o żaluzjach w kratkę. Siedziałem.
- I wypuścili cię? Dlaczego?
- Dzięki wielkiej chorobie. Wiozę antyserum Haffikina.
- Ty jesteś Czart Tanner?
- Mhm.
- Nazywasz się Tanner, tak?
- Zgadza się. Kto ci to powiedział?
- Słyszałam o tobie. Wszyscy myśleli, że zginąłeś w Wielkiej Obławie.
- No to wszyscy się mylili.
- Jak tam wtedy było?
- Nie wiem. Nosiłem już garniturek w paski. Dzięki temu właśnie jestem teraz tutaj.
- A dlaczego mnie zabrałeś?
- Bo jesteś jeszcze kurczakiem i nie mógłbym patrzeć jak kopiesz w kalendarz.
- Dzięki. Masz tu coś do zjedzenia?
- Tak, żywność jest tam - wskazał na drzwiczki lodówki. - Obsłuż się.
- Jak cię nazywają? - spytał kiedy jadła.
- Corny - odparła z pełnymi ustami. - To skrót od Cornelii.
- Okay, Corny - powiedział. - Jak skończysz jeść, to opowiesz mi o drodze stąd do miasta.
Skinęła głową i żuła dalej kanapkę.
- Jest dużo innych gangów - powiedziała po przełknięciu ostatniego kęsa. - Przygotuj się więc lepiej na to, że będziesz musiał je niszczyć.
- Na to jestem gotowy.
- Te ekrany pokazują wszystko co się dzieje naokoło, tak?
- Tak.
- To dobrze. Stąd do miasta droga jest całkiem dobra. Jest tylko jeden duży krater, do którego zaraz dojedziemy, a potem parę małych wulkanów.
- Zgadza się.
- Poza tym nie ma nic, czego trzeba by się obawiać, nie licząc Regentsów, Devilsów, Kingsów i Loversów. To chyba wszystko.
Tanner skinął głową.
- Jak liczne są te bandy?
- Nie wiem na pewno, ale Kingsów jest najwięcej. Kilkuset.
- A do jakiej ty należałaś?
- Do Studsów.
- Co zamierzasz teraz robić?
- Co tylko mi każesz.
- Okay, Corny. Wysadzę cię po drodze, gdy będziesz chciała, a jeśli nie chcesz wysiadać, to możesz jechać ze mną do miasta.
- Gdziekolwiek byś jechał, pojadę z tobą. Przydam ci się, Czart.
Głos miała niski i mówiła wolno. Pod obcisłymi nogawkami kombinezonu rysowały się jędrne uda. Tanner oblizał wargi i utkwił wzrok w ekranach. Czy chciał, żeby z nim została?
Droga nieoczekiwanie powilgotniała. Leżały na niej setki ryb, a z nieba ciągle spadały następne.

Oddalając się szybko od krateru, Tanner wjechał ponownie na czysty, brązowy piasek. Tu kaktusów było więcej. Rosły wśród ogromnych wydm. Niebo zmieniało się nadal, aż w końcu stało się błękitne jak oczy noworodka. Tanner nucił akurat pod nosem, wtórując melodii wydobywającej się z głośnika, gdy nagle dostrzegł potwora.
To był Gila. Większy od jego samochodu. Poruszał się bardzo szybko. Wyprysnął z porosłej kaktusami doliny, w której cieniu miał swoją kryjówkę i gnał w kierunku Tannera. Jego perlisty tułów skrzył się w słońcu wieloma kolorami. Pędził wielkimi susami na zwinnych jaszczurczych nogach, nie mrugnąwszy nawet ciemnymi, ponurymi ślepiami. Za uniesionym w górę, potężnym ogonem potwora, szerokim jak żagiel i spiczastym jak namiot, wzbijały się czarne fontanny pyłu.
Tanner nie mógł użyć rakiet, gdyż stwór szarżował z boku.
Otworzył strzelnice pięćdziesiątek, rozwinął „skrzydła" i wcisnął do dechy pedał gazu. Gdy kreatura zbliżyła się na dostateczną odległość, wygarnął do niej z miotacza płomieni. W tym samym momencie otworzyły też ogień wozy numer jeden i trzy.
Potwór stanął jak wryty, machnął ogonem i kłapnął paszczęką, a tryskająca krew utworzyła na ziemi czarną kałużę. I wtedy ugodziła go rakieta. Gila odwrócił się. Gila skoczył.
Rozległo się chrupnięcie i chrzęst wgniatanego metalu. Gila spadł na samochód oznaczony numerem jeden i znieruchomiał na jego dachu.
Tanner pocisnął po hamulcach, zawrócił i pojechał z powrotem.
Wóz numer trzy zbliżył się już do miejsca wypadku i stanął. Tanner zatrzymał się również.
Zeskoczył z kabiny na ziemię i podbiegł do rozbitego samochodu ściskając w garści karabin. Zanim zbliżył się do wozu wpakował w łeb potwora sześć pocisków.
Drzwiczki otworzyły się same i zwisały na jednej, dolnej zawiasie.
Wewnątrz, rozciągnięci na podłodze, leżeli dwaj mężczyźni. Na tablicy rozdzielczej i fotelu widniały plamy świeżej krwi.
Do zaglądającego do środka Tannera zbliżyli się dwaj kierowcy z samochodu numer trzy. Niższy z nich wdrapał się do kabiny. Przyłożył ucho do klatki piersiowej jednego z mężczyzn, zbadał mu puls, sprawdził, czy oddycha, potem przeczołgał się do następnego i powtórzył tę samą procedurę.
- Mike nie żyje - krzyknął do stojących na zewnątrz - ale Greg zaczyna przychodzić do siebie.
Z tyłu samochodu zaczęła tworzyć się kałuża. Powiększała się i powiększała, a powietrze wypełnił zapach benzyny.
Tanner wyjął papierosa, zawahał się i wsunął go z powrotem do paczki. Słyszał bulgotanie wydobywające się z ogromnych zbiorników paliwa, których zawartość spływała właśnie na ziemię.
- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego... - odezwał się mężczyzna stojący obok Tannera. - Chodziłem do kina, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.
- Ja widziałem - odparł Tanner i w tym momencie z wraku wynurzył się drugi kierowca pomagając wysiąść człowiekowi, do którego zwracał się Greg.
- Z Gregiem w porządku - zawołał. - Uderzył tylko głową w tablicę rozdzielczą.
- Mógłbyś go zabrać, Czart - powiedział człowiek stojący obok Tannera. Może ci pomagać, jak poczuje się lepiej.
Tanner wzruszył ramionami, odwrócił się plecami do rozgrywającej się sceny i zapalił papierosa.
- Myślę, że nie powinieneś... - zaczął mężczyzna, ale Tanner dmuchnął mu w twarz kłębem dymu. Odwrócił głowę, aby widzieć dwóch zbliżających się mężczyzn i stwierdził, że Greg jest ciemnookim chłopakiem o brązowej cerze. Pewnie półkrwi Indianin. Miał gładką skórę, pominąwszy dwie blizny po ospie pod prawym okiem, wystające kości policzkowe i ciemne włosy. Był wzrostu Tannera, chociaż nie tak dobrze zbudowany. Miał na sobie kombinezon, i teraz, gdy wciągnął już w płuca kilka głębokich haustów powietrza, szedł wyprostowany, szybkim, pełnym gracji krokiem.
- Musimy pochować Mike'a - odezwał się niski mężczyzna, przystając przed Tannerem i drugim kierowcą.
- Nie lubię tracić czasu - odezwał się jego towarzysz - ale...
W tym momencie Tanner cisnął papierosa i padł na ziemię. Jarzący się niedopałek wylądował w kałuży wyciekającej ze zbiornika benzyny.
Nastąpiła eksplozja, buchnęły płomienie, potem powietrzem wstrząsnęła znowu seria wybuchów. Tanner słyszał wizg startujących ku wschodowi rakiet, znaczących swój tor ciemnymi bruzdami w upalnym powietrzu południa. Eksplodowała amunicja do pięćdziesiątek i rozerwały się granaty ręczne. Tanner zagrzebywał się coraz głębiej w piasku, zasłaniając rękoma głowę i zakrywając uszy.
Gdy tylko się uciszyło, porwał za karabin, ale tamci stali już nad nim. Podnosząc głowę, ujrzał wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Powoli podniósł ręce w górę i wstał.

– Dlaczego to zrobiłeś, do cholery? – spytał kierowca trzymający pistolet.
– Teraz nie musimy go już grzebać – wyjaśnił z uśmiechem Tanner. – Kremacja jest równie dobra, a poza tym już po wszystkim.
– Mogłeś nas wszystkich pozabijać, gdyby te działka i te wyrzutnie rakiet były skierowane w naszą stronę!
– Nie były. Widziałem.
– Odłamki mogły... Ach, rozumiem. Podnieś swój karabin, chłopie i trzymaj go lufą w dół. Wyjmij z niego wszystkie naboje i włóż je do kieszeni.
Tanner bez ociągania wykonywał wszystkie polecenia.
– Chciałeś się nas wszystkich pozbyć, tak? Potem mógłbyś się urwać i ruszyć własną drogą, tak jak już tego próbowałeś wczoraj. Nie mam racji?
– Pan to powiedział, Mister, nie ja.
– Mnie się wydaje, że mam rację. Gówno ciebie obchodzi, że cały Boston wykituje, no nie?
– Mój karabin już rozładowany – powiedział Tanner.
– No to wracaj do swego cholernego grata i ruszaj! Przez całą drogę będę jechał za tobą!
Tanner odwrócił się i poszedł w stronę swojego samochodu. Słyszał jak mężczyźni spierają się o coś za jego plecami, ale był pewien, że go nie zastrzelą. Gdy miał się już wspiąć do kabiny dostrzegł kątem oka cień i odwrócił się szybko.
Za nim stał człowiek imieniem Greg. Zjawił się tu cicho jak duch.
– Chcesz, żebym trochę poprowadził? – spytał Tannera bezbarwnym głosem.
– Nie, odpocznij. Trzymam się jeszcze nieźle. Może później, po południu, o ile będziesz się czuł na siłach.
Mężczyzna skinął głową i obszedł samochód dookoła. Wsiadł z drugiej strony i natychmiast rozłożył swój fotel.
Tanner zatrzasnął drzwiczki od swojej strony i zapuścił silnik. Usłyszał jak włącza się klimatyzator.
– Zechciałbyś go naładować i położyć z powrotem na półkę? – powiedział wręczając Gregowi karabin i amunicję. Tamten skinął potakująco głową. Tanner naciągnął rękawice i powiedział:
– W lodówce jest pełno napojów. Niewiele więcej.
Greg ponownie skinął głową. Po chwili usłyszeli jak rusza samochód numer trzy.
– No to odjazd – powiedział Tanner, wrzucił bieg i zdjął nogę ze sprzęgła.

VI

Po trzydziestu minutach jazdy, człowiek imieniem Greg odezwał się do Tannera:
– Czy to prawda, co mówił Marlowe?– spytał.
– Co za Marlowe?
– Ten, który prowadzi drugi wóz. Czy próbowałeś nas zabić? Naprawdę chciałeś nawiać?
Czart roześmiał się.
– Naprawdę – odparł.
– Dlaczego?
Czart zwlekał minutę z odpowiedzią.
– A dlaczego nie miałbym tego zrobić? – powiedział w końcu. – Niespieszno mi do umierania. Chciałbym jeszcze trochę pożyć, zanim wybiorę się na tamten świat.
– Jeśli nie dojedziemy, to wymrze połowa ludzi na kontynencie – powiedział Greg.
– Gdybym już miał wybierać oni czy ja, wolałbym raczej, żeby to byli oni.
– Zastanawiam się czasem skąd się biorą tacy ludzie jak ty.
– Stamtąd co i wszyscy, Mister. Najpierw jest chwila przyjemności dla dwojga ludzi, a potem zaczynają się kłopoty.
– Co oni ci w ogóle zrobili, Czart?
– Nic. A co oni w ogóle zrobili dla mnie? Nic. Nic. Co im jestem dłużny? To samo.
– A dlaczego skopałeś tam w garażu swojego brata?
– Bo nie chciałem, żeby pakował się w taki śmierdzący interes jak ten i nadstawiał karku. Połamane żebra sobie wykuruje. Śmierć to bardziej przewlekła dolegliwość.
– Nie o to pytałem. Chciałem wiedzieć, co cię obchodzi czy on zginie, czy nie?
– Obchodzi mnie, bo to dobry chłopak. Chyba jednak coś czuje do tej dzierlatki i nie potrafi trzeźwo myśleć.

To były motocykle.
Wjechały na drogę i ruszyły w pościg za znikającym w ciemnościach samochodem.
Mógł otworzyć ogień z broni maszynowej. Mógł zahamować i bluznąć płomieniem z miotacza ognia. Było oczywiste, że nie wiedzą na co się porywają. Mógł ich obrzucić granatami. Zwlekał jednak.
Wyobraził sobie, że jeszcze niedawno, na prowadzącym pościg motocyklu mógł siedzieć on sam. Wyciągnął niezdecydowanie rękę i dotknął klawiszy sterowania ogniem. Wahał się. Czuł się w jakimś stopniu zdrajcą.
Spróbował ich najpierw zgubić.
Silnik grzmiał, pracując na najwyższych obrotach, ale motocykle siedziały mu ciągle na ogonie.
Kiedy zaczęli strzelać, wiedział już, że musi odwzajemnić się im tym samym. Nie mógł pozwolić na to, aby przestrzelili mu zbiornik paliwa albo opony.
Pierwsze strzały miały charakter ostrzegawczy. Nie mógł dopuścić do następnej kanonady. Gdyby tylko wiedzieli...
Głośnik!
Włączył wzmacniacz, nacisnął klawisz.
– Słuchajcie, koty – powiedział – wiozę tylko lekarstwa dla chorych obywateli z Bostonu. Zostawcie mnie w spokoju, albo usłyszycie hałas.
Gdy tylko skończył rozpętała się strzelanina. Nie zwlekając dłużej, otworzył do tyłu ogień z pięćdziesiątek.
Widział jak się przewracają, ale strzelali dalej. Rzucił więc granaty.
Kanonada straciła na sile, nie ustała jednak całkowicie.
Zahamował gwałtownie i uruchomił miotacze ognia. Grzał z nich przez pełne piętnaście sekund.
Zapadła cisza.
Kiedy dymy rozwiały się, popatrzył na ekrany.
Drogę zaścielały przewrócone do góry kołami motocykle i dymiące trupy ludzi. Kilku siedziało na ziemi, celując z karabinów w samochód. Zastrzelił ich.
Niektóre ciała drgały jeszcze w konwulsjach i miał właśnie ruszyć w dalszą drogę, gdy dostrzegł podnoszącą się postać. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i znowu upadła.
Ręka Tannera zawahała się na drążku zmiany biegów.
To była dziewczyna.
Rozważał sprawę kilka sekund, po czym zeskoczył z kabiny na ziemię i pobiegł w jej stronę.
Jeden z mężczyzn uniósł się na łokciu i sięgnął po leżący obok karabin.
Tanner strzelił do niego dwa razy i biegł dalej, ściskając w dłoni rewolwer.
Przeskakiwał przez kałuże krwi i wijące się w męczarniach ciała upieczonych żywcem ludzi. W świetle wstecznych reflektorów samochodu ich skóra była czarna. W powietrzu unosiły się jęki i smród spalonego mięsa. Dziewczyna czołgała się w kierunku mężczyzny o twarzy rozszarpanej pociskiem.
Dopadł do niej i zatrzymał się. Posłała mu kilka cichych przekleństw.
Nie zauważył, żeby krwawiła.
Gdy dźwigał dziewczynę z ziemi, jej oczy zaszły łzami.
Inni nie żyli już albo umierali. Wziął ją na ręce, zaniósł do samochodu i położył na fotelu pasażerskim, odchylając oparcie do tyłu. Broń rzucił na tylne siedzenie, aby nie mogła jej dosięgnąć.
Zajął miejsce za kierownicą, zapuścił silnik i ruszył. Na wstecznym ekranie dostrzegł, że dwie postacie usiłują jeszcze wstać i padają z powrotem na ziemię.
Była wysoką dziewczyną o długich, potarganych włosach koloru kurzu. Miała silnie zarysowany podbródek, szerokie usta i ciemne kręgi pod oczami. Czoło przecinała jej pojedyncza, ledwo widoczna zmarszczka. Prawa strona twarzy była silnie zarumieniona, jak gdyby opalona na słońcu, a prawa nogawka spodni rozdarta i brudna. Domyślił się, że spadła ze swego motocykla, liźnięta płomieniem z miotacza.
– Nic ci się nie stało? – spytał, gdy jej szloch przeszedł w wilgotne pociąganie nosem.
– Co to cię obchodzi? – powiedziała ze złością, podnosząc rękę do policzka.
Tanner wzruszył ramionami.
– Pytam z życzliwości.
– Pozabijałeś większość ludzi z mojego gangu.
– A co oni mieli zamiar ze mną zrobić?
– Rozdeptaliby ciebie, Mister, gdyby nie ten twój piekielny samochód.
– Tak naprawdę to on nie jest mój – odparł. – Należy do Państwa Kalifornijskiego.
– Przecież nie przyjechał tu z Kalifornii.

– Co za śmieciem mi płacisz?
– Jakim śmieciem?
Mężczyzna pomachał dolarem Tannera. Czart podszedł bliżej i przyjrzał się banknotowi.
– Nie widzę tu nic złego. Co ci się w nim nie podoba?
– To nie są pieniądze!
– Chcesz przez to powiedzieć, że moje pieniądze nie są dobre?
– No przecież mówię. Nigdy nie widziałem takiego banknotu!
– To przyjrzyj mu się dobrze. Widzisz nadruk u samego dołu?
W sali zapadła cisza. Od stolika podniósł się jakiś mężczyzna i podchodząc do barmana, wyciągnął rękę.
– Daj, zobaczę, Bill – powiedział.
Barman podał mu banknot i oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdumienia.
– Został wypuszczony przez Bank Państwa Kalifornijskiego!
– Tak, właśnie stamtąd jestem – odezwał się Tanner.
– Przykro mi, ale tu jest nieważny – powiedział barman.
– To najlepszy jaki mam.
– Nikt go tutaj nie przyjmie. Masz przy sobie jakieś bostońskie pieniądze?
– Nigdy nie byłem w Bostonie.
– No to skąd, u diabła, się tu wziąłeś?
– Przyjechałem.
– Nie rób ze mnie wariata, synu. Skąd go ukradłeś?
– Bierzesz moje pieniądze, czy nie? – Tanner stracił panowanie nad sobą.
– Ani myślę – odparł barman.
– No to się wypchaj – rzucił Tanner i odwracając się plecami do barmana ruszył w kierunku drzwi.
Jak zawsze w takich sytuacjach był czujny na wszystko co dzieje się z tyłu, za nim. Kiedy usłyszał szybkie kroki, odwrócił się i stanął twarz w twarz z mężczyzną, który sprawdzał przed chwilą banknot.
Ręka Tannera zacisnęła chwyt na skórzanej kurtce, którą trzymał przerzuconą przez prawe ramię. Zamachnął się i z całej siły uderzył mężczyznę kurtką w wierzch głowy. Tamten upadł. Po sali rozszedł się nie wróżący nic dobrego pomruk. Kilku ludzi zerwało się z miejsc i ruszyło w stronę Tannera.
Czart wyrwał zza pasa rewolwer.
– Przepraszam panów – wycedził przez zęby, kierując na nich jego lufę. Zatrzymali się.
– Nie uwierzycie mi pewnie, kiedy wam powiem, że w Bostonie panuje epidemia – ciągnął – ale to prawda. A może mi uwierzycie? Nie wiem, ale nie przypuszczam, żeby któryś z was uwierzył w to, że przyjechałem tu z Państwa Kalifornijskiego samochodem pełnym antyserum Haffikiny, chociaż to również prawda. Wyślijcie ten banknot do jakiegoś dużego banku w Bostonie, to go wam wymienią. Zresztą sami to wiecie. Teraz muszę już iść i niech nikt nie próbuje mnie zatrzymywać. Jeśli dalej uważacie, że wpuszczam was w maliny, to zobaczcie czym będę odjeżdżał. Tyle miałem do powiedzenia.
Wycofał się przez drzwi i wspinając się do kabiny trzymał je ciągle na muszce. Znalazłszy się w środku, zapuścił silnik, zawrócił i odjechał na pełnym gazie.
Na wstecznym ekranie widział odprowadzającą go wzrokiem grupkę mężczyzn, którzy wylegli na chodnik przed barem.
Roześmiał się. Nad głową wisiał mu martwy księżyc koloru krwistej jabłoni.

XIV

Z Albany do Bostonu. Pareset mil. Pokonał już najgorszy odcinek trasy. Niebezpieczeństwa Alei Potępienia pozostały w większości daleko w tyle. Gwiazdy były chyba jaśniejsze niż zwykle. Dojedziesz, zdawała się mówić noc.
Pędził wśród wzgórz. Droga była niezła. Wiła się między drzewami i wysokimi trawami. Dostrzegł nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę i przełączył reflektory na światła mijania. Uczyniła to samo.
Gdy dojechał do skrzyżowania, musiało być już koło północy. Nagle, po obu stronach drogi rozbłysły dziesiątki skrytych do tej pory w mroku reflektorów, oblewając samochód powodzią oślepiającego światła.
Tanner docisnął do oporu pedał gazu. Pędząc teraz na złamanie karku, słyszał jak za nim ożywa silnik po silniku. Rozpoznał ten dźwięk.

– Dalej nie rozumiem, po co się w to wtrąciłeś?
– Mówiłem już. Jest moim bratem i dobry z niego chłopak. Lubię go.
– Jak to możliwe?
– Ech, do diabła! Dużo razem przeszliśmy i basta! O co ci chodzi? Bawisz się w psychoanalityka?
– Chciałem tylko wiedzieć, nic więcej.
– No to teraz wiesz. Jak już chcesz gadać, to mówmy o czym innym, w porządku?
– Okay. Kiedyś już tędy jechałeś, tak?
– Tak, jechałem.
– A byłeś jeszcze dalej na wschód?
– Przejechałem całą trasę, aż do Missus Hip.
– Znasz miejsce, w którym można by się przez nią przeprawić na drugą stronę?
– Chyba tak. Most w Saint Louis ciągle stoi.
– To dlaczego nie przejechałeś przez niego jak już tam byłeś?
– Nie wygłupiaj się. Jest zakorkowany samochodami pełnymi kościotrupów. Szkoda było fatygi, żeby go oczyścić.
– A po co w ogóle pojechałeś tak daleko?
– Żeby zobaczyć jak tam jest. Nasłuchałem się tych wszystkich opowiadań...
– No i jak tam było?
– Jeden wielki burdel. Wypalone śródmieścia, wielkie kratery, oszalałe zwierzęta, trochę ludzi...
– Ludzi? To ludzie jeszcze tam żyją?
– Jeśli można ich nazwać ludźmi. Są zdziczali i zamknięci w sobie. Ubierają się w jakieś łachmany albo w skóry zwierząt, albo chodzą nago. Rzucali we mnie kamieniami, dopóki dwóch nie zastrzeliłem. Potem zostawili mnie w spokoju.
– Dawno to było?
– Sześć, może siedem lat temu. Byłem wtedy prawie dzieciakiem.
– Jak to się stało, że nigdy nikomu o tym nie opowiadałeś?
– Opowiadałem. Paru kumplom. Nikt inny nawet mnie nie zapytał. Zamierzaliśmy wybrać się tam, porwać parę dziewczyn i przywieźć je z powrotem, ale wszyscy skrewili.
– A co byście z nimi zrobili?
Tanner wzruszył ramionami.
– Licho wie. Chyba byśmy je sprzedali.
– Tak, wiem. Trudniliście się tym na Barbary Coast – znaczy się, sprzedawaliście ludzi, prawda?
Tanner ponownie wzruszył ramionami.
– Owszem – odparł. – Przed Wielką Obławą.
– A jak ci się udało ujść z niej z życiem? Myślałem, że oczyścili cały rejon.
– Siedziałem – odparł Tanner. – „N.B.R."
– Co to znaczy?
– Napad z Bronią w Reku.
– A co robiłeś, kiedy cię wypuścili?
– Dałem się zresocjalizować. Dostałem robotę przy przewożeniu poczty.
– A tak, słyszałem o tym. Nie wiedziałem tylko, że to byłeś ty. Nieźle się zapowiadałeś. Pracowałeś dobrze i awans miałeś już w kieszeni. Potem skopałeś swojego szefa i wylali cię z pracy. Jak do tego doszło?
– Czepiał się ciągle mojej przeszłości i mojej starej bandy z Barbary Coast. Pewnego dnia powiedziałem mu wreszcie, żeby się odczepił, a on roześmiał mi się w twarz. No to mu przyłożyłem łańcuchem. Jak upadł, wybiłem mu kopniakiem przednie zęby. Zrobiłbym to jeszcze raz.
– To niedobrze.
– Byłem najlepszym kierowcą, jakiego miał. To była jego strata. Nikt oprócz mnie nie dojedzie do Albuquerque. Nawet dzisiaj. Nie dojedzie, o ile nie będzie na gwałt potrzebował forsy.
– Chyba lubiłeś swoją pracę, skoro ją wykonywałeś?
– Tak. Lubię prowadzić.
– Powinieneś poprosić o przeniesienie, kiedy ten facet zaczął ci wiercić dziurę w brzuchu.
– Wiem. Jeśliby się to zdarzyło dzisiaj, to tak bym prawdopodobnie zrobił. Wściekłem się. Wściekałem się wtedy dużo szybciej niż teraz. Teraz jestem chyba dużo cwańszy niż wtedy.
– Gdyby udało ci się teraz dojechać i jeśli wróciłbyś potem do domu, to mógłbyś dostać z powrotem tę pracę. Wziąłbyś ją?

– Po pierwsze – odparł Tanner – nie wierzę, że dojedziemy, po drugie, jeśli nam się to nawet uda i w tym mieście będą jeszcze ludzie, to raczej zostanę tam niż wrócę.
Greg pokiwał głową.
– Sprytnie. Byłbyś tam bohaterem. Nikt nie znałby twojej przeszłości. Ktoś mógłby cię sprowadzić na dobrą drogę.
– Do diabła z bohaterami – powiedział Tanner.
– Co do mnie, to wracam, jeśli dojedziemy.
– Pożeglujesz wokół przylądka Horn?
– Tak.
– To może być zabawne. A po co wracasz?
– Mam starą matkę i kupę braci i sióstr na utrzymaniu. Zostawiłem tam też dziewczynę.
Tanner rozjaśnił ekran, bo niebo zaczynało ciemnieć.
– Jaka jest twoja matka?
– Ładna jak lady. Wychowywała nas ośmioro. Cierpi teraz na artretyzm.
– A jaka była, kiedy byłeś dzieciakiem?
– W dzień pracowała, ale gotowała nam posiłki i czasem dała po cukierku. Uszyła nam dużo ubrań. Opowiadała nam jak było przed wojną. Grała z nami w różne gry i czasem kupowała nam zabawki.
– A co z twoim starym?
– Nieźle sobie popijał, często zmieniał prace, ale nigdy za bardzo nas nie bił. Był w porządku. Przejechał go samochód, gdy miałem dwanaście lat.
– I teraz ty utrzymujesz wszystkich?
– Tak. Jestem najstarszy.
– A gdzie pracujesz?
– Przyszedłem na twoje miejsce. Wożę pocztę do Albuquerque.
– Żartujesz.
– Nie.
– Niech mnie cholera! Kierownikiem jest stale Gorman?
– Poszedł na rentę w zeszłym roku. Niezdolność do pracy.
– A jak jeździłeś do Albuquerque, to byłeś kiedyś w barze, który nazywa się „U Pedra"?
– Byłem.
– Mają tam jeszcze taką blondyneczkę, która gra na pianinie? Nazywa się Margaret?
– Nie.
– O...
– Mają tam teraz jednego faceta. Taki grubas. Nosi wielki pierścień, na palcu lewej ręki.
Tanner pokiwał głową i zmienił bieg. Pięli się teraz pod strome wzniesienie.
– Jak z twoją głową? – spytał Grega, gdy dotarli do szczytu i zaczęli zjeżdżać w dół przeciwległym zboczem.
– Nieźle. Wezmę dwie twoje aspiryny.
– Czujesz się na siłach, żeby za chwilę poprowadzić?
– Jasne, mogę prowadzić.
– No to dobrze. – Tanner nacisnął klakson i zahamował. – Jedź jakieś sto mil według kompasu, a potem mnie obudź. Zgoda?
– Dobrze. Mam na coś szczególnie uważać?
– Na węże. Parę już pewnie widziałeś. Nie najedź na nie, żeby nie wiem co.
– W porządku.
Zamienili się miejscami i Tanner rozkładając swój fotel zapalił papierosa. Wypalił tylko połowę, zgniótł niedopałek o podłogę i zapadł w sen.

VII

Gdy Greg obudził go, była już noc. Tanner zakaszlał, popił odrobinę lodowatej wody i przeczołgał się do latryny. Po wyjściu z niej, zajął miejsce w fotelu kierowcy, sprawdził licznik przebytych mil i spojrzał na kompas. Skorygował kurs.
– Jak dobrze pójdzie, to przed świtem będziemy w Salt Lake City – zawyrokował. – Nie wpakowałeś się w jakieś kłopoty?
– Nie. Poszło gładko. Widziałem parę węży, ale ominąłem je z daleka. To wszystko.
Tanner chrząknął i wrzucił bieg.
– Jak się nazywał ten facet, który przyniósł wiadomość o epidemii?

– Jak długo? – spytał Tanner.
– Może kilka dni, może kilka tygodni. Zostawiłem trochę lekarstw i pouczyłem Sama jak ma się nim opiekować. Sam mówił mi, że w Bostonie szaleje epidemia i musi się pan spieszyć. Radzę panu, aby jechał pan dalej bez niego. Niech go pan zostawi u Potterów. Będzie tu miał dobrą opiekę. Może potem pojechać z nimi na jarmark wiosenny do Albamy i zabrać się stamtąd do Bostonu jakąś ciężarówką dostawczą. Myśle że wydobrzeje.
Tanner zastanawiał się przez chwilę, w końcu skinął głową.
– Okay – powiedział. – Jeśli już tak musi być.
– Ja tylko dobrze radzę – zastrzegł się doktor.
Pili wolno kawę.

XIII

No, to chyba będę jechał – powiedział Tanner obejrzawszy wyciągnięty z błota samochód i kiwnął głową w stronę Potterów. – Dzięki.
Otworzył kabinę, wspiął się do niej i zapuścił silnik. Wrzucił bieg, zatrąbił dwa razy i ruszył.
Na ekranie widział trzech mężczyzn, machających rękoma na pożegnanie. Przycisnął mocniej pedał gazu i po chwili zniknęli mu z oczu.
Droga była równa i prosta, jechał więc szybko. Niebo miało kolor łososiowo-różowy. Ziemia była brązowa, porośnięta kępami zielonej trawy. Jasne słońce łowiło dzień w srebrną sieć.
Ta część kraju wyglądała na niemal nietkniętą przez kataklizm, który stworzył Aleję. Tanner prowadząc słuchał muzyki. Po drodze minął dwie ciężarówki, trąbiąc za każdym razem. Jedna z nich odpowiedziała mu swoim klaksonem.
Prowadził cały dzień i kiedy wjeżdżał do Albany, była już głucha noc. Na ulicach panowały egipskie ciemności. Światła paliły się tylko w kilku oknach. Zwolnił ujrzawszy czerwony, mrugający neon „BAR GRILL", zaparkował wóz i wszedł do środka.
Sala była mała, skąpo oświetlona, a podłogę pokrywała warstwa trocin. Z szafy grającej wydobywały się głośne tony jakiejś melodii. Takiej muzyki nigdy dotąd nie słyszał.
Zajął miejsce przy barze, wpychając Magnuma głęboko za pas, aby nie było go widać, po czym zdjął kurtkę i rzucił ją na sąsiedni stołek.
– Daj mi setkę, piwo i kanapkę z szynką – powiedział do podchodzącego mężczyzny, ubranego w biały fartuch.
Tamten skinął łysą głową, postawił przed Tannerem stugramowy kieliszek i napełnił go.
Potem napompował uwieńczony czapą białej piany kufel piwa i kichnął przez prawe ramię.
Tanner wychylił jednym haustem kieliszek wódki i pociągał małymi łyczkami piwo. Po chwili na parapecie okienka, widniejącego w ścianie naprzeciw kontuaru, pojawił się talerzyk z kanapką. Barman przechodząc wziął go stamtąd i postawił przed Tannerem, napisał coś na zielonej karteczce i wsunął ją pod talerzyk.
Tanner wbił zęby w kanapkę, odgryzł spory kęs i spłukał go do żołądka łykiem piwa. Obserwując otaczających go ludzi stwierdził, że zachowują się tak samo głośno, jak klientela każdego innego baru, a zwiedził ich już sporo. Starszy człowiek siedzący po jego lewej ręce wydał mu się sympatyczny, spytał go więc:
– Są jakieś wieści z Bostonu?
– Nic zupełnie nie wiadomo. – Broda mężczyzny trzęsła się, gdy robił przerwy między poszczególnymi słowami, ale nie wyglądało, aby się tym przejmował. – Tylko patrzeć jak pod koniec tygodnia kupcy zaczną zamykać swoje sklepy.
– Jaki dzisiaj dzień?
– Wtorek.
Tanner skończył kanapkę i dopijając resztę piwa palił papierosa.
Potem spojrzał na rachunek. Było na nim napisane „0,85".
Położył na rachunku banknot dolarowy, odwrócił się i skierował w stronę wyjścia.
Zdążył zrobić dwa kroki, gdy barman zawołał za nim:
– Chwileczkę, Mister!
Tanner obejrzał się.
– Tak?
– Co chcesz mi tu wcisnąć?
– O co chodzi?

Tanner poprawił się na krześle i wziął do ręki ostatnią kromkę chleba. Skinieniem głowy podziękował Suzan, która dolała mu kawy.

– Mam na imię Jerry – powiedział chłopiec, sadowiąc się na krześle opuszczonym przez chwilę przez ojca. – Czy naprawdę nazywasz się Czart?

– Przestań! – zgromiła go matka.

– Niestety tak – odparł Tanner.

– ... I przejechałeś przez całe Stany Zjednoczone? Przez Aleję?

– Aż dotąd.

– Jak tam było?

– Tak sobie.

– A co widziałeś?

– Wielkie jak ta kuchnia nietoperze – po tamtej stronie Missus Hip – niektóre nawet większe. Dużo ich było w Saint Louis.

– I co z nimi zrobiłeś?

– Strzelałem do nich, paliłem je, rozjeżdżałem...

– Co jeszcze widziałeś?

– Potwory Gila. Ogromne jaszczury, jak w technikolorze – wielkości stodoły. Pyłowe Diabły – wielkie wirujące wiatry, które wessały nam jeden samochód. Góry o ognistych wierzchołkach. Zarośla o wielkich kolcach, które musiałem spalić. Jechałem przez parę burz, jechałem przez okolice, gdzie ziemia była jak szkło, jechałem przez tereny, gdzie ziemia drżała, okrążałem ogromne kratery, wszystkie radioaktywne...

– Żebym to ja mógł tak kiedyś pojechać.

– Może kiedyś pojedziesz.

Tanner skończył jeść, zapalił papierosa i popijał małymi łyczkami kawę.

– Bardzo dobre śniadanie – pochwalił. – Dawno takiego nie jadłem. Dzięki.

Suzan uśmiechnęła się.

– Jerry, daj panu spokój – powiedziała do syna.

– Niech się pani nie przejmuje. Nie przeszkadza mi.

– Co za pierścień masz na palcu? – spytał Jerry. – Wygląda jak wąż.

– Bo to wąż – odparł Tanner. – Czyste srebro ze szklanymi oczkami. Dostałem go w miejscowości zwanej Tijuana. Masz. Weź go.

– Nie mogę go przyjąć – powiedział chłopiec, spoglądając prosząco na matkę. Potrząsnęła głową. Dostrzegając to, Tanner powiedział:

– Twoja rodzina zadała sobie wiele trudu, żeby mi pomóc i sprowadzić doktora do mojego kolegi, żeby mnie nakarmić i przenocować. Jestem pewien, że nie obrażą się, jeśli wyrażę im swoją wdzięczność, dając ci ten pierścień. – Jerry obejrzał się na matkę, a Tanner skinął w jej stronę głową. Uczyniła to samo.

Jerry gwizdnął, podskoczył i wsunął sobie pierścień na palec.

– Za duży – powiedział z rozczarowaniem.

– Daj, zmniejszę go trochę. Ta spirala będzie pasowała na każdy palec, jeśli się ją trochę ściśnie.

Zgniótł pierścień i oddał go chłopcu do przymiarki. Był ciągle za duży, ścisnął go więc jeszcze mocniej – wtedy już pasował.

Jerry wsunął pierścień na palec i chciał wybiec z izby.

– Zaczekaj! – zawołała za nim matka. – Co się mówi?

Chłopiec odwrócił się i powiedział.

– Dziękuję ci, Czart.

– Mister Tanner – poprawiła go matka.

– Mister Tanner – powtórzył chłopiec i wybiegł trzaskając drzwiami.

– To ładnie z pana strony – zwróciła się Suzan do Tannera.

Wzruszył ramionami.

– Podobał mu się przecież – powiedział. – Cieszę się, że mogłem mu sprawić radość.

Dopił kawę, skończył papierosa i Suzan dała mu jeszcze jedną filiżankę. Zapalił następnego papierosa. Po chwili z drugiej izby wyszli Sam z doktorem i Tanner zaczął się zastanawiać, gdzie cała rodzina spała wczorajszej nocy. Mężczyźni usiedli przy stole, a Suzan nalała im kawy.

– Pański przyjaciel odzyskał przytomność – odezwał się doktor. – Nie mogę jednak na pewno stwierdzić, na ile poważny jest jego stan. Potrzebne będzie prześwietlenie, a tutaj jest to niemożliwe. Nie radziłbym jednak go ruszać.

– Brady, czy Brody – cos w tym rodzaju – odparł Greg.

– Na co umarł? Mógł przecież przywlec zarazę do L.A.

Greg potrząsnął głową.

– Nie. Jego samochód został uszkodzony, a on sam był cały pogruchotany i przez dużą część drogi wystawiony na działanie promieniowania. Spalili jego ciało i samochód, a każdy kto się z nim stykał, dostał zastrzyk Haffikiny.

– Co to takiego?

– Właśnie ją wieziemy. Antyserum Haffikina. To jedyny preparat, który może zapobiec rozszerzaniu się epidemii. Kiedy przed dwudziestu laty grasowała na naszym terenie, mieliśmy Haffikinę pod ręką i zachowaliśmy środki, aby szybko wyprodukować jej więcej. Boston o to nie zadbał i teraz cierpią.

– To mi wygląda na coś w rodzaju głupoty ze strony jednego z dwóch państw istniejących jeszcze na tym kontynencie, a może i na całym świecie. Żeby nie zadbać o siebie wiedząc, że my to mamy.

Greg wzruszył ramionami.

– Chyba masz rację, ale stało się. Robili ci przed zwolnieniem jakieś zastrzyki?

– Tak.

– A więc to było właśnie to.

– Zastanawiam się, w którym miejscu ich kierowca przeprawił się przez Missus Hip? Nie powiedział tego, co?

– W ogóle mało co mówił. Większość tej historii wyczytali z listu, który miał przy sobie.

– To musiał być po byku kierowca, jeśli przejechał Aleją.

– Tak. Nikt tego chyba przedtem nie dokonał, co?

– Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Chciałbym poznać tego gościa.

– Ja też.

– Dobrze, że nie mamy łączności radiowej przez cały kraj, jak to było dawniej.

– Dlaczego?

– Wtedy nie musiałby jechać, a my moglibyśmy badać całą trasę, żeby stwiedzić, czy w ogóle da się nią przejechać. Wszyscy mogliby tam przez ten czas powymierać.

– Masz orzech do zgryzienia, Mister. Za dzień, czy coś koło tego, znajdziemy się w punkcie, z którego trudniej będzie wrócić niż jechać dalej.

Tanner wyregulował ekran, po którym przesuwały się jakieś ciemne kształty.

– Popatrz na to!

– Nic nie widzę.

– Załóż noktowizory.

Greg nasunął na oczy gogle noktowizyjne i utkwił wzrok w ekranie.

Nietoperze. W powietrzu szybowały olbrzymie nietoperze, przelatując nad samochodem czarnymi chmurami.

– Muszą być ich setki, może tysiące...

– Chyba tak. Zdaje się, że jest więcej niż kilka lat temu, kiedy tędy jechałem. Muszą się wylęgać w Carlsbad.

– W L.A. nigdy ich nie widzimy. Może są nieszkodliwe?

– Kiedy ostatni raz byłem w Salt Lake, słyszałem gadki, że wiele z nich jest wściekłych. Ktoś musi się tym wreszcie zająć – one, albo my.

– Jesteś równy facet. Dobrze się z tobą jedzie, wiesz?

Tanner zachichotał i zapalił papierosa.

– Może zrobiłbyś nam jakiejś kawy? – powiedział. – A co do nietoperzy, to są to bydlaki, których mogą się bać nasze dzieci, jeśli jakieś mamy.

Greg napełnił ekspres do kawy i wsunął wtyczkę w tablicę rozdzielczą. Po chwili ekspres zaczął dudnić i syczeć.

– A to co, u diabła? – zdziwił się Tanner i gwałtownie zahamował. Drugi samochód zatrzymał się o sto jardów za nimi. Tanner podniósł mikrofon i powiedział:

– Wóz numer trzy! Co to według ciebie jest? – Czekał.

Obserwował je: niebotyczne, stożkowate bąki, wirujące między niebem, a ziemią, chyboczące się na boki, przesuwające tam i z powrotem w odległości mili przed nimi. Było ich czternaście albo pietnaście. To stały prosto i nieruchomo jak filary, to znów tańczyły jakiegoś diabelskiego walca. Wwiercały się w ziemię i zasysały w siebie żółty pył. Otaczała je leciutka mgiełka. Ponad i poza nimi gwiazdy były przyćmione albo nie było ich wcale.

Greg szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ekran.
- Słyszałem o trąbach powietrznych, o tornadach - wielkich wirach powietrza. Nigdy ich nie widziałem, ale tak właśnie mi je opisywano.
Radio zatrzeszczało i przemówiło przytłumionym głosem człowieka nazwiskiem Marlowe:
- Gigantyczne, pyłowe diabły. Wielkie obrotowe burze piaskowe. Myślę, że wszystko co napotykają po drodze, wsysają do pasa śmierci, bo nie widzę, żeby coś opadało z powrotem na dół.
- Widziałeś kiedy coś podobnego?
- Ja nie, ale mój pomocnik mówi, że widział. Mówi, że lepiej będzie wysunąć słupy kotwiczne i zostać tu na miejscu.
Tanner nie odpowiedział od razu. Patrzył na tornada, które zdawały się powiększać.
- Przejdą tędy - stwierdził w końcu. - Nie jestem za tym, żeby się tu zatrzymać i czekać, aż mnie porwą. Chcę zachować zdolność manewru. Jadę przez nie.
- Nie radzę ci.
- Nikt ciebie nie pyta, Mister, a jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to zrobisz to samo.
- Moje rakiety są wycelowane w tył twojego wozu, Czart.
- I tak ich nie odpalisz - nie za takie coś. Przecież to ja mogę mieć rację, nie ty. A poza tym jest tu jeszcze Greg.
Zapadła chwila milczenia, mącona zakłóceniami elektrostatycznymi.
- Okay, wygrałeś Czart - odezwał się wreszcie Marlowe. - Jedź, a my popatrzymy. Jak ci się uda, ruszymy za tobą, a jak nie, zostaniemy tu, gdzie stoimy.
- Wystrzelę flarę, gdy przedostanę się na drugą stronę - powiedział Tanner. - Gdy ją zobaczycie, zróbcie to samo, okay?
Przerwał połączenie i spojrzał przed siebie, oceniając wzrokiem ogromne, czarne, rozdęte u wierzchołków kolumny. Z burzy, którą podtrzymywały, spłynęło kilka świetlnych rozbłysków, ale przestrzeń pomiędzy ciemnymi, obracającymi się w zawrotnym tempie pniami była ciągle zasnuta mgiełką.
- Idą na nas - powiedział Tanner, przełączając reflektory na największą możliwą jasność. - Zapnij pasy, chłopcze.
Greg usłuchał go. Pojazd z chrzęstem ruszył naprzód.
Tanner zapiął swój pas bezpieczeństwa i prowadził wóz powoli w kierunku czarnych słupów. W miarę jak się do nich zbliżali, filary chwiejąc się rosły w oczach. Było teraz słychać agresywny śpiewny dźwięk - pieśń wichrowego chóru.
Minął pierwszy w odległości trzydziestu jardów i skręcił w lewo, aby zejść z drogi temu, który tkwił naprzeciw i bezustannie pęczniał. Kiedy go wyminął, natknął się na następny i skręcił jeszcze bardziej w lewo. Przed sobą dostrzegł ćwierćmilowy pas wolnej przestrzeni biegnący nieco w prawo. Dodał gazu i pojechał szybciej, przemykając po drodze między dwoma wieżami wznoszącymi się ku niebu niczym ebonitowe filary. Gdy je mijał, o mało nie wyrwało mu kierownicy z rąk. Miał wrażenie, że znalazł się w centrum trwającego wiecznie uderzenia gromu. Skręcił w prawo i przyspieszając jeszcze bardziej, ominął następną kolumnę.
Gdy to uczynił, ujrzał przed sobą siedem kolejnych. Przemknął na pełnym gazie między dwiema i objechał trzecią. Wtedy kolumna, która została za nim, ruszyła gwałtownie z miejsca, uniemożliwiając mu skręt w prawo. Westchnął ciężko i skręcił w lewo.
Otaczały go ostatnie cztery kolumny. Zahamował gwałtownie. Szarpnięcie było tak silne, że pasy bezpieczeństwa werżnęły mu się w ramiona. Dwa z wirów powietrznych zadrżały i ze straszliwymi przyspieszeniami ruszyły nagle do przodu. Jeden, przechodząc przed maską, uniósł przód samochodu w górę.
Tanner wcisnął do dechy pedał gazu i przemknął między dwoma ostatnimi. To był koniec. Wszystkie czarne diabły zostały za nim.
- Przejechał jeszcze ćwierć mili, potem zawrócił, wjechał na małe wzniesienie i stanął.
Wystrzelił flarę.
Wisiała przez jakieś pół minuty w powietrzu, niczym gasnąca gwiazda.
Zapalił papierosa i wytężając wzrok patrzył w kierunku, z którego przed chwilą nadjechał. Czekał.
Skończył papierosa.
- Nic - powiedział. - Może jej nie dostrzegli poprzez tę burzę. Albo to my nie zauważyliśmy ich sygnału.
- Żeby tak było - odezwał się Greg.
- Jak długo chcesz czekać?
- Napijmy się kawy.

- Jak tylko się wykąpiesz, mamusia przygotuje ci coś do zjedzenia. Cal i ja idziemy teraz wyciągnąć twojego grata z błota. Tatuś powie ci przy śniadaniu jak jechać dalej.
- Dzięki.
- Dobrego ranka.
- Nawzajem.
Wyszli zamykając za sobą drzwi.
Tanner wstał i podszedł do lustra.
- Tylko ten jeden raz - mruknął przeglądając się.
Obmył twarz, przystrzygł brodę i podciął sobie włosy.
W końcu, zgrzytając zębami, wszedł do wanny, namydlił całe ciało i zaczął się szorować. Pod mydlinami woda robiła się coraz bardziej szara i pienista. Wstał z pluskiem, wytarł się do sucha ręcznikiem i wdział ubranie.
Było nakrochmalone, szeleściło cichutko przy wkładaniu i zalatywało lekko środkiem odkażającym. Tanner uśmiechnął się do swego ciemnookiego odbicia w lustrze i zapalił papierosa. Potem przyczesał włosy i znowu spojrzał w lustro nie poznając siebie samego. Przyglądał się nieznajomemu krytycznym wzrokiem.
- Cholera! Jestem piękny! - zachichotał, po czym podszedł do drzwi, otworzył je i wkroczył do kuchni.
Sam siedział przy stole i popijał z filiżanki kawę, a jego żona niska, tęga, ubrana w szarą, długą spódnicę, była odwrócona plecami i pochylała się nad piecem. Obejrzała się i wtedy zobaczył, że ma dobroduszną twarz o pucołowatych, czerwonych policzkach z dołeczkami i niewielką białą bliznę pośrodku czoła. Brązowe włosy, poprzetykane siwymi pasmami, upięte były z tyłu głowy w węzeł.
- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem i skinęła głową.
- Dzień dobry - przywitał ją Tanner. - Przepraszam, ale zostawiłem trochę bałaganu w moim pokoju.
- Nic nie szkodzi - odezwał się Sam. - Usiądź sobie. Za chwilę podamy ci śniadanie. Chłopcy mówili ci o twoim przyjacielu?
Tanner skinął głową.
- Żona ma na imię Suzan - powiedział Sam, gdy kobieta stawiała przed Tannerem filiżankę gorącej kawy.
- Miło mi - powiedział Tanner.
- Halo.
- No więc, mam tutaj twoją mapę. Zobaczyłem, że wystaje ci z kurtki. Tam obok drzwi wisi też twój rewolwer. Zastanawiałem się trochę i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie jak najpierw pojedziesz do Albany, a stamtąd dalej - starą Trasą Numer 9, która jest w zupełnie niezłym stanie. - Rozpostarł mapę i wodził po niej palcem. - Chciałem cię jednak ostrzec, że nie będzie to taka znowu wycieczka, ale to chyba najpewniejsza i najszybsza droga...
- Śniadanie - powiedziała żona Sama, odsuwając na bok mapę i stawiając przed Tannerem talerz pełen jajecznicy na bekonie i parówek, a obok drugi z czterema kromkami chleba. Na stole zjawiła się wkrótce marmolada, dżem, galaretka i masło. Tanner zabrał się do jedzenia i popijając kawą wypełniał pustkę panującą w jego żołądku, a Sam tymczasem mówił.
Opowiadał o gangach, które grasują między Bostonem a Albany na motocyklach i rabują wszystko co się da. Z tej przyczyny większość transportów szła pod konwojem uzbrojonej straży.
- Ale w tym swoim gracie nie musisz się nimi przejmować, co? - zapytał Sam.
- Miejmy nadzieję - odparł Tanner i jadł łapczywie dalej.
Zastanawiał się, czy te gangi to coś w rodzaju jego starej bandy. Dla ich i swojego dobra wolał, aby tak nie było.
Podnosząc do ust filiżankę, usłyszał dochodzące z zewnątrz głosy.
Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do kuchni wpadł chłopiec. Tanner ocenił go na jakieś dziesięć do dwunastu lat. Za nim wszedł starszy mężczyzna, z tradycyjną, czarną torbą.
- Jesteśmy! Jesteśmy! - wołał chłopiec. Sam wstał i podał przybyłemu rękę. Tanner pomyślał sobie, że wypadałoby zrobić to samo. Otarł usta i ściskając dłoń mężczyzny powiedział:
- Mój kolega dostał jakiegoś ataku szału. Rzucił się na mnie i musiałem z nim walczyć. Odepchnąłem go i walnął głową o tablicę rozdzielczą.
Doktor skinął głową. Był to ciemnowłosy mężczyzna dobijający już pięćdziesiątki. Z pooranej zmarszczkami twarzy wyzierały znużone oczy.
- Zaprowadzę cię do niego - zwrócił się do doktora Sam i powiódł go do drzwi w głębi kuchni.

Tak rozmawiając, dotarli na wyżej położone, suchsze tereny.
– Chcesz przez to powiedzieć, że droga dalej będzie łatwa?
– No nie. Ale pokażę ci wszystko na mapie i powiem czego się masz wystrzegać.
– Mam przy sobie własną mapę – powiedział Tanner. Wspięli się na szczyt wzgórza i w oddali dostrzegł zabudowania farmy.
– To twój dom?
– Tak. Teraz już niedaleko. Łatwo się idzie. Jak się zmęczyłeś, to wesprzyj się na moim ramieniu.
– Chyba tak zrobię – zgodził się Tanner. – Wszystko przez to, że brałem za dużo tabletek pobudzających, żeby nie zasnąć. Teraz zaczyna się odbijać brak snu, ale dojdę do siebie.
– Zaraz pójdziesz spać. A jak się obudzisz, usiądziemy nad mapą i zaznaczysz sobie na niej wszystkie miejsca, o których ci powiem.
– Niezła scenka – mruknął Tanner, kładąc rękę na ramieniu Pottera – niezła scenka – powtórzył i powlókł się obok starego zataczając się jak pijany.
Po zamglonej wieczności zobaczył przed sobą dom, potem drzwi. Drzwi otwarły się i poczuł, że leci twarzą naprzód i upadł.

XII

Sen. Czerń, dalekie głosy, znowu czerń. Gdziekolwiek leżał, było miękko, przewrócił się więc na drugi bok i znowu zapadł w sen.
Kiedy w końcu wszystko zlało się z powrotem w logiczną całość i kiedy otworzył oczy, przez okno z prawej wpadał strumień światła, kładąc się jasnymi prostokątami na pikowanej kołdrze, pod którą leżał.
Ziewnął, przeciągnął się, przetarł oczy i podrapał się w brodę.
Z zaciekawieniem rozejrzał się po pokoju. Wyfroterowana, drewniana podłoga z rozrzuconymi na niej niebiesko-czerwono-szarymi, tkanymi ręcznie dywanikami, toaletka z białą, emaliowaną miednicą, obtłuczoną w paru miejscach, z tyłu lustro wiszące na ścianie i dalej: fotel na biegunach, stojący pod oknem z siedzeniem przykrytym poduszką z jakimś nadrukiem, mały stoliczek pod drugą ścianą z wsuniętym pod niego krzesłem, a na stoliczku książki, papier, pióro i kałamarz. Nad stoliczkiem, na ścianie, ręcznie haftowana makatka prosząca „Boże Pobłogosław", na drugiej ścianie niebiesko-zielona fotografia wodospadu.
Usiadł na łóżku i stwierdzając, że jest nagi, rozejrzał się za ubraniem. Nie było go nigdzie.
Gdy tak siedział, wahając się, czy zawołać kogoś, czy nie, drzwi otworzyły się i do izby wszedł Sam. Trzymał na ręku ubranie Tannera, czyste i starannie złożone, a w drugim niósł jego buty, wypolerowane do połysku.
– Usłyszałem, że się ruszasz – powiedział. – Jak się czujesz?
– Dziękuję, dużo lepiej.
– Przyszykowaliśmy już wannę. Wlejemy jeszcze parę wiader wrzątku i gotowe. Każę chłopcom przynieść ją za chwilę, razem z mydłem i ręcznikami.
Tanner zagryzł wargę, nie chcąc jednak sprawiać przykrości swemu dobroczyńcy, skinął głową i zmusił się do uśmiechu.
– To mi dobrze zrobi.
– ... A maszynka do golenia i żyletki, jeśli byś ich potrzebował, są tam, na toaletce.
Tanner znowu skinął głową. Sam położył jego ubranie na fotelu bujanym, obok na podłodze postawił buty i wyszedł z izby.
W chwilę potem Roderick i Caliban wnieśli wannę i postawili ją na rozesłanych na podłodze dywanikach.
– Jak się czujesz? – spytał jeden z nich (Tanner nie był pewien który jest który. Obydwaj gracji mieli tyle co strach na wróble, a ich usta wypchane były pełnymi garniturami białych zębów).
– Bardzo dobrze – odparł uprzejmie.
– Musisz być strasznie głodny – odezwał się drugi. – Przespałeś całe wczorajsze popołudnie, całą noc i większość dzisiejszego poranka.
– Co ty powiesz? – zdziwił się Tanner. – A co z moim kolegą?
Ten z braci, który stał bliżej Tannera, potrząsnął głową.
– Ciągle śpi i wymiotuje – powiedział. – Niedługo będzie tu doktor. Nasz młodszy brat poleciał po niego w nocy.
Odwrócili się, żeby wyjść i ten, który mówił ostatni, dodał:

Minęła godzina, potem dwie. Trąby powietrzne zaczęły się kurczyć, aż wreszcie pozostały tylko trzy z tych smuklejszych. W końcu i one odleciały na wschód, ginąc z pola widzenia.
Tanner wystrzelił następną flarę. Odpowiedzi nadal nie było.
– Pojedźmy lepiej z powrotem i poszukajmy ich – odezwał się Greg.
– Okay.
Pojechali z powrotem.
Nie znaleźli tam jednak nic. Nic, co świadczyłoby o losie samochodu numer trzy.
Zanim zakończyli poszukiwania, na wschodzie zaczęło świtać. Tanner zawrócił, sprawdził wskazanie kompasu i ruszył na północ.
– Kiedy, według ciebie będziemy w Salt Lake? – spytał po długiej chwili milczenia Greg.
– Za jakieś dwie godziny.
– Bałeś się jak przejeżdżaliśmy przez to świństwo?
– Nie, ale potem nie czułem się najlepiej.
Greg pokiwał głową.
– Może chcesz, żebym znowu poprowadził?
– Nie. I tak nie mógłbym zasnąć. Zatankujemy w Salt Lake i możemy tam coś przekąsić, kiedy mechanicy będą sprawdzali wóz. Potem dociągnę do dobrej drogi i będziesz mógł mnie zmienić, a ja się zdrzemnę.
Niebo było znowu purpurowe, a czarne pasma poszerzały się. Tanner zaklął i przyspieszył. Bluznął płomieniem z miotacza zamontowanego pod spodem wozu do dwóch nietoperzy, które postanowiły dokonać przeglądu pojazdu. Spadły na ziemię i zostały z tyłu, a Tanner przyjął od Grega kubek gorącej kawy.

VIII

Gdy wczesnym rankiem dotarli do Salt Lake City, niebo było tak ciemne, iż wydawać się mogło, że to już wieczór. John Brady – tak właśnie brzmiało jego nazwisko – przejeżdżał tędy kilka dni wcześniej i miasto przygotowane było na przyjęcie samochodu z Los Angeles. Na ulicę wyległa większość z dziesięciu tysięcy mieszkańców i zanim Czart i Greg zeskoczyli z kabiny na ziemię, po zatrzymaniu się w pierwszej napotkanej stacji obsługi, maska wozu numer dwa była już otwarta i nad silnikiem pochylało się trzech mechaników.
Zrezygnowali ze spożycia posiłku w wozie restauracyjnym, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, gdyż zbyt wielu ludzi zarzuciło ich zbyt wieloma pytaniami, kiedy tylko ruszyli się na krok poza bramę garażu. Wycofali się szybko z powrotem i posłali kogoś po jajecznicę na bekonie i tosty.
Po skończonym przeglądzie, samochód wytoczył się na ulicę i przyspieszając odjechał na wschód, żegnany przez wiwatujące tłumy.
– Mogliśmy napić się piwa – westchnął Tanner. – Diabli nadali!
Pędzili teraz wzdłuż czegoś, co dawniej było Trasą U.S. 40.
Tanner przekazał Gregowi kierownicę i wyciągnął się w pasażerskiej części kabiny. Niebo nad nimi nieustannie ciemniało, nabierając powoli wyglądu, który miało poprzedniego dnia w L.A.
– Może uda nam się przed nią uciec – powiedział Greg.– Miejmy nadzieję.
Na północy pojawiło się niebieskie pulsowanie, przeradzając się stopniowo w błyszczącą zorzę. Niebo nad nimi było teraz niemal czarne.
– Gazu! – krzyknął Tanner. – Gazu! Tam przed nami jest pasmo wzgórz! Może znajdziemy jakiś nawis skalny albo jaskinię.
Ale burza rozpętała się zanim dotarli do wzgórz. Najpierw spadł grad, potem śnieg, w końcu z nieba zaczęły sypać się wielkie głazy i prawy skaner przestał działać. Karoserię siekły tumany piasku. Nagle z góry lunęły na nich kaskady wody. Silnik zaczął przerywać i krztusić się.
Kiedy dotarli wreszcie pod osłonę wzgórz, burza szalała już na dobre. W skalistej dolince znaleźli zaciszne miejsce, gdzie ściany stercząc stromo do przodu, osłabiały znacznie siłę tej wiatro-piaskowo-pyłowo-skalno-wodnej burzy. Siedzieli tam w miarę bezpieczni, a wokół zawodził i huczał wiatr. Palili papierosy i słuchali.
– Nie damy rady – powiedział Greg. – Miałeś rację. Wydawało mi się, że mamy szanse. Teraz już wiem, że ich nie mamy. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, nawet pogoda.
– Mamy szansę – powiedział Tanner. – Może niezbyt realną, ale jak dotąd dopisywało nam szczęście. Nie zapominaj o tym.
Greg splunął do pojemnika na odpadki.

– Skąd ten przypływ optymizmu? I to u ciebie?
– Byłem wtedy wściekły i gadałem co mi ślina na język przyniosła. Zresztą nadal jestem zły, ale czuję, że szczęście mi sprzyja.
Greg roześmiał się.
– Do diabła ze szczęściem. Zobacz co się tam dzieje – powiedział.
– Widzę – odparł obojętnie Tanner. Tego grata przystosowano do takich warunków i na razie spisuje się dobrze. Poza tym, tu gdzie stoimy, burza pokazuje tylko dziesięć procent tego, co potrafi.
– Okay, ale co to za różnica? To może potrwać parę dni.
– No to poczekamy.
– Jak będziemy za długo czekać, to nawet te dziesięć procent może nas zmiażdżyć. Jak będziemy za długo czekać i jeśli nawet nas nie zmiażdży, to nie będzie już po co jechać dalej. A spróbuj się stąd ruszyć, to rozgniecie nas na placek.
– Zamontowanie nowego skanera zajmie mi dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Mamy zapasowe „oczy". Jeśli burza potrwa dłużej niż sześć godzin, to ruszamy. Niech się dzieje co chce.
– Kto tak mówi?
– Ja.
– Ale dlaczego? Przecież to ty z takim zapałem broniłeś się przed nadstawianiem własnego karku. Co to się stało, że ni z tego ni z owego chcesz ryzykować? Co innego ja.
Tanner zaciągnął się dymem.
– Dużo myślałem – powiedział po chwili i zamilkł.
– O czym? – spytał Greg.
– O tych ludziach z Bostonu – odparł Tanner. – Może to warto. Sam nie wiem. Nic nigdy dla mnie nie zrobili, ale do diabła, lubię działać i cholera mnie bierze, gdy widzę jak cały świat umiera. Poza tym, chciałbym zobaczyć Boston. Po prostu zobaczyć jak wygląda. To może być nawet zabawne – zostać bohaterem. Chociażby po to, żeby przekonać się na własnej skórze jak to jest. Nie zrozum mnie źle. Nie dałbym złamanego grosza za nikogo stamtąd. Szlag mnie tylko trafia, jak sobie pomyślę, że wszystko może się stać takie, jak ta Aleja – wypalone, przewrócone do góry nogami i pełne gówna. Zacząłem myśleć, jak straciliśmy drugi wóz w tym tornadzie. Nie chciałbym widzieć jak wszyscy giną w ten sposób – jak wszystko tak ginie. Ciągle jeszcze mogę nawiać, jak nadarzy mi się dobra okazja. Mówię ci tylko, co teraz czuję. Skończyłem.
Greg odwrócił głowę i roześmiał się, nieco serdeczniej niż zwykle.
– Nigdy cię nie podejrzewałem o takie głębie filozoficzne.
– Ja siebie też. Zmęczyłem się. Opowiedz mi lepiej o swoich braciach i siostrach, co?
– Okay.

Cztery godziny później, gdy burza straciła na sile i spadające z nieba głazy zastąpił pył, a deszcz przerodził się w mgłę, Tanner wymienił prawy skaner i ruszyli przez Park Narodowy Gór Skalistych. Mgła i unoszący się w powietrzu kurz przez cały dzień ograniczały widoczność. Tego wieczora okrążyli ruiny Denver. Potem Tanner zmienił Grega za kierownicą i poprowadził samochód w stronę terenów zwanych kiedyś Kansas.
Jechał całą noc. O świcie niebo było czystsze niż w ciągu poprzednich dni. Pozwolił Gregowi chrapać, a sam, siorbiąc kawę, zabrał się do porządkowania swoich myśli.
Gdy tak siedział z dłońmi na kierownicy pędzącego samochodu i z ułaskawieniem w kieszeni, ogarnął go dziwny nastrój. Z tyłu, za samochodem unosiły się tumany kurzu. Niebo miało barwę pączka róży, a czarne bruzdy znowu się skurczyły. Przypomniał sobie opowieści o dniach, kiedy spadły pociski, obracając w perzynę wszystko, oprócz rejonów położonych na północnym wschodzie i południowym zachodzie; o dniach, kiedy zerwały się wichry, znikły chmury, a niebo straciło swój błękitny kolor; o dniach, kiedy zniszczony został Kanał Panamski i przestało działać radio; o dniach, po których samoloty nie mogły już latać. Żałował tego, bo zawsze chciał latać, wysoko jak ptak, nurkując i wzbijając się w górę. Poczuł chłód. Ekrany miały teraz przezroczystość kryształu i wyglądały jak sadzawki zabarwionej wody. Gdzieś przed nim, daleko, daleko przed nim leżało coś, co było może jedynym, poza Los Angeles, większym skupiskiem ludzkim, jakie nosił jeszcze na swych barkach świat. Jeśli zdoła dotrzeć tam na czas, może je ocalić. Rozejrzał się wokół. Zobaczył skały, piasek i ścianę rozwalonego garażu, który w jakiś niewyjaśniony sposób znalazł się na górskim zboczu. Długo jeszcze pozostał mu w pamięci, chociaż dawno go już minął. Pogruchotany, zapadnięty, na wpół zasypany gruzem przypominał monstrualną, zmurszałą czaszkę, którą nosiły kiedyś ramiona olbrzyma. Cisnął mocniej pedał gazu, chociaż ten doszedł już do oporu. Chwyciły go dreszcze. Niebo pojaśniało, ale nie regulował ekranu. Dlaczego to

– No właśnie. Wybuchła tam epidemia. Umierają ludzie. Wiozę tu ze sobą lekarstwo, które może ich ocalić, jeśli uda mi się tam dojechać.
Znowu zaczęli się naradzać.
– Pomożemy ci – powiedział w końcu starzec. Boston jest dla nas bardzo ważny. Wyciągniemy cię z tego błota. Pójdziesz z nami?
– A dokąd? Kim właściwie jesteście?
– Nazywam się Samuel Potter, a to są moi synowie Roderick i Caliban. Sześć mil stąd jest moja farma. Zapraszamy cię na nocleg.
– Nie chodzi o to, żebym wam nie ufał – odparł Tanner. – Ja po prostu nie ufam nikomu i nie zrozumcie mnie źle. Ostatnio za dużo do mnie strzelano, żebym ryzykował.
– No, a jeśli odłożymy nasze karabiny? Możesz nas chyba stamtąd zastrzelić, prawda?
– Prawda, mogę.
– No więc stojąc tutaj, sami ryzykujemy. Chcemy ci pomóc. Dużo stracimy, jeśli kupcy z Bostonu przestaną przyjeżdżać do Albany. Jak jest tam z tobą ktoś jeszcze, to może cię ubezpieczać.
– Poczekajcie chwileczkę – powiedział Tanner i otworzył drzwiczki.
Potrząsnął wyciągniętą ręką starca i wymienił uściski dłoni z jego synami.
– Jest tu gdzieś doktor? – spytał.
– W osiedlu – jakieś trzydzieści mil na północ.
– Mój towarzysz jest ranny. Chyba potrzebuje doktora – wskazał za siebie na kabinę.
Sam podszedł do wozu i zajrzał do środka.
– Dlaczego jest związany? – zapytał.
– Odbiło mu coś i musiałem go obezwładnić. Związałem go dla własnego bezpieczeństwa, ale teraz nie za dobrze wygląda.
– Sporządzimy mu nosze. Zamkniesz samochód i moi chłopcy zaniosą go do domu. Poślemy kogoś po doktora. Sam nie za dobrze wyglądasz. Pewnie chciałbyś się wykąpać, ogolić i przespać w czystym łóżku.
– Nieszczególnie się czuję – przyznał Tanner. – Zróbmy lepiej szybko te nosze, bo niedługo będą potrzebne drugie.
Przysiadł na błotniku i palił papierosa, a Potterowie ścieli tymczasem drzewka i odarli je z kory. Spłynęła na niego fala zmęczenia i z trudem unosił ciężkie jak ołów powieki. Miał wrażenie, że stopy są gdzieś daleko, daleko od niego. Bolały go ramiona. Oparł się plecami o maskę, papieros wypadł mu z palców.
Ktoś poklepał go po nodze.
Zmusił się do otwarcia oczu i spojrzał półprzytomnie w dół.
To był Potter.
– Rozwiązaliśmy twego kolegę i położyliśmy go na noszach – oznajmił. – Zamknij samochód i pójdziemy.
Tanner skinął głową i zeskoczył z błotnika. Zapadł się po kolana w błocie, ale zamknął drzwiczki na klucz i słaniając się na nogach podszedł do starca.
Ruszyli naprzód i z czasem ruchy Tannera stały się mechaniczne.
Samuel Potter, krocząc na czele pochodu z karabinem spoczywającym w zgięciu ramienia, gadał nieustannie. Być może po to, by nie dać Tannerowi zasnąć.
– To niedaleko, synu, i zaraz będzie się zupełnie nieźle szło. Mówiłeś, że jak się nazywasz?
– Czart – odparł Tanner.
– Że jak?
– Czart. Nazywam się Czart. Czart Tanner.
Sam Potter zachichotał.
– To imię nasuwa pewne skojarzenia, Mister. Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, to przedstawię cię mojej żonie i dzieciakom jako Mister Tannera, dobrze?
– Może być – westchnął Tanner, wyciągając buty z błota przy akompaniamencie głośnego cmokania.
– Bardzo by nam brakowało tych kupców z Bostonu. Mam nadzieję, że zdążysz na czas.
– A co oni takiego robią?
– Zaopatrują sklepy w Albany i dwa razy do roku organizują jarmarki – na wiosnę i na jesieni. Dostarczają wszystko co nam potrzebne – igły, nici, pieprz, kotły, patelnie, nasiona, karabiny i amunicję. Oprócz tego jarmarki to wielki festyn. Na drodze do Bostonu pomoże ci większość ludzi. Miejmy nadzieję, że dojedziesz. Na dobry początek wyciągniemy cię z błota.

mał się po raz drugi, żeby odwiedzić latrynę, pociągnął silnie za złoty kolczyk wpięty w lewe ucho, wysmarkał nos, podrapał się po brodzie, potem zjadł jeszcze kilka racji żywnościowych i ruszył w dalszą drogę.

We wszystkich mięśniach zaczął narastać ból i miał wielką ochotę zatrzymać się i odpocząć, obawiał się jednak tego, co może go spotkać jeśli to uczyni.

Gdy przejeżdżał przez następne wymarłe miasto, zaczęło znowu padać. Nie był to rzęsisty deszcz - po prostu drobny kapuśniaczek wywołujący uczucie chłodu i przygnębienia. Zatrzymał wóz pośrodku drogi przed czymś, w co omal nie wjechał i patrzył ze zgrozą.

Z początku myślał, że to czarne linie na niebie. Stanął tylko dlatego, że ich pojawienie wydało mu się zbyt nagłe.

To była sieć pajęcza o pasmach grubszych niż jego ramię, rozpostarta pomiędzy dwoma chylącymi się ku upadkowi budynkami.

Włączył przedni miotacz i zaczął ją przepalać.

Gdy płomienie zgasły, dostrzegł spuszczający się gdzieś z wysoka ciemny kształt.

To był pająk, większy od człowieka, spieszący sprawdzić przyczynę zaburzenia.

Tanner uniósł w górę wyrzutnie rakiet i celując starannie ugodził potwora rozżarzonym do białości pociskiem.

Pająk zwisł na drgającej sieci i kopał w agonii kosmatymi kończynami.

Tanner włączył znowu miotacz ognia i grzał z niego przez pełne dziesięć sekund. Gdy płomień zamarł, droga przed nim stała otworem.

Przejechał na pełnym gazie, całkiem już rozbudzony i czujny. Zapomniał o bólu w mięśniach. Gnał jak mógł najszybciej, starając się otrząsnąć z obrzydzenia i walcząc z ogarniającą go falą mdłości.

Przed nim, po prawej, dymiła kolejna góra, nie dostrzegł jednak płomieni i gdy ją mijał, stwierdził z ulgą, że opad popiołu jest niewielki.

Zaparzył sobie kawy i wypił kubek. Wkrótce zaczęło świtać i wpadł w pełnym pędzie w budzący się dzień.

XI

Ugrzązł w błocie gdzieś we wschodniej Pensylwanii i klął na czym świat stoi. Greg był bardzo blady. Słońce zbliżało się do zenitu. Opadł zrezygnowany na oparcie fotela i zamknął oczy. To było już ponad jego siły.

Zasnął.

Obudziło go bębnienie o burtę samochodu. Czuł się jeszcze gorzej niż przed zaśnięciem. Ręce powędrowały automatycznie do klawiszy sterowania ogniem i „skrzydłami", a oczy spoczęły na ekranach.

Zobaczył starca, któremu towarzyszyło dwóch młodszych mężczyzn. Byli uzbrojeni, ale stali na wprost lewego skrzydła, mógł ich więc w razie czego przeciąć w mgnieniu oka na pół.

Włączył głośnik zewnętrzny i wzmacniacz akustyczny.

- Czego chcecie? - zachrypiał na zewnątrz samochodu jego głos.
- Nic ci nie jest? - zawołał starzec.
- Właściwie nic. Obudziliście mnie.
- Utknąłeś?
- Coś w tym rodzaju.
- Mam zaprzęg mułów, którym dałbym może radę cię wyciągnąć, ale nie sprowadzę ich tutaj wcześniej jak jutro rano.
- Świetnie! - ożywił się Tanner. - To by mi odpowiadało.
- Skąd jesteś?
- Z L.A.
- Co to jest?
- Los Angeles. Zachodnie Wybrzeże.

Zaczęli się naradzać przyciszonymi głosami.

- Jesteś daleko od domu, Mister - odezwał się wreszcie starzec.
- Sam to wiem...Słuchaj, jeśli poważnie mówisz o tych mułach, to cholernie by mi to odpowiadało. To pilne.
- Dlaczego pilne?
- Wiecie coś o Bostonie?
- Wiem, że to gdzieś tam.

musiał być on? Przed sobą, nieco po prawej, dostrzegł gęste kłęby dymu. Podjeżdżając bliżej zobaczył, iż wydobywa się on z góry o ściętym wierzchołku, na miejscu którego uwił sobie gniazdo ogień. Skręcił gwałtownie w lewo, zbaczając na wiele, wiele mil z trasy, którą wcześniej obrał. Ziemia drżała od czasu do czasu pod kołami. Wokół opadały popioły, ale dymiący stożek został już daleko z tyłu i był ledwo widoczny na prawym ekranie. Zastanawiał się nad dniami, które już przeminęły, i nad tym co mu przyniosły. Jeśli uda mu się przejechać, zadecydował, poduczy się trochę historii. Parł do przodu, mijając kaniony jak z obrazka, przeprawiając się przez płytkie rzeki. Nikt go nigdy przedtem nie prosił, żeby zrobił coś ważnego i miał nadzieję, że nikt już nigdy tego nie uczyni. Teraz jednak czuł, że potrafi tego dokonać. Chciał tego dokonać. Wokół, płonąc, dymiąc, drżąc, leżała Aleja Potępienia i jeśli nie uda mu się jej pokonać, umrze pół świata, a podwoją się szanse, że pewnego dnia cały świat stanie się taką Aleją. Greg ciągle spał. Spał snem człowieka wyczerpanego fizycznie i psychicznie. Tanner przymrużył oczy, zagryzł wargi i nie dotknął hamulca nawet wtedy, gdy zauważył sunącą po górskim zboczu kamienną lawinę. Zdołał ją ominąć i odetchnął. Ten rozdział był już dla niego zamknięty. Wyszedł bez jednego zadrapania. Jego umysł był powiekszającym się pęcherzem o ściankach niczym rejestrujące wszystko wokół ekrany. Poczuł prąd powietrza i nacisk wywierany przez pedał gazu na jego stopę. Zaschło mu w gardle, ale to nie miało znaczenia. Kąciki oczu kleiły się, nie otarł ich jednak. Pędził przez zryte kraterami równiny Kansas i wiedział już, że wczuł się całkowicie w swoją rolę i że mu ona odpowiada. Denton, niech go licho, miał rację. Trzeba było to zrobić. Zatrzymał się nad krawędzią przepaści, a potem skierował się na północ. Trzydzieści mil dalej urwisko skończyło się, zawrócił więc i pojechał z powrotem na południe. Greg mamrotał coś przez sen. Brzmiało to jak przekleństwo. Tanner powtórzył je cicho kilka razy i kiedy tylko natknął się na płaski teren, wykręcił znowu na wschód. Słońce stało wysoko na niebie i Tanner miał wrażenie, że unosi się lekki jak piórko w jego promieniach ponad brązową ziemią, podziobaną tu i ówdzie zielonymi szpilkami kiełkujących roślin. Zacisnął zęby i wrócił myślami do Denny'ego, który leżał teraz niewątpliwie w szpitalu. Lepiej, że jest tam niż w miejscu, do którego odeszli jego niedawni współtowarzysze. Miał nadzieję, że pieniądze, o których mu powiedział, ciągle jeszcze tam są. Poczuł nagle narastający ból w okolicy karku i ramion i dopiero teraz uświadomił sobie jak kurczowo ściska kierownicę. Zamrugał oczyma i wziął głęboki oddech. Bolały go gałki oczne. Zapalił papierosa. Nie smakował mu, pykał go jednak dalej nie zaciągając się. Popił trochę wody i przyciemnił wsteczny ekran, na którym błyszczało zachodzące słońce. Wtedy właśnie usłyszał dźwięk, przypominający odległy grzmot pioruna i to ponownie obudziło jego czujność. Poprawił się w fotelu i zdjął nogę z pedału gazu.

Zwolnił, zahamował i stanął. Zobaczył je. Siedział nieruchomo i patrzył jak przechodziły o jakieś pół mili przed nim.

Monstrualnej wielkości stado bizonów przecinało drogę, którą jechali. Zanim przeszły, minęło pół godziny. Ogromne, ciężkie, czarne, o spuszczonych łbach, ryjąc kopytami glebę pędziły z ogłuszającym grzmotem, który z czasem przetoczył się na północ, cichł, cichł, aż zamarł w oddali.

Kurtyna wzniesionego ich kopytami kurzu ciągle jeszcze wisiała w powietrzu. Tanner zanurzył się w nią, włączając reflektory.

Zastanawiał się, czy zażyć tabletkę pobudzającą, ale zrezygnował z tego. Greg mógł się niebawem obudzić. Nie mógłby zasnąć, gdy zmienią się za kierownicą.

Jechał teraz wzdłuż autostrady. Nawierzchnia wyglądała na nieźle zachowaną, wprowadził więc samochód na szosę i popędził dalej. Po pewnym czasie minął wyblakły drogowskaz głoszący: „TOPEKA-110 MIL".

Greg ziewnął i przeciągnął się. Przetarł pięściami oczy, dotknął czoła, które po prawej stronie było spuchnięte i pociemniałe.

- Która godzina? - spytał.

Tanner ruchem głowy wskazał zegar na tablicy rozdzielczej.

- Rano, czy po południu?
- Po południu.
- O Boże! Spałem prawie piętnaście godzin.
- Coś koło tego.
- Cały czas prowadziłeś?
- Tak.
- Ty dojedziesz. Masz w sobie coś z czarta. Pozwól, że przyjdę do siebie. Za pięć minut cię zmienię.
- Dobrze pomyślane.

Greg przeczołgał się na tył pojazdu.

W pięć minut później Tanner dotarł do peryferii wymarłego miasteczka. Jechał główną ulicą, wzdłuż której stały pordzewiałe wraki samochodów. Większość budynków zapadła się. Niektóre z odsłoniętych piwnic wypełniała woda. Po jej powierzchni pływały płaty żółto-zielonej piany. Na rynku miejskim leżały ludzkie szkielety. Nad rosnącymi tam chwastami nie górowało ani jedno drzewo, stały jednak jeszcze trzy słupy telefoniczne, z których jeden, pochylony do przodu, wlókł za sobą warkocz pozrywanych przewodów i przypominał gigantyczny widelec, niosący do ust nieistniejącego olbrzyma porcję czarnego spaghetti. Wśród chwastów, na popękanym chodniku, stało kilka ławek. Mijając drugą, Tanner zauważył siedzący na niej szkielet człowieka. Drogę zatarasował mu przewrócony słup telefoniczny, objechał więc budynek wkoło. Następna ulica zachowała się nieco lepiej, jednak wszystkie, wychodzące na nią witryny sklepów były rozbite, a nagi manekin zastygł w usłużnej pozie, wyciągając przed siebie kikut urwanej w łokciu prawej ręki. Na skrzyżowaniu gapiły się na Tannera ślepe oczodoły świateł sygnalizacyjnych.

Skręcając w następną przecznicę, usłyszał, że Greg przesuwa się na przód samochodu.

– No, zmieniamy się – powiedział, przystając za Tannerem.

– Chcę najpierw stąd wyjechać – odparł Tanner i patrzyli w milczeniu dopóki wymarłe miasto nie pozostało daleko za nimi.

Dopiero wtedy Tanner zatrzymał wóz.

– Jesteśmy o dwie godziny drogi od miejscowości zwanej kiedyś Topeka. Obudź mnie, jak wpakujesz się w jakąś kabałę.

– Jak było, kiedy spałem? Miałeś jakieś kłopoty?

– Nie – powiedział Tanner, zamknął oczy i zaczął chrapać.

Greg prowadził, mając za plecami słońce i zanim dojechał do Topeki zjadł trzy kanapki z szynką, popijając kubkiem mleka.

IX

Obudził Tannera wizg odpalanych rakiet. Przetarł oczy, spędzając sen z powiek i przez prawie pół minuty gapił się nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń.

Zewsząd, niby gigantyczne, zeschłe liście, opadały kołysząc się wielkie chmury. Nietoperze, nietoperze, nietoperze. Były wszędzie. Tanner słyszał kwilenie, piski i skrobanie. Raz po raz któryś z nich zderzał się z samochodem.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

– W Kansas City. Pełno ich tutaj – powiedział Greg i odpalił następną rakietę, która wycięła ognisty tunel poprzez spadającą na nich korkociągami hordę.

– Oszczędzaj rakiety. Użyj miotaczy ognia – powiedział Tanner, przełączając najbliższy siebie karabin na obsługę ręczną i wyostrzając na ekranie krzyż nitek celownika. – Wal po nich we wszystkich kierunkach przez pięć, sześć sekund. Potem ja wchodzę.

Trysnął płomień, rozkwitając pomarańczowo-kremowymi, ognistymi kwiatami. Gdy zgasł, Tanner zerknął na ekran i nacisnął spust. Zamiatał lufą karabinu w prawo, w lewo i znowu w prawo, dodając do leżących na ziemi zwęglonych ciał nowe sztuki.

– Przejedź po nich! – krzyknął do Grega. Samochód, kiwając się na boki, ruszył do przodu. Pod kołami chrupały rozgniatane trupy nietoperzy.

Tanner siekł niebo seriami broni maszynowej, zarzucając gradem pocisków następną falę atakujących z lotu nurkowego stworów.

W nagłym rozbłysku wystrzelonej w górę flary zobaczyli, że krążąc spiralami, zniżają się ku nim miliony postaci o twarzach wampirów.

Tanner przeskakiwał od karabinu do karabinu i nietoperze spadały na ziemię jak ulęgałki.

– Hamuj i grzej z miotacza górnego! – krzyknął i Greg wykonał polecenie.

– Teraz na boki! Potem do przodu i do tyłu!

Wszędzie wokół paliły się ciała, tworząc już stos sięgający poziomu maski samochodu.

– Naprzód! – krzyknął Tanner i Greg wrzucił pierwszy bieg. Parli przez sterty zwęglonych ciał.

Tanner wystrzelił następną flarę.

Nietoperze ciągle były w pobliżu, ale krążyły już wyżej. Tanner załadował karabiny i czekał, lecz zmasowany atak więcej się nie powtórzył. Oddał kilka strzałów na postrach do paru przelatujących obok stworów. Bitwa była wygrana.

– Tam po lewej, to rzeka Missouri – odezwał się po dziesięciu minutach jazdy. – Jadąc wzdłuż jej brzegu, trafimy do Saint Louis.

rwącej po niebie czarnej rzeki wyjrzał na chwilę cieniutki sierp słońca, daremnie próbującego wspiąć się na jej północny brzeg.

Reflektory przełączone były na największą jasność i Tanner, zdając sobie sprawę z tego, co może za chwilę nastąpić, rozglądał się za jakimś schronieniem.

Na wzgórzu stała stara stodoła, skręcił więc w tamtą stronę. Jedna ściana groziła zawaleniem, a wrota, wyrwane z zawiasów, leżały na ziemi, wjechał jednak ostrożnie do środka. Wnętrze wyglądało w świetle reflektorów na zawilgocone i zapleśniałe. W rozwalonym boksie leżał szkielet konia.

Zatrzymał wóz, wyłączył reflektory i czekał.

Niebawem znowu rozległo się zawodzenie, zagłuszając jęki wydawane od czasu do czasu przez Grega. Potem dał się słyszeć inny dźwięk, nie tak ogłuszający jak ten, który pamiętał z L.A., a łagodny raczej, jednostajny, cichy pomruk.

Uchylił drzwiczki samochodu, żeby lepiej słyszeć. Nic go nie zaatakowało, wysiadł więc z kabiny i przeciągnął się. Poziom promieniowania był prawie normalny, toteż nie zadawał sobie trudu, aby naciągnąć skafander ochronny. Podszedł do leżących na ziemi wrót i wyjrzał na zewnątrz. Zza pasa sterczał mu pistolet.

Z nieba spadało kroplami coś szarego, a spoza czarnego pasma na niebie wychylił się ponownie skrawek słońca.

Padał deszcz, zwykły, normalny deszcz. Tanner nigdy jeszcze nie widział deszczu, stał więc, paląc papierosa i patrzył z zaciekawieniem na lecące z nieba krople. Poza pasmami czerni niebo było ciągle sinawe.

Deszcz. Po framudze, o którą opierał się lewym ramieniem ściekało kilka wąziutkich strużek. Przypadkowy powiew wiatru dmuchnął mu w twarz paroma kropelkami i wtedy przekonał się, że to tylko woda. Na zewnątrz tworzyły się kałuże. Wrzucił do jednej z nich kawałek drewienka i patrzył w zadumie, jak pływało kołysząc się pod wpływem trafiających je kropel. Gdzieś pod dachem stodoły słychać było ptasie głosy. W nozdrza bił słodkawy zapach gnijącej słomy. Na podwórzu, pod ścianą stała zardzewiała młockarnia. Z góry opadło kilka piór. Złapał jedno w locie i przyjrzał mu się uważnie. Było lekkie, ciemne, puszyste i usztywnione żeberkami. Nigdy przedtem nie przyglądał się tak piórom. Sposób, w jaki poszczególne żeberka zachodziły na siebie, przywodziły mu na myśl zamek błyskawiczny. Puścił je i porwane wiatrem zniknęło gdzieś za jego plecami. Wyjrzał znowu na zewnątrz i popatrzył po swoich śladach. W tym co spadało teraz na ziemię można było chyba jechać, poczuł jednak nagle jak jest zmęczony. Znalazł jakąś beczkę, usiadł na niej i zapalił następnego papierosa.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Przyłapał się na tym, ży myśli o ostatnich etapach tego koszmarnego rajdu. Nie mógł już ani przez chwilę ufać Gregowi, przynajmniej dopóki nie znajdą się tak daleko, że nie będzie drogi odwrotu. Wtedy będą tak bardzo potrzebni sobie nawzajem, że zaryzykuje i uwolni go. Miał nadzieję, że mu znowu coś nie odbije. Nie wiedział, co im jeszcze szykuje Aleja. Jeśli jednak dalej burze stracą na gwałtowności, to będzie to już duże ułatwienie.

Siedział tak dłuższy czas, czując na twarzy chłodną, wilgotną bryzę. Gdy wrócił w końcu do samochodu i zapuścił silnik, deszcz niemal już ustał. Wycofując się na wstecznym biegu ze stodoły, zauważył, że Greg jest ciągle nieprzytomny. To nie wróżyło nic dobrego.

Prowadząc jedną ręką zażył tabletkę pobudzającą, aby odpędzić sen i zjadł kilka racji żywnościowych. Deszcz ciągle padał, nie był już jednak tak rzęsisty. Siąpiło z zasnutego chmurami nieba przez całą drogę przez Ohio. Granicę Zachodniej Wirginii przekroczył w miejscowości zwanej Parkersburg, po czym skręcił nieco na północ. Szary dzień ustąpił miejsca czarnej nocy.

Nie miał już kłopotów z nietoperzami. Nie było ich tutaj. Mijał jednak trochę więcej kraterów i poziom promieniowania wskazywany przez licznik wzrósł. Przez pewien czas, wyjąc i ujadając, ścigała go sfora ogromnych, zdziczałych psów. Biegły po obu stronach samochodu, starając się złapać zębami za opony, ale w końcu zostały z tyłu. Mijając kolejną, wznoszącą się po lewej stronie górę, która wyrzucała ze swego wnętrza kłęby jasnego dymu, słyszał niski, jednostajny pomruk i czuł pod kołami drżenie gruntu. Z nieba opadały popioły. Wjechał na tereny nawiedzone powodzią. Silnik krztusił się i gasł dwa razy, za każdym jednak razem zapalał go ponownie i parł dalej. Wzburzona woda z pluskiem omywała burty samochodu. Dotarł wreszcie do wyżej położonych, suchszych okolic. Tam znowu próbowali zagrodzić mu drogę ludzie uzbrojeni w karabiny. Ostrzelał ich z broni maszynowej, cisnął granat i wyminął blokadę. Kiedy wzeszedł zamglony księżyc i rozproszył nieco panujące ciemności, zaatakowały go czarne ptaki, które krążąc w powietrzu raz po raz nurkowały na samochód. Zignorował je i po pewnym czasie i one pozostały daleko w tyle.

Prowadził dopóki nie poczuł się znowu zmęczony. Posilił się wtedy i zażył tabletkę pobudzającą. Był już w Pensylwanii i czuł, że jeśli tylko Greg przyjdzie do siebie, uwolni go i odda mu kierownicę. Zatrzy-

– Greg, jesteśmy teraz dużo bliżej Bostonu niż L.A. W zbiornikach powinno być tyle paliwa, abyśmy dojechali tam, gdzie mamy dojechać, ale nie starczy nam już na drogę powrotną.

– Możemy zatankować w Salt Lake.

– Nie jestem nawet pewien, czy wystarczyłoby nam do Salt Lake.

– Zaraz, zaraz, to łatwo wyliczyć. Jeśli jednak nawet by nam nie wystarczyło, to ostatnie sto mil moglibyśmy przejechać na motocyklach. Zużywają dużo mniej benzyny.

– I ty jesteś tym facetem, który obrzucał mnie wyzwiskami? I ty jesteś tym obywatelem, który zastanawiał się skąd się biorą tacy ludzie jak ja? I ty mnie pytałeś, co oni mi takiego zrobili? Odpowiedziałem ci wtedy „Nic", a teraz może to ja chcę coś zrobić dla nich. Tylko dlatego, że tak mi się podoba. Dużo przemyślałem.

– Nie masz na głowie rodziny, Czart. Ja, oprócz siebie, mam innych ludzi, o których muszę się martwić.

– Masz uroczy sposób odwracania kota ogonem, gdy chcesz skrewić. Mówisz: „Nie boję się ale mam matkę, braci i siostry, którymi muszę się opiekować i dziewuszkę, na którą mam ochotę. Tylko dlatego się wycofuję. Nie ma innych powodów".

– Bo to prawda! Nie rozumiem cię, Czart! Wcale cię nie rozumiem! Przecież to ty wbiłeś mi to do głowy!

– No to teraz wybij to sobie z niej i ruszajmy.

Dostrzegł kątem oka, że ręka Grega sunie w stronę wiszącego na drzwiach kabiny karabinu, cisnął mu więc papierosem w twarz i zdołał uderzyć go raz w żołądek – słaby cios z lewej ręki, ale najlepszy jaki mógł zadać z tej pozycji.

Greg rzucił się na niego i Tanner poczuł, że jest przygnieciony do swego fotela. Mocowali się w milczeniu, a palce Grega pełzły powoli do jego twarzy, w kierunku oczu.

Tannerowi udało się wreszcie oswobodzić ręce, złapał Grega za głowę i robiąc półobrót, odepchnął go z całej siły od siebie.

Greg uderzył o tablicę rozdzielczą, zesztywniał, po czym jego ciało zwiotczało.

Tanner chwycił go za włosy i jeszcze dwa razy grzmotnął jego głową o tablicę po to tylko, aby mieć pewność, że nie spieprzył roboty. Potem odepchnął bezwładne ciało i wrócił na fotel kierowcy. Łapiąc oddech sprawdził wszystkie ekrany. Nic mu na razie nie zagrażało.

Wydobył sznur ze skrzyni z narzędziami i wykręcając Gregowi ręce do tyłu, skrępował je w łokciach i przeciągnął linkę do nadgarstków. Potem przechylił częściowo fotel, posadził na nim Grega i przywiązał go do niego.

Wrzucił bieg i ruszył w stronę Ohio.

W dwie godziny później Greg zaczął jęczeć i Tanner włączył muzykę, żeby go zagłuszyć. Znowu pojawił się sielski krajobraz: trawy i drzewa, zielone pola, sady jabłoniowe, w których jabłka były jeszcze małe i zielone, białe zabudowania farmerskie, brązowe i czerwone stodoły pobudowane daleko od szosy, którą jechał.

Falujące na wietrze rzędy zielonej kukurydzy o wykształconych już brązowych kitkach, najwyraźniej otaczane przez kogoś opieką; ogrodzenia ze sztachet; zielone żywopłoty; wysokie, gwiazdolistne klony; świeżo odmalowane znaki drogowe; kryta zielonym gontem wieża, z której dochodziło bicie dzwonu.

Linie na niebie poszerzyły się, ale samo niebo nie pociemniało, jak to zwykło czynić przed burzą. Pędząc tak szosą, dotarł w południe do Dayton Abyss.

Zatrzymał się przed zasnutym mgłą kanionem i spojrzał w dół. Potem rozejrzał się na prawo i lewo, zdecydował, że pojedzie w lewo i skierował się na północ.

Poziom promieniowania znowu był wysoki, spieszył się więc, zwalniając jedynie przy omijaniu szczelin, przepaści i rozpadlin, wydzielających się z mrocznej otchłani kanionu głównego. Z niektórych sączyły się gęste, żółte opary. W pewnej chwili spowiły go zewsząd lepką, siarkową chmurą. Rozwiał ją dopiero lekki wietrzyk, który zerwał się na moment i ucichł. I wtedy odruchowo uderzył po hamulcach. Samochód szarpnął i stanął, a Greg znowu zajęczał. Tanner patrzył przez chwilę szeroko otwartymi oczami na to, co nagle przyciągnęło jego wzrok, potem ruszył wolno naprzód.

Widok ten nie powtórzył się już więcej, ale niełatwo było wymazać go z pamięci i Tanner nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już to widział. Tam, niedaleko Abyss, natknął się na pożółkły, szczerzący w uśmiechu zęby, ukrzyżowany szkielet. Ludzie, pomyślał. To wyjaśnia wszystko.

Kiedy wydostał się z rejonu mgieł, niebo było ciągle ponure i przez jakiś czas nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się znowu na otwartej przestrzeni. Okrążenie Dayton zabrało mu prawie cztery godziny. Pędził teraz przez zryte pociskami wrzosowiska, kierując się znowu na wschód. Z nurtów

– Wiem. Myślisz, że też będzie pełne nietoperzy?

– Chyba tak. Ale jeśli nie będziemy się za bardzo spieszyć i dotrzemy tam za dnia, to nie powinny sprawić nam kłopotu. W Saint Louis możemy pomyśleć nad sposobem przeprawienia się przez Missus Hip.

Ich oczy spoczęły na ekranie wstecznym, gdzie na tle usianego bladymi gwiazdami nieba, podkreślana blaskiem krwawego księżyca, rysowała się ponura sylwetka Kansas City – miasta nietoperzy.

Jakiś czas potem Tanner zasnął ponownie. Śnił, że jedzie wolno na swym motocyklu środkiem szerokiej ulicy, a na chodnikach stoją tłumy ludzi, którzy wiwatują, gdy ich mija. Zewsząd rzucają konfetti, ale kiedy dolatuje do niego, okazuje się, że to mokre, cuchnące śmieci. Dodaje gazu, ale motocykl zwalnia jeszcze bardziej, a ludzie obrzucają go teraz wyzwiskami, wykrzykują obelgi, powtarzają ciągle jego imię. Harley zaczyna się chwiać, ale nie może się podeprzeć nogą, bo jego stopy są jak przyklejone. Motocykl zatrzymuje się i przechyla na prawą stronę. Wie już, że upadnie. Gdy leży na ziemi, tłum rzuca się w jego kierunku i już wie, że zbliża się koniec...

Obudził go wstrząs i zobaczył rozściełający się wokół niego poranek: błyszcząca moneta pośrodku ciemnoniebieskiego obrusu i rząd szklanek wzdłuż krawędzi.

– No, jesteśmy – powiedział Greg. – To Missus Hip.

Tanner poczuł się nagle bardzo głodny.

Po spożyciu posiłku, skierowali się w stronę mostu.

– Nie zauważyłem żadnego z twoich nagich ludzi z włóczniami – powiedział Greg. – Mogliśmy oczywiście minąć ich po zapadnięciu zmroku, jeśli w ogóle jacyś tu jeszcze są.

– No i dobrze – odparł Tanner. – Oszczędziliśmy trochę amunicji.

Ich oczom ukazał się most, obwisły i ponury z wyjątkiem miejsc, gdzie słońce złociło liny, na których był zawieszony. Rozciągał się, nie przełamany, nad błyszczącą taflą wody. Przedzierali się powoli w jego kierunku, torując sobie drogę przez zwalone gruzem ulice, klucząc objazdami, gdy drogę tarasowały rzędy rozbitych samochodów, sterty cegieł ze zburzonych budynków, sięgające kanałów ściekowych wyrwy w chodnikach.

Pokonanie półmilowego odcinka zajęło im dwie godziny i gdy dotarli do przyczółka mostu było już południe.

– Wygląda na to, że Brady mógł przeprawić się tędy – powiedział Greg, dostrzegając coś w rodzaju przejścia przetartego pomiędzy zawalającymi most od przęsła do przęsła wrakami. – Jak on to zrobił, według ciebie?

– Może miał ze sobą coś do podnoszenia ich i wyrzucania za barierkę. Tam pod mostem, gdzie jest płytko, wystaje z wody parę wraków.

– Były tu, jak ostatnio tędy przejeżdżałeś?

– Nie wiem. Nie dotarłem do samego mostu. Wdrapałem się tylko na to wzgórze, tam za nami – powiedział Tanner wskazując ruchem głowy na ekran wsteczny.

– Tak. Stąd wydaje się, że zdołamy przejechać. Ruszamy.

Wjechali na most i rozpoczęli żmudną przeprawę przez potężną Missus Hip. Były momenty, gdy most trzeszczał pod ich wozem, wzdychał, jęczał i czuli wtedy, że się porusza.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, a oni ciągle przedzierali się naprzód, zadrapując błotniki o krawędzie wraków, używając „skrzydeł" jako pługów. Dopiero po trzech godzinach, pomiędzy filarami przęsła, dostrzegli kraniec mostu.

Gdy koła samochodu dotknęły wreszcie stałego gruntu po drugiej stronie rzeki, Greg, dysząc ciężko, opadł na oparcie fotela kierowcy i zapalił papierosa.

– Chcesz trochę poprowadzić, Czart?

– Dobra. Zamieńmy się.

– Boże! Jestem wykończony! – powiedział Greg, rozwalając się na siedzeniu w pasażerskiej części kabiny.

Tanner prowadził wóz wśród ruin wschodniego Saint Louis, spiesząc się, aby wyjechać z miasta przed zapadnięciem nocy. W miarę jak posuwali się naprzód, poziom promieniowania ciągle wzrastał, a ulice były coraz bardziej zawalone gruzem i popękane. Sprawdził licznik wskazujący poziom promieniowania w kabinie. Odczyt był dużo niższy od dopuszczalnego.

Jazda przez zniszczone miasto zajęła kilka godzin i kiedy słońce zaszło z tyłu, za nimi, Tanner ujrzał rozlewającą się znowu na północy niebieską zorzę. Niebo jednak pozostawało czyste, usiane gwiazdami i nie widział na jego tle czarnych linii. Po dłuższym czasie wzeszedł różowy księżyc i zawisł przed nimi. Włączając cichą muzykę, Tanner spojrzał na Grega. Nie wyglądało, żeby mu przeszkadzała.

Jego wzrok przyciągnął przyrząd z tablicy rozdzielczej. Wskazanie poziomu promieniowania ciągle pięło się w górę. Nagle, na przednim ekranie Tanner ujrzał krater i zatrzymał się.

Krater miał z pół mili średnicy, a jego głębokości nie dało się ocenić.

Wystrzelił flarę i w jej świetle przyjrzał się mu przez lornetkę teleskopową.

Zdecydował, że łatwiej będzie przejechać, kierując się w prawo, skręcił więc w tę stronę i rozpoczął objazd.

Tu było gorąco! Bardzo, bardzo gorąco! Spieszył się. Pędził. Obserwując rosnące wskazanie licznika promieniowania, zaczął się zastanawiać: jak to było wtedy, tego dnia, gdy rozbłysło tutaj maleńkie słońce, zmagało się z tym na niebie i na chwile przyćmiło je, a potem powoli zaszło do swej nory w ziemi? Próbował to sobie wyobrazić i udało mu się, potem próbował usunąć to z pamięci i nie mógł. Jak stłumić płomienie, które palą się wiecznie? Chciałby to wiedzieć. Było wtedy tyle miejsc, które można było odwiedzać, a on lubił podróżować. Jak to było, kiedy człowiek mógł sobie, gdy tylko chciał, wskoczyć na motocykl i pojechać do innego miasta? I nikt nie wylewał na niego z nieba kubłów z pomyjami? Czuł się oszukany, co nie było dla niego nowym uczuciem, ale teraz kłął dłużej niż zwykle.

Objechawszy wreszcie krater, zapalił papierosa i gdy wskazanie licznika promieniowania zaczęło znowu spadać, uśmiechnął się po raz pierwszy od miesięcy.

Po przejechaniu wielu mil zobaczył falujące wszędzie wokół wysokie trawy, a niedługo potem ujrzał pierwsze drzewa.

Były z początku karłowate i poskręcane, ale im bardziej oddalał się od miejsca rzezi, tym stawały się wyższe i prostsze.

Tam na równinach Illinois, rosły drzewa, jakich nigdy przedtem nie widział – wysokie na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp, smukłe, przesłaniające gwiazdy.

Jechał pustą, twardą, szeroką drogą i właśnie wtedy poczuł, że chce nią tak jechać zawsze – na Florydę, z jej bagnami, torfowiskami, gajami pomarańczowymi, pięknymi plażami i z Zatoką Meksykańską; aż do zimnego, skalistego Przylądka, gdzie wszystko jest szare i brązowe, gdzie fale rozbijają się u podnóży morskich latarni, gdzie sól pali cię w nozdrza i gdzie są cmentarzyki, na których kości leżą od wieków, a stale jeszcze można odczytać nazwiska jakie nosiły, wyryte nad nimi w kamiennych nagrobkach; na południe przez kraj, w którym jak mówią, trawa jest niebieska; potem wzdłuż potężnej Missus Hip, aż do miejsca, gdzie się ona rozwidla i gdzie jest znowu Zatoka Meksykańska pełna małych wysepek, na których dawni piraci ukrywali swoje łupy, i przez porośnięte lasami góry, o których słyszał: Smokies, Ozarks, Poconos, Catskills; jechać tak przez lasy Shenandoah, zatrzymać się tam, wynająć łódkę i wypłynąć nią na Zatokę Chesapeake; zobaczyć Wielkie Jeziora i miejsce, w którym wody spadają w dół – Niagarę. Jechać zawsze głównymi drogami, żeby zobaczyć wszystko, żeby chłonąć świat. Tak. Może nie wszędzie jest Aleja Potępienia. Niektóre z tych legendarnych miejsc muszą nadal być czyste, nie skażone, tak jak kraina, która leżała teraz wokół niego. Pożądał jej głodem, ogniem takim, jaki zawsze płonął w jego lędźwiach. Roześmiał się wtedy, bo wydało mu się, że może to mieć.

Muzyka grała cicho, może zbyt rzewnie i wypełniła go.

X

Nad ranem, ciągle jadąc szosą, był już na terenach noszących niegdyś nazwę Indiana. Zabudowania gospodarcze, które teraz mijał, wyglądały na nieźle zachowane i mogli w nich nawet mieszkać ludzie. Miał wielką ochotę to sprawdzić, ale bał się zatrzymać. Po godzinie jazdy, krajobraz zaczął się degenerować.

Trawy były coraz niższe, coraz bardziej wysuszone, wreszcie znikły zupełnie. Gdzieniegdzie tylko nagiej gleby trzymało się kurczowo poskręcane drzewo. Poziom promieniowania zaczął znowu wzrastać i z oznak tych Tanner wywnioskował, że zbliża się do Indianapolis, które jako duża metropolia, musiało ulec zniszczeniu.

No i nie mylił się.

Aby je okrążyć, musiał zboczyć z trasy daleko na południe. Wrócił z powrotem na szosę w miejscowości o nazwie Martinsville, aby tam przeprawić się przez White River. Znalazłszy się na drugim brzegu, ruszył na wschód i wtedy radio zatrzeszczało i przemówiło przytłumionym głosem, powtarzając wezwanie:

– Niezidentyfikowany samochód, zatrzymać się!

Tanner przełączył wszystkie skanery na zasięg teleskopowy. Daleko przed sobą, na szczycie wzgórza, dostrzegł człowieka z lornetką i krótkofalówką. Nie potwierdził odbioru transmisji i pędził dalej.

Gnał środkiem znajdującego się w przyzwoitym stanie pasa autostrady, zwiększając stopniowo szybkość z czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, chociaż protesty opon kaleczonych o popękaną nawierzchnię były tak głośne, że obudziły Grega.

Tanner nie odrywał wzroku od szosy, gotowy w każdej chwili do odparcia ataku, a radio, głośniej teraz, gdy zbliżyli się do wzgórza, powtarzało bez ustanku wezwanie do zatrzymania się i żądało potwierdzenia odbioru.

Wszedł w łagodny zakręt kładąc stopę na hamulcu i nie odpowiadając Gregowi, który chciał wiedzieć co się stało.

Ujrzawszy tarasujący drogę czołg z wielkim działem skierowany wprost na niego, zareagował natychmiast.

Podczas gdy oczy szukały luki, którą mógłby się prześliznąć i znalazły ją, prawa ręka odpaliła trzy rakiety przeciwpancerne, lewa skręciła kierownicę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, a stopa spadła ciężko na pedał gazu.

Czołg wypalił z działa, ale samochód był już lewymi kołami poza szosą i podskakując na nierównościach terenu pędził poboczem, wzdłuż krawędzi przydrożnego rowu. Ognisty pocisk chybił celu.

Ominąwszy blokujący drogę czołg, Tanner wprowadził wóz z powrotem na szosę i przyspieszając pomknął przed siebie. Ścigały go serie z broni maszynowej. Greg posłał po jednym granacie na prawo i na lewo, a potem otworzył ogień z pięćdziesiątek. Oddaliwszy się na ćwierć mili od zasadzki, Tanner, nie zmniejszając szybkości, podniósł mikrofon, powiedział: „Przepraszam za to co się stało. Hamulce mi nawaliły" i odwiesił go z powrotem. Odpowiedź nie nadeszła.

Gdy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, zapewniającej dobrą widoczność na wszystkie strony, Tanner zatrzymał wóz i za kierownicą usiadł Greg.

– Jak myślisz, skąd mieli takie uzbrojenie?

– Kto ich tam wie.

– A dlaczego nas zatrzymywali?

– Nie wiedzieli co wieziemy... A może chodziło im o nasz samochód.

– Psiakrew! Piekielny sposób sobie wynaleźli, żeby go zdobyć.

– Jeśli oni nie mogli go mieć, to dlaczego my mielibyśmy go sobie zatrzymać?

– Znasz ich sposób myślenia, prawda?

– Znam.

– Masz, zapal.

Tanner skinął głową i przyjął od Grega papierosa.

– Było gorąco, co?

– Nie będę się spierał.

– ... Mamy jeszcze przed sobą kawał drogi.

– Tak, i dalego ruszajmy.

– Mówiłeś niedawno, że nie wierzysz, że uda nam się dojechać.

– Zrewidowałem swoją opinię. Teraz myślę, że dojedziemy.

– Po tym wszystkim przez co przeszliśmy?

– Mimo wszystko przeszliśmy przez to.

– Co nas jeszcze czeka na trasie?

– Tego nie wiem.

– Ale z drugiej strony, wiemy czego możemy się spodziewać tam, skąd przyjechaliśmy. Wiemy teraz jak uniknąć wielu z tych niebezpieczeństw.

Tanner skinął głową.

– Próbowałeś raz nawiać. Teraz cię za to nie winię.

– Zaczynasz się bać, Greg?

– Nic nie będę wart dla mojej rodziny jeśli zginę.

– No to po co zgodziłeś się jechać?

– Nie wiedziałem, że tak będzie. Ty byłeś rozsądniejszy, bo wiedziałeś czego się można spodziewać.

– Wiedziałem.

– Jeśli nie dojedziemy, nikt nie może nas za to winić. Mimo wszystko próbowaliśmy.

– A co z tymi ludźmi z Bostonu, o których wygłosiłeś mowę?

– Oni do tej pory już chyba nie żyją. Epidemia nie będzie czekać, no nie?

– A co z tym gościem Bradym? Umarł, żeby przynieść nam wieści.

– Próbował i Bóg mi świadkiem doceniam to, ale my straciliśmy już trzech kumpli. Czy teraz mamy tę liczbę powiększyć do pięciu tylko po to, żeby pokazać, że wszyscy próbowaliśmy?

„NIE LUBIĘ UJAWNIAĆ SEKRETÓW SWEGO PRYWATNEGO ŻYCIA"

Z Rogerem Zelaznym rozmawia Paul Walker

Roger Zelazny i Samuel R. Delany byli w latach 60-tych najbardziej cenionymi autorami SF. Wymieniam ich obu jednym tchem, gdyż mówienie o każdym z osobna jest chyba niemożliwe. Wprawdzie nie napisali wspólnie żadnej powieści, ale ich umysły i wyobraźnie zdawały się być wzajemnie powiązane: obu cechował wspaniały styl, obaj wzbogacili tradycyjną science fiction o elementy fantazji, co więcej, dodali akcenty klasycznej mitologii zachodniej i Dalekiego Wschodu, obaj wreszcie reprezentowali najwyższy standard literacki, również w gatunku „fantasy". W sposób niezwykle efektowny przerzucili pomost pomiędzy tradycyjną SF a „Nową Falą", odnawiając tym samym formułę poważnej SF. A ściśle mówiąc, to dzięki nim inni pisarze stali się tymi odnowicielami. I wreszcie obaj potrafili dostarczyć swym czytelnikom porcję dobrej rozrywki.

P: Proszę opowiedzieć coś o sobie.

O: Urodziłem się 13 maja 1937 r. Pierwszy stopień akademicki uzyskałem w 1959 r. na Western Reserve University. Następnie przeniosłem się na uniwersytet w Columbii i w 1962 obroniłem tam pracę magisterską z filologii angielskiej i literaturoznawstwa. Przez siedem lat, od 1962 do 1969, pracowałem w Ohio jako przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej. Ostatnie cztery lata spędziłem w Zarządzie Głównym tej instytucji, w Baltimore, w dziale odszkodowań. Mam żonę Judy i syna Devina.

P: Chwileczkę, przerwę panu. Idźmy śladem krytyków psychoanalitycznych i biografów. Co pan powie na temat swoich urazów z czasów dzieciństwa?

O: Nic. Uważam, że tekst powinien być rozpatrywany i analizowany niezależnie od osoby autora, który go napisał.

P: Ale teraz siedzi pan przede mną! Wiem, skąd wzięły się u pana tego rodzaju poglądy. Jeszcze na uniwersytecie związał się pan z tak zwaną „Nową Krytyką", która głosi, że podczas interpretacji utworu należy trzymać się ściśle tekstu i nie zawracać sobie głowy jego autorem. A to pachnie dekadencją z przełomu wieku, symbolizmem... Pan, który studiował tak długo psychologię, wie przecież, że pisanie jest formą zachowania, a zatem zdradza charakter piszącego.

O: Naturalnie.

P: Proszę więc opowiedzieć o swoich kluczowych przeżyciach z czasów młodości.

O: Nic z tego.

P: Dlaczego?

O: Ponieważ nie lubię ujawniać sekretów swego prywatnego życia.

P: Czyżby nieśmiałość?

O: W pewnym stopniu. Mam zwyczaj rozdzielać pisanie od spraw życia prywatnego. Ostatecznie zarabiam na chleb, łącząc cząstki swej duszy w zmienionej formie. Cała reszta powinna być pozostawiona mnie.

P: Czy należy przez to rozumieć, że uważa pan „Nową Krytykę" za rodzaj korzystnej ucieczki od psychoanalizy?

O: Częściowo tak. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem krytyki literackiej odnoszonej do autora. Schiller trzymał zawsze w szufladzie biurka nadgniłe jabłko. Pracując wysuwał czasem szufladę, aby poczuć jego zapach. Czy taka wiadomość pozwoli komuś lepiej poznać twórczość autora?

P: Świadczy o tym, że Schiller lubił zapachy. Nie pamiętam, czy jakiś ślad jest z tego w „Wilhelmie Tellu"...

O: Ja też nie. Ale ta anegdota mówi jedynie coś o samym Schillerze, a nie o jego twórczości.

P: Czy ma to jakiś związek z rozróżnianiem autowrażenia i komunikowania?

O: Cieszę się, że zadał pan to pytanie. Podoba mi się sposób pańskiego myślenia. Tak, przyznaję panu rację. Komunikacja jest formą autowypowiedzi, lecz nie odwrotnie. To co robię, to komunikacja z czytelnikiem, a nie wyrażanie własnej osobowości. Jedno i drugie łączy się ze sobą w każdym tekście o znamionach fantastyki. Ale w swoich opowiadaniach czy powieściach obnażam tylko tyle z własnej osobowości, ile uważam za stosowne. Jeśli książka okaże się niewypałem, nie warto rozmyślać o niej długo, jeśli odniesie sukces, wszystko jest w porządku i nie trzeba żądać więcej.

P: Skoro jednak pewne tematy powracają u jakiegoś autora, ludzie zaczynają zastanawiać się: dlaczego? U pana wyczuwa się ciągoty do mitologii, nieśmiertelności i protagonistów, którzy nie zawsze cieszą się jednomyślnym poparciem czytelników. Czy zechciałby nam pan to wyjaśnić?

O: Nie.

P: No cóż, spróbujmy inaczej. Przez siedem lat zajmował się pan zawodowo świadczeniami socjalnymi, z tego trzy lata przeprowadzał wywiady z ludźmi – myślę że było ich tysiące – a cztery lata pisał pan listy, sprawozdania i wypełniał tabele. Sądzę, iż coś z tych niezliczonych rozmów pozostało w panu, a może przejął pan od swoich rozmówców jakąś charakterystyczną cechę?

O: Chciałbym, aby tak było.

P: A papiery, które musiał pan wypisywać w mozolnym żargonie biurowym – czy bardzo zaśmieciły pański styl lub sposób pisania?

O: Nie, nigdy nie łączyłem pracy biurowej z pisaniem. To była po prostu szczególna forma przekazywania wiadomości. Z mojej duszy nie było tam nic.

P: Czy przez te siedem lat pisał pan książki po pracy, wieczorami?

O: Tak. W tym samym miesiącu, kiedy zacząłem pracować w biurze, zająłem się poważnie pisaniem. To było w roku 1962. Od razu traktowałem obydwie części mojego życia uzupełniająco. Moim pierwszym opowiadaniem, które zdołałem opublikować, było *„Passion Play"*. Ukazało się w sierpniu 1962 r. w „Amazing Stories". Jeszcze wcześniej, w wieku jedenastu, dwunastu lat, napisałem chyba ze sto opowiadań, ale odesłano mi je z powrotem. Zerwałem z tą zabawą po ukończeniu szkoły średniej. W lutym 1962 zacząłem pisać ponownie.

P: Które opowiadania należą do pana ulubionych?

O: Moje „najlepsze" i „szczególnie ulubione" teksty nie pokrywają się ze sobą, ale mogą być nimi: opowiadanie *„For a Breath I Tarry"* i powieść *„Lord of Light"*.

P: Mówiąc o tym nawet się pan nie speszył...

O: To dlatego, że jest to opinia powszechnie znana.

P: W swojej pracy magisterskiej pisał pan o dramacie, a ściślej mówiąc o nieznanym dramturgu XVII wieku. Chciałbym zapytać, czy czuje pan wpływ teatru, a zwłaszcza teatru elżbietańskiego?

O: Owszem, tak. Język tamtej epoki, siła oddziaływania... tak, nie mogę zaprzeczyć temu twierdzeniu.

P: Czy można założyć, że jest to wpływ większy niż literatury współczesnej?

O: Trudno mi na to odpowiedzieć, ale chyba tak.

P: Co dla pana, jako pisarza oznacza pojęcie „język"?

O: Znaleźć właściwe słowo odpowiadające sytuacji w momencie, kiedy jest to niezbędne.

P: Co określa u pana dobór słów?

O: Własne uczucia. Zastanawiam się nieraz, dokąd to zmierza. Zdaję sobie sprawę, że książki, które wpłynęły na mój sposób pisania, przeczytałem już wiele lat temu. Nie chciałbym teraz rozwodzić się nad tym, jak kształtował się mój styl, ani nad wpływami, jakim podlegał. Od pewnego czasu mój styl sprawił sobie „grubą skórę", próbując rozwijać się dalej bez wpływów z zewnątrz. Jest to zjawisko typowe dla większości pisarzy. Po przekroczeniu tej granicy nabiera się odporności na obce wpływy.

P: Czy mógłby pan ocenić krytycznie swój własny styl?

O: Nie.

P: Czy są jeszcze jakieś tematy o których chciałby pan pomówić? Na przykład o sobie samym, o pisarstwie w ogóle, o science fiction.

O: Nie, nie sądzę. Myślę, że na tym skończymy.

[1972]

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

Wywiad z autorem, „Damnation Alley", który zamieszczamy na łamach naszego czasopisma (tytuł oryg. *„Roger Zelazny – interviewt von Paul Walker"*, (1978) został przedrukowany w drugim tomie „Heyne Science Fiction Magazin" (Hrsgb. von W. Jeschke), München 1982, s. 101–110.

(A. N.)



Andrzej Czechowski

Wyszliśmy na dużą przerwę po lekcji historii, ja i Rino. Lekcja miała temat: „Pierwsza Rekonstrukcja i Problemy Moralne". Dyskutowaliśmy już podczas lekcji i wyglądało na to, że całą przerwę też przegadamy.
Stanęliśmy przy ogrodzeniu, pod wielkim kasztanem. Drzwi szkoły otworzyły się znowu i parami wymaszerowali pierwszoklasiści. Rozbiegli się po boisku i zaczęła się zabawa w Ostatniego Człowieka. Zasady były nieskomplikowane, chodziło się w koło i śpiewało piosenkę:
Nie wiadomo skąd się wziął,
nie wiadomo po co.
Wróciliśmy do naszej rozmowy. W podręczniku było tak napisane: „Już wtedy korzyści z Rekonstrukcji musiały być oczywiste. Tym niemniej humaniści byli gotowi „wrócić na czworakach do lasu", jeżeli okazałoby się to niezbędne do uratowania ich koncepcji człowieka". Rino twierdził, że to nieprawda. Jego zdaniem konserwatyści nie mogli być aż tak niemądrzy. Przekonałem go, że byli.
– Weź takiego Don Kichota – mówiłem. – Przecież w jego czasach wiatraki były już znane. A on uważał, że to nieprzyjaciel. Albo weź takiego Arystotelesa.
Ale Rino uważał, że to zupełnie inna sprawa.
– Musieli mieć jakiś powód – powiedział w zamyśleniu. – Ja myślę, że chodziło im o serce. Czytałeś ich książki? Wszyscy pisali o uczuciach i o sercach.
– Co serce miało wspólnego z uczuciami? – zapytałem.
– Bo ja wiem? – powiedział Rino. – Biło raz tak, raz tak.



PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA...

Janusz Korwin-Mikke

„Szanowni koledzy! Otwieram dziewiąte w 23765 roku posiedzenie sekcji archeologii starożytnej. Przypominam, że wyróżnienie w okresie „starożytność" osobnej epoki zwanej „wczesną starożytnością" jest oryginalnym wkładem naszej sekcji w dzieło poznania dziejów ludzkości. Obecnie doc. dr 254/ADG/5796 przedstawi nam swe doniesienie o wykryciu w tej epoce zjawiska zwanego przez współczesnych „religią" czy „teligią". Uznaliśmy za stosowne poświęcić temu doniesieniu osobne posiedzenie. Głos ma dr 254/ADG/5796..."
„Szanowni koledzy! Epoka, o której będę mówił, jest ciekawym okresem tworzenia się kultur przedcywilizacyjnych. Omawiał ją już w swoim doskonałym referacie skonstruowany w III Instytucie Cyberbiologii prof. 374/ABG/3943. Przypomnę tylko, że nie raz w przekazach spotykaliśmy się ze wzmiankami na temat „Religii" czy „Teligii" (będę używał drugiej formy, gdyż jedyne dobrze zachowane źródło, „Przegląd Sportowy" z 1970 r. używa tej właśnie formy – pisząc ją – co świadczy o szacunku – z dużej litery: Teliga). Niestety na przeszkodzie pracom stanął brak funduszy i czasu – dopiero odkrycie pracy pierwotniaka Cawleya z 2065 r., w której przewidywał on, że ludzkość wymrze (i zastąpią ją „bezduszne" – nie wiemy na razie, co dokładnie znaczy to słowo – roboty) z braku pierwiastka irracjonalnego połączone z ustaleniem, że „teligia" była zjawiskiem ponad wszelką wątpliwość pozaracjonalnym, wywołało zwiększone zainteresowanie naszymi badaniami.
Szanowni Koledzy! Otrzymawszy fundusze rozpocząłem wykopaliska i ich wynik przeszedł wszelkie oczekiwania! Właśnie na ekranie widzicie koledzy szczątki świątyni głównej sekty działającej w XX wieku a zwanej „furiolistami" czy „furbolistami" – jak Kolegom wiadomo, transkrypcja liter starożytnych nie jest jeszcze dokładnie opanowana.
Obiekt, usytuowany w obrębie – ale nie w centrum, to bardzo ważne! – miasta, mógł pomieścić ponad 160 tysięcy opanowanych szałem teligijnym pierwotniaków. Jak można wnioskować z zachowanych przekazów, arena pośrodku służyła do starcia dwóch sił: dobra i zła, przy czym każdą reprezentowało po 11 przyodzianych w rytualne szaty pierwotniaków. Wzory stroju widzą Koledzy na ekranie, kolory bywały – jak się wydaje – zmienne, jeśli pominąć Głównego Kapłana odzianego zawsze w czerń. Wydaje się, że był to tradycyjny strój kapłanów owych czasów, używany jednak tylko na arenie – gdyż poza areną nosili oni szaty również czarne, ale zamniast spodenek spowici byli w sięgającą do ziemi tkaninę.
Główny Kapłan wyposażony był w rodzaj świstawki, używanej wówczas, gdy kapłani pomocniczy nie przestrzegali rytuału. Towarzyszył temu gniewny ryk tłumów, wszelako sekta ta rzadko składała ofiary z ludzi – co nie jest prawdą, gdy idzie o sektę „ioxerów", o której za chwilę.
U „furiolistów" kapłani pomocniczy służyli do skierowania „balla" („baala"?) w stronę ołtarza jednej ze stron. „Baal" był taką świętością, iż nikomu nie wolno było dotknąć go ręką – używano w tym celu nogi przyodzianej w specjalny but chroniący „baala" przed zetknięciem się ze stopą. Umieszczenie „baala" na ołtarzu wywoływało ekstazę teligijną u wszystkich uczestników ceremonii. Na-

REKONSTRUKCJA

Zaczęliśmy się zastanawiać, ale nic z tego nie wychodziło. Rino usiadł pod drzewem, żeby poprawić swój dotleniacz. Pierwszoklasiści bawili się w najlepsze. Chodzili i śpiewali:

Jak to żyje, czego chce?
Głowa mu się chwiała,
Ręce dwie i nogi dwie
I był cały z CIAŁA.

Rino nie odzywał się, więc otworzyłem podręcznik i zacząłem oglądać kolorowe tablice anatomiczne. Na jednej z nich był człowiek sprzed Rekonstrukcji – wszystkie niepotrzebne organy były pomalowane na niebiesko. Druga przedstawiała jego Typowe Defekty i lepiej było na nią w ogóle nie patrzeć. Na następnej stronie był człowiek współczesny w trzech rzutach i w przekroju oraz projekty następnych Rekonstrukcji. Pokazałem je Rinowi.
– Bardziej mi się podoba ostatni projekt Forda – powiedział.
Pomyślałem, że nigdy naprawdę nie zrozumiem tych dawnych czasów. Oczywiście to nie moja wina: po prostu wtedy jeszcze nikt nie potrafił myśleć logicznie. Przypomniałem sobie, że właśnie ci, którzy najbardziej narzekali, nie chcieli się zmienić, kiedy przyszło do Rekonstrukcji. Pomyślałem, że Rekonstrukcja mogła im się nie podobać właśnie dlatego, że była koniecznie potrzebna; ale następne Rekonstrukcje będą już dla przyjemności. Wreszcie zacząłem myśleć o Ostatnim Człowieku, ale zaraz przestałem. To był temat wątpliwy moralnie.
Pierwszoklasiści śpiewali ostatnią zwrotkę:

Wędrowałby tak długo
Lecz coś się zdarzyło:
Znalazł sobie sznur i hak

– wszyscy parsknęli śmiechem –
WIĘCEJ ICH NIE BYŁO.

■

(O autorze: patrz „Słownik polskich autorów fantastyki" na str. 48)



miętności związane z kultem „baala" były olbrzymie – jak wydają się wskazywać najnowsze badania kolegi dr. 111/AFZ/8561, w 1970 roku doszło nawet do wojny teligijnej pomiędzy pierwotniakami z Salwadoru i Hondurasu.
Równie ciekawe były obyczaje sekty „ioxerów". Wierzyli oni, że dobro i zło muszą zetrzeć się ze sobą bezpośrednio. Stąd dziesięciu lub jedenastu (u „furiolistów" jedenasty kapłan również był w pewnym sensie wyjątkiem – patrz monografia prof. 374/ABG/3946 pt. „Magiczne znaczenie liczb „10" i „11" u starożytnych") kapłanów wychodziło kolejno na „ting" (rodzaj małej areny) i okładało się pięściami uzbrojonymi w kule zrobione z podobnego materiału co „baal". Bardzo często jeden z nich bywał bezpowrotnie wyłączany (jak wiadomo, pierwotniacy byli zbudowani z nietrwałego białka).
Widzowie witali każdy upadek kapłana owacją. Wydaje się, że wierzyli oni w coś na kształt życia pozagrobowego i mniemali, że śmierć na „tingu" zapewnia zbawienie wiekuiste, podobnie jak Indianie z Ameryki z radością witali śmierć w walce.
Niekiedy napotykaliśmy przekazy o tzw. „zakonach", w szczególności „zakonach kontemplacyjnych". Dopiero jednak tydzień temu znaleźliśmy niezbite dowody istnienia „zakonu" szakistów, którzy odtwarzali walkę dobra i zła symbolicznie i figuralnie na tzw. szakownicy (nb. też wywodzącej się z Azji) w całkowitym milczeniu Zajmowali się oni metafizycznymi rozważaniami o owej tajemniczej „duszy" czy „duchu" – przy czym wydaje się, że według pierwotniaków istniały „duchy obrony" i „duchy ataku", o czym świadczy przechowywane powiedzenie Wielkiego Szakisty Rybaka o Wielkim Szakiście Spasskim („Zbawicielu"?): „On nie rozumie ducha obrony Nimtzowitscha".
Na terenie tzw. Słowiańszczyzny (Wschód Europy) istniał ciekawy kult Światowida. Jego wyznawcy zwani „bryżystami z portowymi" („bryż" – to most, a „port" to przystań dla statków) siadali przy zielonym stoliku tak, by twarzami patrzeć w cztery strony świata i dla pokazania, że nad losami świata panują, tasowali dowolnie królów i królowe, które nb. przez Szakistów chętnie były składane w ofierze dla obrony króla (zwyczaj ten wywodzi się z Indii, patrz również „obrona staroindyjska" – termin szakistów). W Indiach zresztą nie tylko królowe, ale i zwykłe kobiety często w szale teligijnym rzucały się na stos, gdzie płonęły zwłoki ich zmarłych mężów.
Wychowanie teligijne święciło tryumfy – ale teligia wywierała szkodliwy wpływ na życie narodów, odcinając umysły od spraw sztuki, polityki i nauki, doprowadzając do niemal zupełnego upadku tych dziedzin. Na tym chciałbym chwilowo zakończyć, jeśli koledzy pozwolą?"
„Serdecznie dziękuję doc. dr. 254/ADG/5796 za tak frapujące doniesienie i otwieram dyskusję..."

■

Janusz KORWIN-MIKKE
(ur. 27.10.1942 r. w Warszawie). Zrazu student matematyki, kończy studia jako magister z filozofii. Dyplom uzyskuje na Uniwersytecie Warszawskim w 1968 r. Specjalności: teoria podejmowania decyzji, socjocybernetyka, polityka, publicystyka. Liberał i brydżysta.

Czechowski Andrzej

(1947 –)

Fizyk, literat, autor SF

Urodził się 21 lutego 1947 r. w Słupsku. Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego wstąpił na Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Po dwóch latach studiów został skierowany na Wydział Biofizyki Uniwersytetu Moskiewskiego. Po powrocie do kraju zajął się problemami fizyki teoretycznej. Obronił pracę doktorską w Instytucie Fizyki Teoretycznej U.W., gdzie obecnie pracuje.

Jako pisarz SF zadebiutował w roku 1962 opowiadaniem **„Człekokształtny"**, które uzyskało pierwszą nagrodę w konkursie rozpisanym przez redakcję „Młodego Technika". W latach 1962–1978 opublikował kilkanaście dalszych opowiadań (wszystkie drukowane w „Młodym Techniku"), a w 1974 r. został laureatem kolejnego konkursu tego miesięcznika (nagroda za utwór **„Ambasadorowie")**.

W 1967 r. ukazał się, jedyny jak dotąd, zbiór opowiadań A. Czechowskiego **„Przybysze"** („Nasza Księgarnia", Warszawa 1967; zawartość: „Wieża Babel", „The Beatles", „Czasy trzycalowych befsztyków", „Prawda o Elektrze", „Byłem mundurem pana pułkownika", „90 000 000 km od Słońca", „Człekokształtny", „Sekcja generała Hoffmana", „Przybysze"). Wybrane teksty tego autora były przedrukowywane m.in. w następujących zbiorach i antologiach: „Kroki w nieznane" (Wyd. „Iskry"), „Stało się jutro" („Nasza Księgarnia"), „Wołanie na Mlecznej Drodze" („Nasza Księgarnia").

Andrzej Czechowski został dość szybko dostrzeżony przez odbiorców literatury przyszłościowej, a przez niektórych krytyków mianowany „następcą Lema", prekursorem fantastyki socjologicznej lat 60-tych. Jest w tej opinii nieco patosu i przesady. Tematyka utworów, w których przebłyskuje iskra prawdziwego talentu narracyjnego, nie stanowi jakiejś istotnej rewelacji. Budzi jednak szacunek dojrzałość tych opowiadań, zwłaszcza, że pisał je nierzadko autor zaledwie kilkunastoletni. Odnajdujemy w nich świadomą rezygnację z fascynacji techniką i nauką przyszłości („Prawda o Elektrze"). Odkrywamy charakterystyczną kpinę z człowieka, który w złudnej nadziei samodoskonalenia popełnia wciąż te same błędy, powtarza sam siebie, zatraca poczucie tożsamości, zdroworozsądkowego oceniania świata („Człekokształtny", „Rekonstrukcja"). Pojmujemy pełną goryczy drwinę z hołdowania normom i nakazom światopoglądowym, nad wyraz stabilnym w literackich, fantastyczno-naukowych pierwowzorach („Ambasadorowie", „Najdalsza podróż..." „Przybysze"). Humor graniczy tu z nastrojem śmiertelnej powagi, przeczuciem grożącego niebezpieczeństwa, któremu człowiek, uzbrojony w najnowsze osiągnięcia myśli technicznej, nie może stawić czoła („90 000 000 km od słońca").

Specyficzną cechą twórczości Czechowskiego jest oszczędność środków wyrazu: celna pointa, zaskoczenie, operowanie skrótem, przenośnią, niedopowiedzeniem. Autor kreśli, na długo przed „Robotem" A. Wiśniewskiego-Snerga, groteskowy obraz społeczeństwa dobrobytu, w którym wola poznania, interpretacji zjawisk otaczającego świata ustąpiła przed presją przystosowania, poddania odgórnym nakazom sterowniczym. Zwartością formy celuje zwłaszcza „Rekonstrukcja": tragizm biologicznych przeobrażeń człowieka zostaje ukazany poprzez zmianę norm obyczajowych, w krótkiej, z pozoru żartobliwej, piosence dziecka.

Bibliografia

– A. Maślankiewicz *„Następca Lema pochodzi ze Słupska"* (w) „Głos Koszaliński" 1967/145,
– St. Zieliński *„Artykuł zastępczy, czyli Marsjanie wśród pisanek"* (w) „Kultura" 1967/13,
– H. Skrobiszewska *„Książki naszych dzieci"* Warszawa 1971.

Czyżowski Kazimierz Andrzej

(1894–1977)

Dramatopisarz, autor książek dla młodzieży

Urodził się 28 lutego 1894 r. w Niżnowie nad Dniestrem w rodzinie inteligenckiej. Syn Feliksa i Gabrieli z Irodenków. Studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1914–1921 służył w Legionach. Brał udział w powstaniach górnośląskich. W roku 1921 zwolniony z wojska w stopniu porucznika. Od 1934 do 1939 r. pracuje jako kierownik prasy i propagandy w Dyrekcji Monopolu Tytoniowego oraz w Państwowej Radzie Spółdzielczej. W latach 1935–1938 jest redaktorem tygodnika „Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza", nawiązuje współpracę z pismami „Spólnota" i „Społem". Pełni funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego Pracowniczego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego. Po wybuchu wojny pozostaje w stolicy, podejmując walkę podziemną z okupantem. Aresztowany w lipcu 1940 roku, zostaje skazany na dożywotnie ciężkie roboty. W 1942 r. ucieka z więzienia i ukrywa się pod nazwiskiem Adama Kotowskiego, współpracując z Armią Ludową. Po wyzwoleniu powraca do działalności społeczno-politycznej: organizuje m.in. Stronnictwo Demokratyczne w Piotrkowie Trybunalskim, jest wiceprzewodniczącym tamtejszej Rady Narodowej, członkiem Rady Naczelnej Stronnictwa Demokratycznego, a w styczniu 1947 r. zostaje wybrany posłem na Sejm Ustawodawczy. W roku 1953 organizuje biuro wydawnictw „Biblioteka Zawodowa", w 1955 – Spółdzielnię Pracy „Znak". Jest członkiem Zarządu Spółdzielczej Centrali Rzemieślniczej.

Umiera w Warszawie 20 lutego 1977 r.

K. A. Czyżowski, autor kilkunastu utworów dramatycznych, debiutował w roku 1912 jednoaktówką „Lipsk" (wystawiona w Krakowie, w reż. L. Solskiego). Napisał m.in. „Ulicę dziwną" (dramat w 3 aktach, prapremiera 1922), „Sylwestrowe błazny" (prapremiera 1923), „Zapomniany zegar" (prapremiera 1926), „Zawalidroga" (prapremiera 1965). Niemal wszystkie powieści o tematyce podróżniczej, w tym kilka z pogranicza fantazji i nauki, dedykował młodzieży: **„Maciek I-szy król powietrza"** (Warszawa 1924, wyd. 2 – Warszawa 1925, wyd. 3 – Warszawa 1958; przekł. włoski: I. Borie, Bolonia 1928), **„Maciek na biegunie"** (Warszawa 1925); **„Szalony lotnik"** (powieść fantastyczna, Lwów 1925, „Biblioteka Iskier", t. 6), **„Napowietrzni ludzie"** (powieść fantastyczna, w: „Iskry" 1928/10–28), **„Mak, syn Błękitnego Pułku"** (Warszawa-Wilno-Lublin 1939).

Swoje artykuły i powieści ogłaszał m.in na łamach „Biesiady" (1924/25), „Gazety Polskiej" (1932), „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" (1922), „Iskier" (1926/27, 1929), „Kuriera Porannego" (1924, 1930, 1939), „Płomyka (1946/47), „Żołnierza Polskiego" (1918–1919).

Przygodowe, „lotnicze" opowieści Czyżowskiego przez długie lata cieszyły się niesłabnącym zainteresowaniem czytelników. Proste, przejrzyste schematy fabularne, czarno-białe sylwetki bohaterów, mrożące krew w żyłach sytuacje, sprawiały, że te pozbawione większych ambicji literackich utwory, znikały błyskawicznie z półek księgarskich. *„Bardziej przeżywam rzecz tworzoną na scenę, ale milsze i wdzięczniejsze jest mi pisanie dla młodzieży i dzieci, które bardzo kocham"* – przyznawał w jednym z wywiadów autor „Napowietrznych ludzi". Młodocianych odbiorców powieści Czyżowskiego zjednywała sylwetka ich literackiego rówieśnika, 13-letniego Maćka, który w zatępstwie chorego ojca zasiadał za sterami „nowego typu samolotu", podróżując po świecie i dostarczając „niezmiernie ważnych informacji" szefom zaprzyjaźnionych państw. Ze wszystkich opresji i zagrożeń (zagubienie trasy podczas lotu, groźny sztorm, pobyt w niedostępnych dżunglach Afryki) kilkunastoletni supermen znad Wisły wychodził bez najmniejszego zadraśnięcia, rozsławiając imię Polski daleko poza granicami swojego kraju. Do najciekawszych pomysłów Czyżowskiego należy hipoteza „napowietrznych miast" postawiona na kartach „Szalonego lotnika", będąca projektem dość oryginalnym i w tonie polskiej science fiction nietypowym. Co istotniejsze, wypowiedź Czyżowskiego poprzedza o blisko trzy lata wydanie sensacyjnej powieści → W. Niezabitowskiego „Ostatni na Ziemi" (1928), osnutej na podobnej koncepcji kataklizmu przyrodniczego i dostrzeżonej nawet przez „poważną" krytykę literacką (K. Czachowski, I. Fik). Zmiana adresu czytelniczego umożliwiła rezygnację z happy endu na rzecz katastroficznego przesłania utworu, ale zbieżności fabularne (zwłaszcza w planie opisu zachowania mieszkańców naszej planety wobec rychłego końca świata) są, mimo wszystko, wyraźne i stanowią ciekawy przykład literackich wędrówek motywów popularnych.

Bibliografia

Ogólna:

– *„Słownik polskich pisarzy współczesnych"* red. E. Korzeniewska, t. I, Warszawa 1963,
– *„Rozmowa z K. A. Czyżowskim"* (w) „Trybuna Mazowiecka" 1957/213,
– *„Rozmowa z K. A. Czyżowskim"* (w) „Ekspress Wieczorny" 1957/108,
– (...) „Tygodnik Demokratyczny" 1960/6,
– (...) „Kurier Polski", 1971/301,
– (...) „Teatr" 1977/8.

Recenzje wybrane:

„Maciek I-szy król powietrza":
– Z. Szmydtowa *„Z książek"* (w) „Bluszcz" 1925/2,
– „Nowe Książki" 1958/22.

■

„Szalony lotnik”

Kazimierz Andrzej Czyżowski

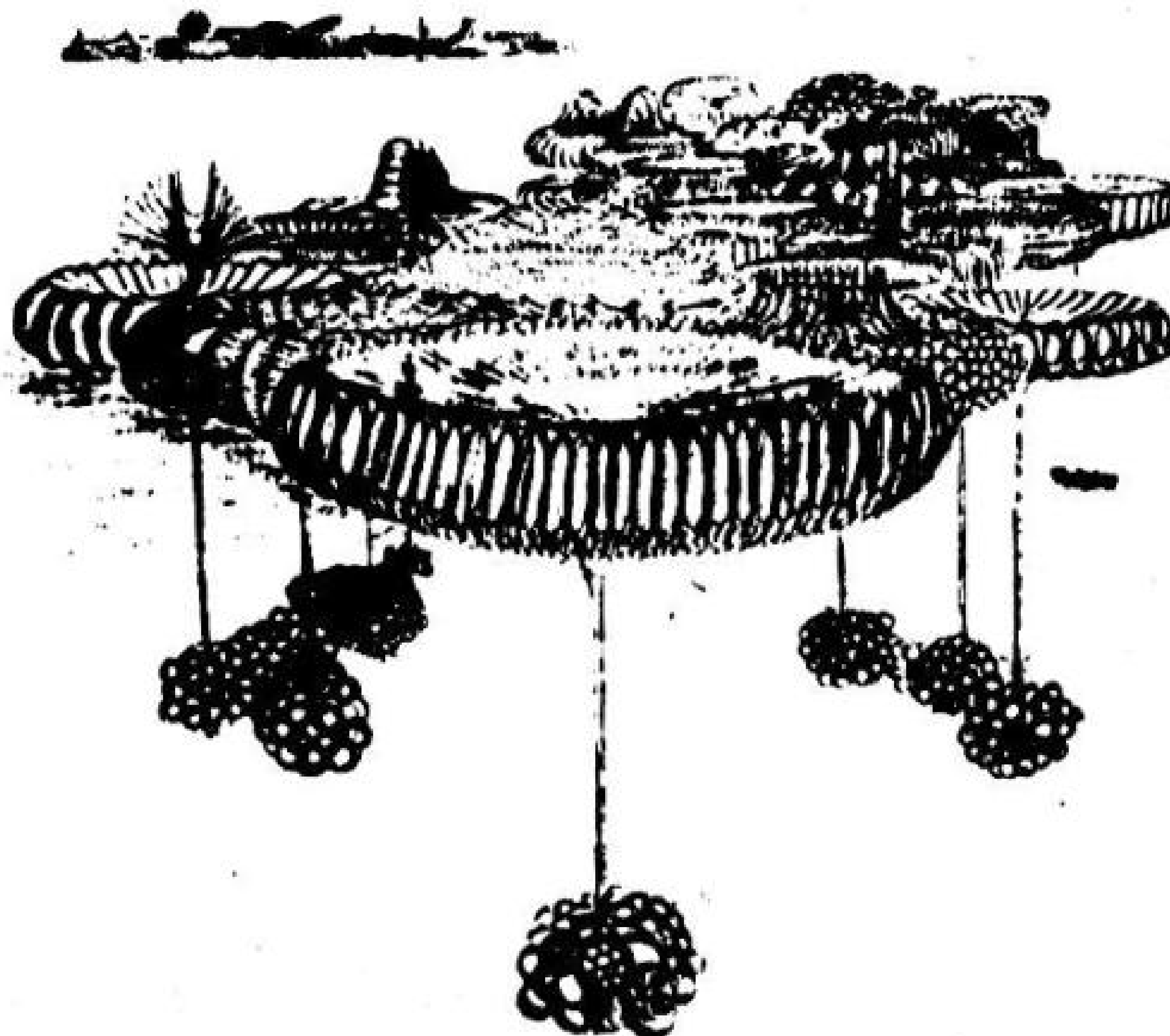
Od szeregu miesięcy z zapartym tchem cała ludzkość śledziła niesłychaną ewolucję w przyrodzie, niespokojna nie tylko o swoje jutro, ale i o los matki-ziemi.
Obserwatoria astronomiczne i meteorologiczne, doświadczalnie geologiczne, stacje atmosferyczne porozrzucane po całym świecie, ze wszystkich stron nadsyłały zgodne wnioski, co do dalszych kataklizmów, oparte na niezawodnych rachubach i doświadczeniu nieomylnych przyrządów.
Pochód trzęsienia ziemi nie tylko nie ustawał, ale wzmagał się niemal z dnia na dzień.
Zdawało się, że nie ma żadnego ratunku, że żaden cud ludzkości nie wybawi, że wreszcie człowiek, po tylu tysiącach lat walki z przyrodą i ujarzmianiu jej, padnie zmiażdżony jej kolosem, spalony jej lawą.
Cóż z postępu? Cóż z tego, że człowiek wdarł się na szczyty cywilizacji? Cóż z genialnych wynalazków, pozwalających słyszeć i widzieć świat cały z zamkniętego pokoju? Cóż z samolotów wznoszących się z każdego miejsca wprost w górę i pędzących z zawrotną szybkością 1000 km/godz?
Przyjdzie jedna fala, jeden wstrząs skorupy ziemskiej i całe miasta z przecudnymi hangarami dla samolotów na dachach domów, z wszechwiedzącymi wieżycami radiostacji i z całym komfortem elektrycznych wygód runą w gruzy lub w bezdeń jakiegoś otwierającego się krateru, opadną w straszliwe zatracenie...
Potworna psychoza opętała mózg ludzkości, zastraszonej swą niemocą i maleńkością wobec idących wydarzeń.
Tysiące procesji obchodziło miasta i wsie (...) obnosząc słowa i natchnienia wiary w idący Sąd Ostateczny, koniec świata i życie pozagrobowe (...).
Tłumy najrozmaitszych sekciarzy nawoływały do zatracenia się ludzkości. Nauka i wiedza, cywilizacja, kultura i sztuka obrzucone były pogardą. Nie było uczonych i artystów dla tłumu. Był tylko on jeden, szary, szalony, przerażony i obłąkany tłum.
Cień śmierci zdawał się kłaść na całą Ziemię i dusić sobą i tylko ku sobie zniewalać...
A równocześnie z wyjałowionej bezpracą ziemi podnosił się głuchy szmer głodu. Krok za krokiem, jak cień rozpaczy i beznadziei, szedł mór i głód. Krok za krokiem zbliżał się koniec...

* * *

Dookoła długiego stołu siedzieli pochyleni ludzie i z uwagą słuchali słów (mówcy). W jednych oczach czaiło się powątpiewanie, w innych przerażenie, a jeszcze w innych gorzała siła i chęć czynu (...).
Andrzej Lot wpijał swe oczy stalowe w ich szary, bury i nijaki wzrok i mówiąc do wszystkich, mówił do każdego z osobna: – Słyszeliście cyfry i wyznania, o których, gdyby się tłum szary dowiedział, oszalałby z rozpaczy. Niech zatem ani jedno słowo stąd przed czasem nie dojdzie do jego uszu. Wy, bankierzy i magnaci, przemysłowcy i milionerzy tego świata, albo policzcie i zużyjcie ostatnie dni swego panowania, albo wysypcie swe skarby na jeden stos i mózgi w jeden mózg złączcie, aby myśl o ratunku dojrzała w sam ratunek.
– Jaki? Gdzie on jest? – zaszemrały westchnieniem słowa nad podłużnym stołem.
– Udało mi się dzięki przypadkowi uczynić wynalazek, który nie tylko nas samych, ale ludzkość całą zbawić od zagłady może.
– Mów! Jaki?
– Wiecie, żem lotnik i że nad ujarzmieniem powietrza pracuję od wielu lat.
– Wiemy! Wiemy!
– Mój wynalazek jest niezmiernie prosty. Odkryłem możliwość budowania całych miast i osad zawieszonych w powietrzu...
Usta Andrzeja ciskały słowa krótkie i tak konkretne, że się zdawało: w ręce je można pochwycić.
Ręce jego, w każdym ruchu obliczone, na tablicy pisały cyfry i znaki niezaprzeczalne (...)
– Olbrzymie platformy o konstrukcji żelazo-betonowej, jako podstawy tych miast, będą spoczywać na potężnych żyroskopach niwelujących ciśnienie, u góry zaś wisieć na całym systemie śrub i skrzydeł pozwalających im dowolnie zmieniać ruch, jego kierunek oraz wysokość położenia.
Każda z platform będzie posiadać swoją halę maszyn i urządzeń technicznych oraz płaski, ogólny dom mieszkalny, ewentualnie cały zespół domów, napowietrznych fabryk, warsztatów, magazynów i najkonieczniejszych instytucji.
Tych platform musi powstać, w możliwie najkrótszym czasie, jak największa liczba. Będą one podzielone wg wielkości i przeznaczenia na kilkanaście rodzajów. A więc na osady ludzkie, napowietrzne, sztuczne osady rolne, przemysłowe, ratownicze, techniczne, rezerwowe itd.
Prócz platform powstanie cała armia sterowców i samolotów przeznaczonych do szybkiej komunikacji pomiędzy platformami, które powinny zawisnąć w atmosferze ziemskiej dookoła całego globu.
Najważniejszy dział pracy to wypróbowanie mojego wynalazku, tzw. „wiecznego motoru”. Jego sednem jest umiejętność przemiany energii słonecznej na energię ruchu. Zdobycie tej umiejętności oznacza wyzwolenie z zależności od sił, których źródłem jest Ziemia.
Przemieniaczami energii słonecznej będą cudowne transformatory (...), uzyskana przy ich pomocy siła będzie tak potężna, że ledwo jej część zebrana w centrali wszystkich płaszczyzn, aż nadto wystarczy do poruszania i utrzymania w przestrzeni całego świata napowietrznego przez długie lata, aż do wyczerpania zapasu surowców i zniszczenia materiału samych płaszczyzn...
Już północ dobiegała, gdy skończył się wykład Lota i pokaz modeli. Inżynierowie pojęli i głowy kornie pochylili przed geniuszem. Prawda jego odkrycia nie ulegała najmniejszej wątpliwości.
Tej nocy sygnały sejsmografów nie były już sygnałami bezapelacyjnej śmierci...

Biblioteka „Iskier”, Książnica – Atlas, Lwów – Warszawa 1925 (fragm.)

Przygotował
Andrzej Niewiadowski



Architektura jutra William Katarolos USA

NIELUDZKI ŚWIAT ARGOLANDU

„Limes inferior" jest chyba najlepszym utworem Zajdla, jaki do tej pory czytałem. Doskonale obmyślona fabuła idzie tu w parze z bardzo dobrym opracowaniem literackim, ciekawymi koncepcjami socjologicznymi i etycznymi.

Nieludzki, skomputeryzowany świat Argolandu jest odsłaniany przed czytelnikiem stopniowo, krok po kroku, i w miarę, gdy uzyskujemy pewien etap poznania, okazuje się, że jest to jednocześnie rozpoczęcie nowego etapu zagadki, że zmienia się ocena, wartość opisywanych zjawisk, przewartościowaniu ulegają nasze opinie – i tak aż do ostatniego, kulminacyjnego momentu. Do tego schematu rozwoju fabuły świetnie dostosowana jest postać głównego bohatera – Sneera, cwaniaka – „liftera" (tj. człowieka ułatwiającego zmianę grupy zaszeregowania intelektualnego). Ten kombinator – początkowo czujący się jak ryba w wodzie w sytemie rygorystycznie respektowanych (przynajmniej z pozoru) klas, wszechwładnie panującego Klucza, dającego dostęp do określonych dóbr w zależności od posiadanej klasy – stopniowo zaczyna zdobywać coraz większą świadomość, zaczyna swój nietuzinkowy intelekt wykorzystywać nie tylko w celu zgromadzenia określonej ilości „żółtych" punktów, ale również w celu poznania i zrozumienia mechanizmu otaczającego go świata. I co nie bez znaczenia – przejście od stadium pasożyta do stadium człowieka obdarzonego pełną świadomością i poczuciem konieczności działania, w każdym etapie metamorfozy jest logicznie uzasadnione, spójne wewnętrznie, podbudowane psychologicznie i stanowi punkt wyjścia do dalszych działań bohatera.

Godna podziwu jest inwencja autora, umiejętność z jaką skonstruował świat Argolandu, wszystkie oficjalne i nieoficjalne zasady jego funkcjonowania, powołał do życia całe skomplikowane środowisko przestępcze żyjące w symbiozie z hipotetycznie doskonałym systemem. Ten wykreowany świat jest w gruncie rzeczy szalenie spójny i konsekwentny. I co ważniejsze, jego mechanizm zostaje odsłaniany stopniowo, podczas biegu wydarzeń. Wszelkie odkrycia czynione są za pośrednictwem bohatera, jego działań, a nie dzięki interwencji wszechwiedzącego narratora. Nawet tam, gdzie konieczne było posłużenie się wywodem objaśniającym, został on wprowadzony w sposób naturalny, z poszanowaniem inteligencji i cierpliwości czytelnika. Nie bez znaczenia jest również fakt, że utwór zawiera spory ładunek myślowy, podejmuje ciekawe (i nie zawsze hipotetyczne) rozważania dotyczące systemu manipulowania społeczeństwem, etycznych ocen tego działania, jego uwarunkowań i konsekwencji. A że całość jest prowadzona w doskonałym tempie, z wyraźnie zaznaczonymi elementami sensacyjno-kryminalnymi i autentycznie wzbudza zainteresowanie dalszym rozwojem wypadków, nic dziwnego, że czyta się ją doskonale.

Nie znaczy to jednak, że jest to powieść bezbłędna, pozbawiona wszelkich niedociągnięć. Po pierwsze: Zajdel wprowadził dwa wątki poboczne – Filipa i Karla, i właściwie ich nie zakończył. Dobrze byłoby spojrzeć na postać Filipa nieco inaczej, rezygnując z autonomicznego charakteru pewnych scen, rozbudowując natomiast nieco wątek Karla, dzięki czemu lepiej wyszedłby kontrast z postacią Sneera. Po drugie: może lepiej byłoby uczynić zakończenie nieco bardziej konkretnym. Po nader realistycznej całości symbolizm ostatniej sceny jest trochę nie z tej sztuki. Oczywiście, są to sprawy dyskusyjne i przypuszczam, że 90% czytelników nie zwróci uwagi na nie przełykając powieść z wypiekami na twarzy.

Sławomir Kędzierski

■

Janusz A. Zajdel *„Limes inferior"* Iskry, Warszawa 1982.

● ●

KAIN W CZASOPRZESTRZENI DUNNE'A

Czytelnik polski, karmiony ostatnio przez wydawców fantastyką ciążącą ku sensacji, space operze, bajce, bądź ku przejrzystym w adresie dystopijnym metaforom, mógł doprawdy zapomnieć o istnieniu odmiany SF genetycznie najstarszej. Myślę o fantastyce biorącej na warsztat wynalazek, hipotezę naukową i wokół nich rozwijającej fabularną opowieść.

Zapewne, możliwościami nauki i techniki nie facynujemy się tak bezkrytycznie, jak przed laty. Po kolejnych rewolucjach naukowo-technicznych i w oczekiwaniu następnych, człowiek okazuje się nieodmiennie stworzeniem nieporadnym etycznie i życiowo, tyle że uzbrojonym w większą ilość coraz wspanialszych i coraz mniej bezpiecznych gadgetów. Nie mówię, że SF techniczna, SF naukowa przejadły się zupełnie, ale boomu na nie na pewno dziś nie ma, zwłaszcza że w dziedzinie tzw. naukowych pomysłów nastąpiło wyjałowienie; trudno tu dziś o propozycje niebałamutne. I w tej sytuacji, jeśli z radością wypadnie powitać na naszym rynku tom Bayleya grawitujący właśnie ku SF naukowej, to dlatego, że po pierwsze: autor naprawdę jest zafascynowany oryginalną hipotezą fizyczną, a po drugie: udało mu się szczęśliwie ominąć w powieści pułapkę naukowego monotematyzmu. Mówiąc nam sporo nowych i niepokojących rzeczy o naturze czasu i przestrzeni, autor zdołał równocześnie rozsnuć przed oczyma czytelników barwną sieć fabularnych wydarzeń. Główne role grają tu sprawiedliwie fizyka i człowiek, a raczej w ogóle istota myśląca.

W myśl koncepcji czasu Dunne'a, której wnioski Bayley rozwija, czas jest zjawiskiem lokalnym, możliwe więc jest istnienie wielu rzeczywistości, wielu biot czasowych znajdujących się obok siebie, nigdy się ze sobą nie stykających, bądź zagrożonych zderzeniem. Nie jest to oczywiście koniec fizycznych rewelacji. I tak np. koncepcja chwili obecnej jako czoła Fali Teraźniejszości wędrującej przez rzeczywistość, a także wynikające z tego wnioski dotyczące czasu przyszłego, będącego jakoby dziedziną form niedokończonych i spopielałych (nie ożywionych jeszcze Falą Teraźniejszości) – zyskują w wykonaniu Bayleya sugestywną ilustrację. Bayleyowskie podróże w czasie, Bayleyowskie czasoprzestrzenne sensacje wynikające ze zderzenia dwu strumieni czasów, są prawdziwie piękne i odchodzą znacznie od naiwnych wizji rodem z Wellsa i naśladowców. Bardzo blisko Wellsa jest natomiast Bayley wtedy, gdy przystępuje do opisu istot myślących, ich systemów politycznych, ich walk, niestałości i niekonsekwencji, ich braku otwarcia na nieszowinistyczne argumenty z zewnątrz. Na swój sposób zafascynowany kulturą chińską, w wizji zaludnionego przez Chińców Miasta Retorty, podzielonego na część konsumpcyjną i produkcyjną, daje przecież Bayley nieco tylko rozbudowaną i złagodzoną parafrazę wellsowskiej społeczności Morloków i Elojów.

Nie jest to zarzut. Przeciwnie. Jeśli z rzadka bywa Bayley nieprzekonywający, to tylko tam, gdzie zdaje się mówić: „oprócz nowej fizyki opisałem wam także nowego człowieka". Ale to okazuje się najczęściej czytelniczym złudzeniem, bądź wynikiem drobnych autorskich niezręczności. W sumie opisując działanie Legionu Tytanów (bardzo przypominające hitlerowskie SS i w ogóle ideologię faszystowską z jej obsesją rasy i ziemi, z tępieniem mieszańców-dewiantów, z podporządkowaniem nauki wymogom ideologii), pokazując zaślepionych swymi badaniami naukowców, łamiących się pod naciskiem oficjalnej propagandy opozycjonistów spod znaku Ligi Panhumanistycznej, czy wreszcie w portrecie wrażliwych, ale zacietrzewionych bitewnie „lemurowatych postaci o spiczastych ryjkach" z owej idącej na zderzenie z Ziemianami innej rzeczywistości czasowej – przypomina Bayley odwieczną naszą wiedzę o istocie myślącej, jako skorej do gwałtu, niekonsekwentnej, napastliwej i małostkowej, kłamliwej, egoistycznej, przynależącej słowem do pokolenia Kainowego. Jeśli świat mimo to nie rozpada się w etyczne i dosłowne drzazgi, jeśli następują w nim zmiany, to dlatego, że zawsze znajdą się w nim ludzie gotowi do ofiary, jak opozycjonista Oblomot, fanatycy wiedzy, jak fizyk Ascar, rewolucjoniści gotowi nawet do zdrady swojej społeczności, byle tylko ją zmienić, jak syn dygnitarza Miasta Retorty, młody Siu.

Dzięki takim jak oni, konsekwencje czasowej katastrofy będą złagodzone, do zderzenia dojdzie, ale nie frontalnie, rzeczywistość rozpadnie się na wiele światów, a ich mieszkańcy dalej będą musieli wybierać, walczyć, szukać, buntować się – słowem pokonywać dylematy te same, co ich antenaci. I jeśli w wyniku przyjętych przez nich rozwiązań, powstanie gdzieś krzywda, to bez wątpienia zrodzi ona opozycjonistów i wywrotowców („wywrotowcy wleżą wszędzie" – mówi legionista Tytana) i wszystko zacznie się od początku. Ten schemat równie dobrze mieści się w jednym, jak, w wielu czasach.

Jest jeden szkopuł. Mogę, mianowicie, bardzo łatwo wyobrazić sobie powieść opartą dokładnie na fabularnym i naukowym szkielecie Bayleya, ale napisaną znacznie ostrzej, w sposób bardziej przejmujący, pełną tzw. mocnych scen. Fabuła rozsnuwana w „Kursie na zderzenie" zasługuje na taką oprawę. Bayley natomiast pisze tonując konflikty, na dobrą sprawę jest raczej demaskatorem procesów, niż malarzem sytuacji, daje nam wyraźnie zaokrągloną wersję wydarzeń. Zapewne brak mu ekspresyjności, sugestywności i mistrzostwa Dicka. Nie jest też Bayley na pewno pisarzem o formacie Lema czy Strugackich. Ale jego powieść czyta się dobrze, a jego wizje różnych społeczeństw rywalizujących ze sobą, pomagających sobie i zwalczających się w otchłaniach czasu – nie prędko wygoni czytelnik z pamięci.

Maciej Parowski

■

B. J. Bayley *„Kurs na zderzenie" (przełożyła Jolanta Kozak), Czytelnik, Seria z kosmonautą 1982, cena zł 80.–*

TECHNOLOGIA FANTASTYKI

Genrich Altow

1.

Czytelnicy, którzy interesują się fantastyką naukową, dostrzegli zapewne, że ostatnimi laty literatura ta ze szczególną energią zaczęła zajmować się sprawami autoanalizy. Od roku 1967 w samych czasopismach i zbiorach wydawniczych opublikowano ponad sześćdziesiąt artykułów, które w mniejszym lub większym stopniu dotyczyły teoretycznych problemów fantastyki, jako gatunku literackiego. Ukazały się książki Gieorgija Gurewicza *Karta strany Fantazii* (1967) i Borysa Lapunowa *W mirie mieczty* (1970) – swoiste przewodniki po literaturze fantastyczno-naukowej. W almanachu *Fantastika,* publikowanym rokrocznie przez wydawnictwo Mołodaja Gwardia, drukuje się, opracowaną przez Aleksandra Jewdokimowa, bardzo dokładną i szczegółową bibliografię radzieckiej fantastyki, obejmującą okres od 1917 roku. Kilka lat temu ukazała się i natychmiast zniknęła z półek księgarskich doskonała monografia Anatolija Britikowa *Russkij sowietskij nauczno-fantasticzeskij roman* (1970).

Stopniowo kształtuje się teoria fantastyki. I jak to często bywa w przypadku wszelkich powstających teorii, proces ten rozpoczyna się od opisu badanych obiektów. Teoria fantastyki chwilowo nie zadaje sobie pytania „Dlaczego?" – ogranicza się do opracowywania faktografii, chronologii.

W roku 1895 opublikowano *Wehikuł czasu* Wellsa *(The Time Machine).* Pół wieku później powstał *Chronoklazm* Wyndhama *(The Chronoclasm,* 1959) i *Koniec Wieczności* Asimova *(The End of Eternity,* 1955). To sfera chronologii. A oto i faktografia: w utworach Wyndhama i Asimova wykorzystuje się ideę wynikającą bezpośrednio z powieści Wellsa – koncepcję chronoklazmów, tj. paradoksów biorących swój początek z manipulowania minionymi, już historycznymi wydarzeniami.

Dlaczego *Chronoklazm* i *Koniec Wieczności* zostały napisane przez Wyndhama i Asimova, a nie przez Wellsa? Możliwość powstawania paradoksów temporalnych wypływa bezpośrednio z wellsowskiej koncepcji podróży w czasie. W jednym z fragmentów swego utworu Wells zbliża się tuż, tuż do tego problemu i..., z jakiegoś powodu pomija go.

Załóżmy, że w *Wehikule czasu* Wells nie musiał wspomnianego pomysłu wykorzystywać. Ale przecież po *Wehikule czasu* jeszcze przez czterdzieści lat zajmował się pisaniem fantastyki. W dalszym ciągu interesowały go fantastyczne sytuacje związane z zagadnieniem sterowania czasem, a w roku 1903 opublikował opowiadanie *Nowy akcelerator (The New Accelerator).* Jednakże akcelerator i inne pomysły „czasowe" są o wiele mniej nośne od, pełnej literackich perspektyw, koncepcji chronoklazmów. Chyba nie przypadkowo we współczesnej fantastyce mamy zaledwie dwa, trzy naśladownictwa *Nowego akceleratora,* natomiast paradoksy czasowe wykorzystywane są nader często. Trudno przypuszczać, że Wells świadomie zrezygnował z pomysłu, który legł u podstaw takich utworów jak *Sound of Thunder* Raya Bradburego, *La nuit sans fin* Boule'a, *The End of Eternity* Asimova!... Najwidoczniej istniała tu jakaś bariera psychologiczna.

Jaka?

I dlaczego trudno było ją pokonać?

A w ogóle w jaki sposób rodzą się fantastyczne pomysły?

Czy istnieją jakieś obiektywne prawidłowości ich powstawania?

Jeśli tak, to czy można odnaleźć przy ich pomocy nowe, nikomu jeszcze nieznane, fantastyczne idee? (...)

2.

Roald Amundsen napisał kiedyś w swojej autobiografii, że podróże przypominają górę lodową: dziewięć dziesiątych, poświęconych na przygotowania, jest niewidoczne; na powierzchni widnieje tylko jedna dziesiąta – sama podróż. Podobnie było i w tym przypadku. Żeby zbadać mechanizm fantastyki, należało przede wszystkim zebrać koncepcje rozrzucone w tysiącach utworów. (...)

Okazało się, że w rozwoju każdego fantastycznego tematu (podróże kosmiczne, kontakty z pozaziemskimi cywilizacjami itp.) można zaobserwować cztery, wyraźnie różniące się od siebie schematy pomysłów:

- jeden obiekt, dzięki któremu uzyskujemy pewien fantastyczny rezultat;
- wiele obiektów, które wspólnie dają całkiem inny rezultat;
- te same rezultaty, ale osiągnięte bez użycia obiektu;
- warunki, w których usunięta zostaje konieczność korzystania z rezultatu.

W każdym temacie stopniowo kształtują się cztery piętra fantastycznych koncepcji. Piętra te różnią się między sobą jakościowo. Jeśli sięgniemy po temat „kontakty z cywilizacjami pozaziemskimi", to pierwsze piętro tworzyć będą pomysły dotyczące spotkania z jedną cywilizacją. Znamy wiele utworów wykorzystujących takie właśnie koncepcje. Na drugim piętrze (kontakt z wieloma cywilizacjami pozaziemskimi) znajdzie się wysunięta przez I. Jefremowa idea Wielkiego Pierścienia. W ten sposób różnią się między sobą pomysły „wehikułu czasu" Wellsa i asimovskiej Służby Wieczności bazującej na jednoczesnych kontaktach z wieloma epokami.

Sprecyzujmy jedno.

Górne piętra wcale nie muszą być „lepsze" od dolnych. Chodzi tu wyłącznie o wewnętrzną logikę rozwoju koncepcji – i o nic więcej. Możliwości literackie nie są bynamniej uzależnione od numeru piętra, na którym umieściliśmy dany pomysł.

Następna sprawa. Z faktu istnienia czterech pięter nie wynika bynamniej, że w każdym temacie mogą funkcjonować tylko cztery pomysły. Na każdym poziomie można umieścić nieograniczoną ilość różniących się od siebie „izotopów", pomysłów „izopiętrowych", których jedyną cechą wspólną jest podporządkowanie ogólnej formule piętra.

Spójrzmy na jeden z bardziej eksponowanych, czteropiętrowych „budynków": „Sposoby i środki techniczne podróży międzygwiezdnych". Cechą szczególną takich wypraw jest konieczność pokonywania ogromnych (nawet w porównaniu z międzyplanetarnymi) odległości. Statek kosmiczny powinien poruszać się z prędkością podświetlną, ale przy szybkościach tego rzędu następuje spowolnienie biegu czasu. Kosmonauci powrócą w momencie, gdy na Ziemi miną dziesiątki, setki, a może nawet i tysiące lat. Na tym właśnie oparte są konflikty fabularne.

Pierwsze piętro: „podróż jednego statku kosmicznego". Atrakcyjność tego założenia wynika z faktu, że lot przeprowadzany jest po raz pierwszy i pisarz może skoncentrować się na opisach trudności z tym związanych, charakterach ludzi, którzy pokonują kosmiczną otchłań. Przykładem może być powieść Stanisława Lema *Obłok Magellana* (1955).

Drugie piętro: „wiele statków kosmicznych". Świat z rozwiniętą siecią tras międzygwiezdnych. Na tym poziomie fantaści stawiają sobie inne problemy. Czy rozbiegające się na wszystkie strony nurty cywilizacji nie ulegną rozproszeniu? Czy kolonie rozdzielone setkami lat świetlnych nie podążą różnymi, niezależnymi od siebie drogami ewolucji? Takie tematy porusza W. Żurawlowa w swoim opowiadaniu *Wtoroj put'* (1971). W obrębie pierwszego piętra – zagadnienia te po prostu nie mogą istnieć.

Trzecie piętro: „ten sam rezultat, ale bez obiektów". Na przykład – podróże międzygwiezdne bez kosmolotów przeznaczonych do pokonywania wielkich odległości. Jedna z pierwszych koncepcji tego rodzaju została wysunięta przez I. Jefremowa w powieści *Zwiozdnyje korabli* (1959). Załóżmy, że przed dziesiątkami milionów lat, jakaś

Genrich Saulowicz ALTOW

(ur. 1926), z zawodu inżynier, autor wielu publikacji na temat metodologii pracy wynalazczej, jest pisarzem i teoretykiem fantastyki naukowej. Swoje pierwsze opowiadanie wydrukował w roku 1957. W latach 1961–1970 opublikował m.in.: **„„Legiendy o zwiozdnych kapitanach"** (1961), **„Opalejuszczyj razum"** (1968), **„Sozdan dlja buri"** (1970). Altow jest także autorem artykułów krytycznych omawiających twórczość J. Verne'a i H. Wellsa (**„Sudba predwidiencji Ż. Wierna"**, 1963 i **„Pierieczitiwaja Uellsa"**, (1966).

Szkic **„Technologia fantastyki"** (tyt. oryg. „Kraski dla fantazji") został zamieszczony w zbiorze „Fantastika 71" (wyd. „Mołodaja Gwardia", 1971).

(A.N.)

gwiazda z systemem planetarnym zbliżyła się do Słońca. W takim przypadku lot międzygwiezdny specjalnie by się nie różnił od lotu międzyplanetarnego.

C. Simak jest autorem równie ciekawego pomysłu. Niechaj lot trwa bardzo długo. Poleci nie podświetlny kosmolot, ale zwykły, „powolny" planetolot. Podróż potrwa setki lat, na pokładzie statku zmieniać się będą pokolenia. Ostatnie pokolenie osiągnie wyznaczony cel (opowiadanie *The Second Childhood*, 1951).

Proszę zauważyć, jak wyraziście kształtuje się wewnętrzna logika powstawania nowych, fantastycznych koncepcji. Musimy pokonywać przestrzenie międzygwiezdne, ale bez użycia gwiazdolotów. W związku z tym możemy operować tylko dwiema wielkościami – odległością pomiędzy gwiazdami i długością życia załogi. Odległości dzielące nas od gwiazd są duże, ale przecież kiedyś mogły być mniejsze – stąd bierze swój początek koncepcja Jefremowa. Odległość dzieląca nas od widocznych gwiazd jest nie do pokonania, ale przecież blisko nas mogą istnieć niewidoczne gwiazdy: w taki sposób rodzi się pomysł J. Gurewicza (opowiadanie *Infra Drakona*, 1962).

Zasięg lotu można zwiększyć również za pośrednictwem „długowieczności" załogi. Są tu dwie drogi wyjścia: należy wysłać w tę drogę fantastycznego „superdługowiecznego" kosmonautę, albo założyć, że w czasie lotu nastąpi zmiana pokoleń. Drugą z tych możliwości wykorzystuje C. Simak.

Ale trzecie piętro wcale nie jest jeszcze zabudowane do końca. Weźmy na przykład koncepcję Jefremowa, która zakłada, że w przeszłości dwie gwiazdy wraz ze swymi planetami zbliżyły się na „kontaktową" odległość. Ponieważ na Ziemi nie było wtedy ludzi, literackie możliwości wykorzystania tego pomysłu ulegają wyraźnemu ograniczeniu: nie może dojść do spotkania dwóch cywilizacji. Czemu by więc nie przyjąć korzystniejszego rozwiązania założywszy, że „zbliżenie" nastąpi w przyszłości?...

Wreszcie, c z w a r t e p i ę t r o: „warunki, w których usunięta została konieczność korzystania z rezultatu", to znaczy warunki, które w ogóle odrzucają potrzebę lotów międzygwiezdnych. Tego typu koncepcję wykorzystałem w swoim opowiadaniu *Port Kamiennych Bur* (1968). Rozwinięte cywilizacje łączą swoje systemy słoneczne w gromadę kulistą, by raz na zawsze (i w dodatku dla wszystkich, a nie tylko dla wybranych kosmonautów) zmniejszyć przestrzenie międzygwiezdne i nawiązać stały kontakt z tysiącami innych cywilizacji.

3.

Każdy temat można przedstawić w kształcie czteropiętrowego schematu fantastycznych pomysłów. Współczesna fantastyka jest jednak najczęściej jedno- i dwupiętrowa. Jej gmach, jak przystało na gwałtownie rozwijający się gatunek, jest ciągle obstawiony rusztowaniami.

Budowę tę prowadzi się nie tylko w pionie, ale i w poziomie: na każdym piętrze można umieścić mnóstwo „izopiętrowych" bloków. Przestrzeni potrzebnej na to, by fantastyka mogła rozwijać się swobodnie jest wystarczająco dużo. Z tym większą przykrością obserwuje się tłok na poszczególnych wydeptanych skraweczkach tego Uniwersum. Bez końca wymyśla się warianty prościutkich temacików: kosmicznych przybyszów, zbuntowanych robotów, walczących z sobą bliźniaków-biokopii.

Poszukiwania nowych, fantastycznych pomysłów utrudniają bariery psychologiczne. Mistrzostwo pisarza-fantasty uzależnione jest w poważnym stopniu od umiejętności ich przełamywania. „Czteropiętrowy" schemat, wyjaśniając strukturę fantastyki, ułatwia właśnie pokonywanie barier psychologicznych.

Posłużmy się konkretnym przykładem. Zaobserwujmy, jaki wpływ ma wykorzystanie „czteropiętrowego" schematu na proces powstawania nowej, fantastycznej koncepcji. Weźmy skromny, jednopiętrowy „budyneczek" pod nazwą „s k a f a n d e r k o s m i c z n y" i spróbujmy go rozbudować.

Na p i e r w s z y m p i ę t r z e: „jeden skafander". Znamy sporo niezłych utworów wykorzystujących problem izolacji człowieka od nieprzydatnych do życia warunków kosmicznych. Można wymienić tu np. opowiadanie R. Sheckleya *The Earth, the Air, the Fire and the Water*. D r u g i e g o p i ę t r a („wiele skafandrów") jak na razie nie ma. I nic dziwnego: przejście od zasady jednego skafandra do pomysłu ich masowego wykorzystania nie otwiera jakichś nowych, w miarę ciekawych horyzontów literackich.

I tu właśnie stykamy się z interesującym zjawiskiem: bardzo często fakt, że drugie piętro nie stwarza nowych perspektyw rozwojowych, odbiera ochotę, by sięgnąć wyżej. Tymczasem prace badawcze można kontynuować omijając to „martwe piętro". A zatem p i ę t r o t r z e c i e: „ten sam rezultat (izolacja), lecz bez użycia skafandra". Fantastyka dotarła tu o wiele później, niż naukowcy ze swoimi hipotezami (niestety to się często zdarza). Myślę o koncepcji cyborgizacji człowieka, kiedy organizm zostaje przebudowany tak, by człowiek mógł przebywać w przestrzeni kosmicznej bez konieczności używania skafandra. To piętro jest niezwykle obszerne. Starczy w nim miejsca na wiele „izopiętrowych" koncepcji.

C z w a r t e p i ę t r o: „warunki, które usuwają konieczność izolacji". Człowiek znajduje się w przestrzeni kosmicznej bez skafandra i bez przebudowy organizmu. Początkowo, brzmi to niewiarygodnie. Aby człowiek mógł przebywać w kosmosie bez skafandra, musi istnieć Kosmiczna atmosfera. Próżnia powinna przestać być próżnią.

Poczucie nieprawdopodobieństwa potęguje się, nieprawdaż? No cóż, im wyższa bariera psychologiczna, tym ciekawszy staje się pomysł związany z jej przełamaniem. Takim sposobem dotarliśmy do konieczności zmiany warunków panujących w przestrzeni kosmicznej. Znana jest propozycja Dysona polegająca na rozpyleniu Jowisza i zbudowaniu sferycznej otoczki wokół Słońca. Niestety, Dyson nie wziął pod uwagę, że taka otoczka nie utrzyma się, ponieważ tylko w pasie równikowym siła przyciągania słonecznego zostanie zrównoważona odśrodkową siłą obrotową. W związku z tym G. Pokrowski zaproponował wybudowanie otoczki składającej się z oddzielnych pasów, z których każdy poruszać się będzie z własną prędkością.

Sfera Dysona lub otoczka Pokrowskiego potrzebne są po to, by „schwytać" całe promieniowanie Słońca i powiększyć przestrzeń życiową cywilizacji. Obydwie koncepcje zostały wysunięte przez uczonych, ale niestety, nie mogą pretendować nawet do miana fantastyczno-naukowych. Rozsadzenie Jowisza i rozpylenie jego materii mieści się jeszcze w granicach fantazji. Ale transport sproszkowanej materii bliżej Słońca i montowanie z niej otoczki o średnicy orbity Ziemi – to zadanie przekraczające nawet granice fantastyki. Kiedy na rysunkach J. Pokrowskiego rakiety holują fragmenty otoczki, wygląda to nazbyt naiwnie.

Ale gdyby rozpylić Jowisza i pozostawić powstałą materię swemu losowi? Wtedy uformowałby się gigantyczny dysk sięgający aż od orbity Merkurego (bliżej położone cząsteczki będą spadać na Słońce) po orbitę Plutona (dalej położone będą ulegać rozproszeniu).

Brak odpowiednio gęstego ośrodka – oto przyczyna izolacji człowieka w Kosmosie. Takim ośrodkiem może okazać się, nachylony pod pewnym kątem do płaszczyzny orbit poszczególnych planet, Międzyplanetarny Dysk Atmosferyczny.
Atmosferyczny?

(...) Realizacja projektów Dysona i Pokrowskiego przekracza granice nawet najśmielszej fantastyki. Tymczasem Dysk powinien ukształtować się z rozpylonej materii samodzielnie. Mało tego, taki Dysk już istniał... To właśnie on, zgodnie z teorią O.J. Szmidta, poprzedził formowanie się planet. Pisarz-fantasta może wykorzystać prace Szmidta zawierające mnóstwo wiadomości o pierwotnym obłoku pyłowym, jego strukturze, stabilności, panujących w nim warunkach itp.

Zresztą, nie chodzi tu wcale o naukowo-techniczną wiarygodność. Rozpatrywana w kategoriach fantastycznego pomysłu, Idea Dysku jest całkowicie prawdopodobna i najistotniejszy wydaje się literacki potencjał tej konepcji.

Napisano mnóstwo utworów w ten czy w inny sposób związanych z lotami kosmicznymi. Za burtą statku kosmicznego panowała czarna próżnia i cisza, zakłócona sporadycznym postukiwaniem meteorytów. I oto nareszcie otrzymujemy możliwość pokazania żywego Kosmosu! W Dysku można umieścić wszystkie ziemskie zjawiska atmosferyczne powiększone miliony razy, osiągające skalę naprawdę kosmiczną – i dlatego zupełnie jakościowo nowe. Proszę sobie wyobrazić burzę w Dysku. Albo tęczę. Albo nieskończoną grę świateł. (...)

4.

Jestem daleki od myśli, że „czteropiętrowy schemat" może być główną, czy też nawet jedyną linią rozwoju fantastycznych koncepcji. Najprawdopodobniej jest kilka takich linii. Powinny istnieć również określone sposoby kształtowania pomysłów „izopiętrowych". Ta kwestia wymaga jednak jeszcze dalszych badań. (...)

Przełożył Sławomir Kędzierski

■

ZIELONY SER, ZIELONE LUDZIKI, ZIELONE GŁOWY

Rozmowa z prof. Andrzejem Kajetanem Wróblewskim, fizykiem

– Gdyby ktoś obwieścił, że Księżyc jest zbudowany z zielonego sera, astronomowie nie byliby zobowiązani do porzucenia obserwatoriów i poświęcenia całej swej energii na dementowanie tej sensacji – głosi Pan we wstępie do książki „Z powrotem na Ziemię", choć poświęcił przecież Pan swój czas, by redagując ten tom okazać, jak daleko od Dänikena do prawdy...

– Powiedzonko o zielonym serze pochodzi od Martina Gardnera (autora „Pseudonauki i pseudouczonych") i mowa jast w nim nie o dementowaniu, lecz o tym, że uczony nie rzuci się do teleskopu, by sprawdzać taką bzdurę. Natomiast demaskowanie oszustów to jeden z najważniejszych obowiązków ludzi nauki i bardzo niedobrze, że w Polsce tak niewielu z nich poświęca na to swój czas. Pogłębia się specjalizacja w nauce i często trudno na bieżąco śledzić dokonania w awangardowych odgałęzieniach własnej dyscypliny, zdarza się więc, że nawet profesorom często jest trudno ustosunkować się, do jakiegoś „rewelacyjnego" pomysłu spoza ich własnej działki. Popularyzacja jest potrzebna samym uczonym, samemu społeczeństwu nauki. Przeciętny człowiek jest oczywiście w jeszcze gorszej sytuacji i grozi niebezpieczeństwo, że szybko znajdzie się na pozycji, w jakiej byli np. fellachowie egipscy wobec kapłanów. Popularyzacja powinna służyć zapoznawaniu, ale także – i to jest ważniejsze – wyrobieniu pewnego krytycyzmu, samodzielności myślenia.

– O to łatwiej w archeologii, gdzie można namówić czytelnika, by spróbował wziąć dowolny z przytaczanych przez Dänikena faktów, pójść do biblioteki naukowej, wybrać odpowiednie prace z katalogu i zrozumieć je. Gorzej jest z fantazjami z zakresu nauk przyrodniczych, gdzie nawet podjęcie takiego wysiłku nie gwarantuje zrozumienia tych prac.

– Ale tak się składa, że bardzo niewiele absurdalnych fantazji pojawia się w obszarze najbardziej zaawansowanych dziedzin: w optyce atomowej, w teorii ciała stałego. Pojawiają się one raczej w takich obszarach, jak radiestezja, tzw. bioelektronika itp. Weźmy przykład tzw. bioenergii. Jako fizycy jesteśmy przyzwyczajeni, że gdy się o czymś mówi, to jest to dobrze zdefiniowane. Bioenergia wcale nie jest zdefiniowana, a wszyscy o niej piszą. Zachęcam więc czytelników, by zadawali sobie pytanie: co to znaczy? Namawiam, by słuchając o cudownych uzdrowicielach zastanawiali się, czy kiedykolwiek podstawowymi metodami statystycznymi rzetelnie sprawdzono uzyskiwane przez nich rezultaty itp. Ludzie nie zdają nawet sobie często sprawy, że w nauce nie chodzi o to, by wszystko wiedzieć, tylko żeby dzięki metodzie naukowej umieć odróżnić to, co jest rzetelnie i uczciwie ustalone od bałamutnych opowiastek.

– Czemu zatem żaden naukowiec nie zdobył się na krytyczną ocenę rewelacji prof. Sedlaka?

– Zapoznałem się dosyć uważnie z książką „Bioelektronika". Pod względem naukowym niewątpliwie nie ma ona wartości, jej tezy są nieudowodnione, jest to po prostu takie filozofowanie na ciekawe i ważne tematy. Nie ma żadnego dowodu eksperymentalnego, że coś takiego jak plazma biologiczna istnieje. Każdy może sobie wymyślać rozmaite ładnie brzmiące nazwy, ale dopóki nie udokumentuje swych wywodów, pozostaną one w sferze science fiction. Jako fantastyka jest to być może nawet dobre, chociaż osobiście wolę inne osiągnięcia tego gatunku. W mojej definicji pseudonauki jeden z punktów mówi o używaniu, bez żadnego wyjaśnienia, całkiem nowych terminów, bądź terminów znanych w nieznanym dotychczas znaczeniu. Takie zbitki słowne, jak „białkowy półprzewodnik o własnościach piezoelektrycznych" po prostu nie znaczą nic i służą jedynie epatowaniu czytelnika swą mądrością, zaciemnianiu, a nie wyjaśnianiu swej myśli.

– Przyganiał kocioł garnkowi. W tak szybko rozwijającej się dziedzinie jak biologia molekularna ukazują się na bieżąco wspaniałe prace popularne m.in. prof. Wacława Gajewskiego i doc. Magdaleny Fikus, pozwalające laikowi zrozumieć o co idzie gra – a równocześnie do dziś nie ma na naszym rynku popularnej pracy omawiającej podstawowe idee, jakie pojawiły się w fizyce cząstek elementarnych w latach 70-tych. Gdzie można przeczytać, co to jest mechanizm Higgsa, teoria z cechowaniem itp?

– Takie prace istnieją, choć równocześnie nie ma ich na rynku w wyniku naszej polityki wydawniczej. Pierwszy tom podręcznika, który napisaliśmy z prof. J. Zakrzewskim, ukazał się siedem lat temu w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy i do dziś nie może się ukazać jego wznowienie, a my wciąż uaktualniamy kolejne wersje maszynopisu – to może zniechęcić. Podręcznik – to jednak sprawa dotycząca głównie studentów. Niesłychanie boli mnie natomiast sprawa nakładów dobrej literatury popularno-naukowej, jakiej przecież nie brakuje, choćby Biblioteki Problemów czy serii Ossolineum. Książki te wychodzą w nakładzie 5, 10 tysięcy; podobnie tak znakomite przeboje jak „Fizyka dla poetów" Roberta H. Marcha czy „Podwójna spirala" J.D. Watsona. Równocześnie Däniken miał trzy wydania po 50 tysięcy, bzdura o trójkącie bermudzkim wydana przez KAW – 100 tysięcy. Jak nierówne więc szanse daje się czytelnikowi, który chciałby się czegoś naprawdę dowiedzieć.

– Mogę dodać jeszcze jeden przykład: książka „Wybrańcy Bogów" Leopolda Infelda, perła światowej literatury popularnonaukowej, stworzona przez jednego z naszych największych fizyków nie była wznawiana od lat 50-tych. Czy jednak po stronie fizyków nie leży choćby część winy za ten stan rzeczy? Popularyzator też musi z czegoś czerpać, a tymczasem jedyny wybór tekstów źródłowych z historii fizyki ukazał się w Polsce w 1931 r.

– I było to drugie wydanie. Pierwsze pochodzi z 1917 roku i zawiera liczne błędy. Niestety, sądzę, że długo jeszcze nie będzie nas stać na dobrą serię edycji źródłowych do historii fizyki, choć zgadzam się, że szkice zawarte w mojej książeczce „Prawda i mity w fizyce" oraz w artykułach w „Postępach Fizyki" – to zaledwie cząstka pracy, którą kiedyś trzeba będzie wykonać.

– Czy jednak powinni zajmować się tym fizycy? Wielu Pana kolegów z Hożej nie ukrywa swego nieustannego rozczarowania w stosunku do filozofów, którzy wciąż nie nadążają, nie potrafią podsunąć inspirującej sugestii, twórczego uogólnienia najnowszych wyników.

– Wiem, że taki pogląd jest rozpowszechniony, ja jednak sądzę, że z tej strony na pomoc nie ma co liczyć. Filozofia nie ma szans na odzyskanie rządu dusz, a człowiek, który nie ma za sobą studiów fizycznych – choćby na zrozumienie problemów nurtujących pracującego twórczo fizyka.

– Mocno powiedziane. Z sentencji rozwieszonych na ścianach gabinetu widzę, że jako doświadczalnik ma Pan równie protekcjonalne podejście do kolegów-teoretyków...

– Nie przesadzajmy. Są one po prostu przytykiem do sytuacji, jaka istnieje w fizyce już od kilkunastu lat: prac teoretycznych ukazuje się ok. 10-krotnie więcej niż doświadczalnych, a wiele z nich, to bardzo odważne spekulacje budowane na choćby cieniu nowej informacji doświadczalnej, takie środowiskowe science fiction, aktualne do chwili uzyskania przez doświadczalników nowych wyników.

– To skąd ten dystans? Sam Pan przecież nie kryje się ze swą sympatią do SF, dużo czyta i posiada raczej imponujący własny zbiór. Czy SF dla fizyka jest źródłem inspiracji, czy wytchnienia?

– Jednak przede wszystkim rozrywką. Najbardziej lubię zresztą klasyczną fantastykę angielską: Clarke'a, Asimova, z młodszych Wiliamsona, Ursulę LeGuin. Niezbyt natomiast lubię tak modny ostatnio nurt SF psychologicznej, a właściwie psychodelicznej. Muszę się przyznać, że np. nie potrafiłem polubić tak wychwalanego autora, jak Dick, nie przypadły też mi do gustu ostatnie książki mistrza Lema, np. „Katar". Za najbardziej nierówną uważam serię KAW-owską. Tomiku pt. „Kreks" wręcz nie byłem w stanie przeczytać.

– Dziękuję za tak odważne wkroczenie na teren zawodowych krytyków, ale coś mi się nie zgadza: LeGuin jest przecież czołową przedstawicielką SF psychologicznej...

– Ale ma klasę i z jej kuchni to smakuje.

– I zwariowane pomysły autorów SF nie irytują Pana tak jak enuncjacje Dänikena? Czy są jakieś granice wiedzy o przedmiocie, którą autor SF powinien posiadać, bzdury, których głoszenia powinien się wystrzegać?

– Proszę Pana, autor SF nie udaje, że głosi prawdy objawione, a w dobrej bajce smoki mają prawo mówić po angielsku.

Rozmawiał
Władysław Majewski

■

POSZUKIWANIE DZIESIĄTEJ PLANETY

Arnold Mostowicz

Nazwisko Zacharii Sitchina znane jest dzisiaj już nie tylko w świecie paleoastronautyki, a zawdzięcza on to książkom, które wydane w Stanach Zjednoczonych i w Europie zachodniej stały się bestsellerami. Pierwsza z nich, nosząca tytuł „Dwunaste ciało niebieskie" ukazała się w 1977 r. i została przetłumaczona na kilkanaście języków. Druga ukazała się w roku ubiegłym. Zatytułowana „Stopnie w kosmos" poświęcona jest tej samej tematyce.

Cóż to za tematyka?

W książce „Dwunaste ciało niebieskie" Sitchin wysunął tezę, że w naszym systemie słonecznym krąży jeszcze jedna planeta o niesłychanie wydłużonej orbicie, powodującej, że czas jej obiegu wokół Słońca wynosi 3600 lat. Dowody na istnienie tej planety znalazł Sitchin w zapisach wykrytych na glinianych tabliczkach z pismem klinowym, odnalezionych w ruinach starych miast babilońskich – Niniwie i Nippur. Tabliczki te są bądź oryginałem sumeryjskim pochodzącym sprzed 6–7 tysięcy lat, bądź też późniejszą kopią babilońską, względnie akadyjską.

Autor „Dwunastego ciała niebieskiego" (Słońce, Księżyc i 10 planet) uważa, że owymi hipotetycznymi gośćmi, którzy przybyli kiedyś z kosmosu na Ziemię, by wpłynąć na nasz rozwój biologiczny, byli właśnie przedstawiciele wysoko rozwiniętej cywilizacji, bytującej na owej dziesiątej, nieznanej nauce planecie.

Dodać trzeba, że jeśli idzie o analizę tekstów sumeryjskich, Zacharia Sitchin doprowadził do logicznej konsekwencji wcześniejsze obserwacje wybitnego astronoma amerykańskiego, Carla Sagana, który jako pierwszy zwrócił uwagę na sensacyjną zawartość sumeryjsko-akadyjsko-babilońskich tabliczek. O tym jak wielkie wrażenie wywarły rewelacje Sitchina niech świadczy fakt, iż na temat „dziesiątej planety" wygłosił on odczyt w angielskiej Izbie Lordów.

Pierwsza uwaga, jaka się każdemu nasuwa, dotyczy faktu, iż istnienia owej planety (przez Sumerów zwanej Nibiru, a przez Babilończyków – Marduk) nikt dotychczas nie zaobserwował. Czy jest możliwe, by mogła ona się ukryć przed oczyma współczesnych astronomów, uzbrojonych w potężne teleskopy?

Na sympozjum AAS (Ancient Astronaut Society) w Monachium w 1979 r. Sitchin zakończył swój referat o „dziesiątej planecie" rewelacyjną informacją (której nie było w książce z roku 1977). Otóż, twierdził Sitchin, astronomowie obserwatorium marynarki wojennej USA w Waszyngtonie doszli do wniosku, że pewne nieregularności pojawiające się w kształcie orbit Neptuna i Urana nasuwają przypuszczenie, że są one spowodowane istnieniem jakiegoś ciała niebieskiego, o którym astronomowie nie mieli dotychczas zielonego pojęcia. Na sympozjach AAS słyszy się wiele dziwności, do których słuchacze nie zawsze przykładają specjalną wagę. I w tym wypadku optymistyczny akord referatu Sitchina został uznany za pobożne życzenie autora.

Ale oto 12 czerwca 1982 roku NASA wydała oficjalny komunikat dla prasy, w którym zawarte są poglądy uczonych na możliwość istnienia niedostrzeżonego dotychczas ciała niebieskiego, należącego do naszego systemu słonecznego. NASA zaczyna od stwierdzenia, że dwa statki kosmiczne typu Pioneer wykryją być może wkrótce dziesiątą planetę w naszym systemia planetarnym. Planeta ta znajduje się daleko za Plutonem i Neptunem – około 84 miliardy kilometrów za nimi. Dalej czytamy:

„Statki Pioneer znajdują się w jedynym w swoim rodzaju położeniu, które ułatwia tego typu poszukiwania, a systematycznie pojawiające się nieregularności orbit Neptuna i Urana wyraźnie wskazują, iż rzeczywiście jakiś tajemniczy obiekt znajduje się gdzieś daleko od środka naszego systemu, dalej niż najodleglejsza z planet.

Pioneer 10 znajduje się obecnie między orbitami Urana i Neptuna, a w lipcu 1983 roku znajdzie się poza naszym systemem słonecznym. Natomiast Pioneer 11 znajduje się między orbitami Saturna i Urana. Oba statki kosmiczne kierowane są przez Ames Research Center, w Kaliforni, ośrodek stanowiący część NASA.

Odkrycie w roku 1978 przez Christy'ego i Harringtona satelity Plutona (nazwanego później Charonem) spowodowało, że trzeba było zredukować dotychczasowe obliczenia dotyczące masy układu Pluton – Charon do jednej piątej masy naszego Księżyca, co z kolei pozwoliło obliczyć średnicę Plutona, która wynosi prawdopodobnie nie więcej niż ok. 2400 kilometrów. Jest to masa zbyt mała, aby można było zrzucić na nią odpowiedzialność za niewytłumaczalne dotychczas, małe, lecz regularnie powtarzające się przesunięcia orbit Neptuna i Urana. Dotychczas (to znaczy do 1978 r. – A. M.) *te nieregularności tłumaczone były przyciąganiem grawitacyjnym Plutona.*

Jakiś duży obiekt typu „ciemnej gwiazdy" (wielkości Słońca) znajdujący się w odległości 84 miliardów kilometrów od najdalszej planety naszego systemu słonecznego mógłby oddziaływać w podobny sposób na orbity Neptuna i Urana. Również czarna dziura o masie dziesięciu Słońc, znajdująca się w odległości dwukrotnie większej (tzn. 168 miliardów kilometrów) mogłaby być uznana za sprawcę nieregularności pojawiających się w orbitach wspomnianych dwóch planet. Każdy z takich obiektów byłby zdolny wywołać podobny efekt.(...)

Dzięki temu, że sondy Pioneer 10 i Pioneer 11 znajdują się na przeciwległych stronach układu słonecznego – jedna z nich odczułaby przyciąganie małego i bliskiego obiektu wielkości jakiejś planety w sposób bardziej wyczuwalny, niż druga. Natomiast bardziej oddalone i większe ciało niebieskie oddziaływałoby na obydwa statki prawie w jednakowym stopniu. Dlatego też pomiary trajektorii obydwu Pioneerów, opuszczających układ słoneczny, prowadzone regularnie przez okres kilkunastu miesięcy mogą udzielić odpowiedzi na pytanie, czy statki te znajdowały się pod działaniem względnie bliskiej planety, czy też bardziej odległej gwiazdy lub ostatecznie czarnej dziury.

Dalsze obserwacje pozwolą na dokładniejsze określenie rozmiarów tego ciała niebieskiego i jego odległości(...)"

Z miejsca zareagował na te rewelacje Zacharia Sitchin, który przecież na glinianych tabliczkach sumeryjskich i babilońskich odczytał odpowiedź na pytania i wątpliwości nurtujące dzisiaj astronomów NASA. 8 lipca 1982 r. autor „Dwunastego ciała niebieskiego" wysłał do doktora Johna Andersona list następującej treści:

„Z olbrzymim zainteresowaniem przeczytałem doniesienie prasowe, dotyczące tajemniczego ciała niebieskiego i pańskich na ten temat rozważań, iż być może w naszym systemie słonecznym istnieje jaszcze jedna planeta, bardziej odległa od naszej gwiazdy niż Pluton, względnie, że istnieje krążący na bardzo odległej orbicie satelita naszego Słońca. W mojej, opublikowanej 5 lat temu książce „Dwunaste ciało niebieskie" dałem wyraz przekonaniu, że starożytni Sumerowie opisując nasz system słoneczny twierdzili, iż składa on się z dwunastu obiektów niebieskich (Słońce, Księżyc, 10 planet). Przy czym Sumarowie wiedzieli, że w centrum tego systemu jest Słońce nie Ziemia. Sumerowie umieli także wyjaśnić pochodzenie owej 10-tej planety. (Miałaby być ona przechwycona z kosmosu przez siły grawitacyjne naszego systemu słonecznego i miałaby stać się przyczyną katastrofy, której uległa inna planeta, po której pozostał pas asteroidów między Marsem a Saturnem. – A. M.). *Sumerowie znali także orbitę tej planety. Wszystko to po raz pierwszy zostało przedstawione w mojej książce.*

Zgodnie z rysunkiem wyrytym na sumeryjskiej pieczęci cylindrycznej (znajdującej się obecnie w muzeum berlińskim – A. M.), *który to rysunek reprodukuję w mojej książce, planeta nazywana przez Sumerów Nibiru, a przez Babilończyków – Madruk, jest nieco większa od Urana i Neptuna. Starożytne teksty astronomiczne wskazują, że jej ruch po orbicie jest zgodny z kierunkiem poruszania się wskazówek zegara, a oddziaływanie na Plutona dowodzi, że płaszczyzna tej orbity jest nieco nachylona w stosunku do płaszczyzny planet. (Pluton w tych tekstach uważany jest za satelitę Saturna).*

Teksty zawierające dane dotyczące obserwacji planety, gdy zbliża się ona do Ziemi (mówię zarówno o tekstach opublikowanych w książce, jak i o tekstach nie opublikowanych) informują, że Marduk pojawia się na naszym niebie od strony południowo-wschodniej.

Sumerowie utrzymywali, że wiadomości dotyczące 10-tej planety zostały im przekazane przez astronautów przybyłych na Ziemię właśnie z Marduka. Mimo iż zwykło się podobne wiadomości traktować jako mit, to przecież, jeśli rzeczywiście w naszym układzie słonecznym istnieje jeszcze jedna planeta, to trzeba powiedzieć wyraźnie, że starożytni Sumerowie doskonale o tym wiedzieli."

Cóż można dodać do tych dwóch tekstów, które znalazły się w dwumiesięczniku „Ancient Skies" z lipca – sierpnia 1982 roku? Chyba tylko to, że jesteśmy, jak się wydaje, świadkami niezwykłego wydarzenia. Po raz pierwszy, w sposób nie budzący wątpliwości, badania naukowe, a przynajmniej ich kierunek zgadzają się z hipotezami paleoastronautycznymi, opartymi na starożytnych przekazach i mitach. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na to, co zaobserwują i przekażą na Ziemię automatyczne stacje badawcze Pioneer.

■

Z tamtej strony lustra

W SIECI KRYSZTAŁU

Maciej Iłowiecki

Nikołaj Gonczarow jest radzieckim badaczem starożytnych kultur i najstarszych na Ziemi centrów cywilizacyjnych. W początkach lat 70-tych był uczonym na tyle jeszcze młodym, by nie bać się szalonych pomysłów i zwariowanych hipotez. Ale i on przez dłuższy czas wahał się z ogłoszeniem swych spostrzeżeń. Uczynił to dopiero wówczas, kiedy spotkał dwóch podobnych do siebie – powiedzmy – fantastów, i kiedy wszyscy trzej zauważyli, że na podstawie różnych przesłanek, doszli do tych samych wniosków.

Swoją hipotezę referowali na kilku sympozjach naukowych, spotykając się z tzw. życzliwym zainteresowaniem, choć także i z ostrą krytyką; w 1974 r. opublikowali pierwsze artykuły na ten temat, m. in. w miesięczniku „Chimija i żiźń" (w marcu 1974 r). Szczegóły tego rodzaju nie są specjalnie ważne, ale jeśli je znam, wolę zawsze podawać, by nie narazić się na zarzut, iż referuję poglądy jakichś maniaków i pseudouczonych. Więc od razu postawmy sprawę jasno: hipoteza Nikołaja Gonczarowa, Walerija Makarowa i Wiaczesława Morozowa była dyskutowana w gronach specjalistów, i choć spotkała się z poważną krytyką, nie została uznana za bzdurę, a tylko za jedno z możliwych wyjaśnień pewnych niewyjaśnionych dotąd faktów.

Nie nadużywam więcej cierpliwości Czytelników; oto sedno hipotezy trzech radzieckich badaczy: struktura kuli ziemskiej zbliżona jest do struktury kryształu, w tym sensie, że – podobnie jak w krysztale – istnieją na planecie pewne wyróżnione punkty i rodzaj symetrycznej sieci. Wyróżnienie polega na tym, że pewne właściwości natury fizycznej, geologicznej, biologicznej i innej przejawiają się najbardziej aktywnie w węzłach owej sieci i wzdłuż jej krawędzi. Z punktu widzenia geologi i geogenezy (teorii formowania się planety i jej pochodzenia) „hipoteza kryształu" nie jest bezsensowna, jeśli nie traktować jej dosłownie. To znaczy, że kula ziemska nie jest oczywiście jednorodnym krystalicznym wielościanem, natomiast jej powierzchnia mogła kształtować się na zasadzie minimum energii powierzchniowej, podobnie jak powierzchnie ciał krystalicznych. Inaczej mówiąc, chodziłoby o takie ułożenie elementów danego układu, które zawierałoby najmniej energii i – tym samym – było najtrwalsze. Wyjaśnienie to podaję na odpowiedzialność geologa radzieckiego Szafranowskiego.

No dobrze, powie ktoś, ale w końcu cóż jest tak niezwykłego w „hipotezie kryształu", że aż jej twórcy wahali się z publicznym ogłoszeniem? Otóż właśnie: niezwykłe są przesłanki, na podstawie których zrodziła się hipoteza – i jeszcze niezwyklejsze konsekwencje, do jakich prowadzi. Gonczarow oznaczył kiedyś na mapie świata miejsca, w których zrodziły się najstarsze centra cywilizacyjne i kulturowe ludzkości. Rozmyślając nad tym, czy w rozmieszczeniu tych centrów nie przejawia się może jakaś prawidłowość, uczony machinalnie łączył je prostymi kreskami. I nagle spostrzegł, że rysunek ułożył się w sieć regularnych pięciokątów. Stare ogniska kultury – np. Egipt faraonów, Mohendżo Daro w Indiach, północna Mongolia, celtycka Irlandia, kultura Inków w Peru, Wyspa Wielkanocna i inne – mieszczą się bądź na wierzchołkach pięciokątów, bądź w ich geometrycznym środku. Gonczarow zauważył, że zespół słynnych piramid w Gizie pokrywa się z niebywałą dokładnością z jednym z takich wyróżnionych punktów węzłowych. Niektóre punkty były jednak puste – np. w dzisiejszych Indochinach. I właśnie w czasie powstawania „hipotezy kryształu", w Indochinach odnaleziono ślady świetnej cywilizacji sprzed 9 tys. lat – jej centrum pokrywało się dokładnie z wierzchołkiem jednego pięciokątów Gonczarowa...

Gonczarow nie mógł uwierzyć w znalezioną regularność, ponieważ nie mógł znaleźć żadnej sensownej przyczyny, z której ta regularność mogłaby wynikać. Zaczął studiować rozłożenie na powierzchni Ziemi różnych innych miejsc „wyróżnionych", np. złóż kopalin, obszarów roponośnych, anomalii geomagnetycznych, tzw. uskoków geologicznych, górskich pasm podoceanicznych itp. W czasie studiowania tych problemów uczony spotkał dwóch ludzi o podobnych zainteresowaniach – Morozowa i Makarowa. Nie byli oni wprawdzie geologami ani geofizykami (jeden jest zawodu elektronikiem, drugi architektem), ale dzięki swej pasji i rozległym studiom osiągnęli w potrzebnych dziedzinach sporą wiedzę.

Trzej badacze skonstruowali model Ziemi w postaci dodekaedru, tj. bryły zbudowanej z 12 pięciobocznych płaszczyzn. Połączenie środków owych pięciokątów dało bryłę jeszcze bardziej skomplikowaną: ikosaedr, czyli wielościan zbudowany z 20 trójkątów.

Jakie są zbieżności tego modelu z „miejscami wyróżnionymi" Ziemi? Podaję na odpowiedzialność twórców „hipotezy kryształu". O ogniskach starych kultur już mówiliśmy. Ale w grę wchodzą także inne przedziwne prawidłowości. Jeśli bowiem oś dodekaedru umieścić zgodnie z osią Ziemi i obracać model tak, by krawędzie dwóch pięciokątów pokryły się ze słynnym Grzbietem Środkowoatlantyckim (na dnie Atlantyku), to pozostałe krawędzie dodekaedru pokryją się dość dokładnie z innymi pasmami gór i rozpadlin oceanicznych, a także z co większymi deformacjami Ziemi. Te zaś grzbiety i uskoki, które nie pokrywają się z siecią pięciokątów, nieźle pasują do sieci ikosaedrów... Mało tego – z węzłami sieci pokrywają się światowe centra największego i najmniejszego ciśnienia atmosferycznego, ośrodki powstawania huraganów i różnych anomali pogodowych, pasy rudonośne (np. potężne złoża rud wykryte przez satelity w Ameryce Południowej) i roponośne (np. złoża tiumeńskie na Syberii) itd., zaś stałe wiatry na Ziemi wieją przeważnie wzdłuż krawędzi układu.


Marek Zalejski

Pewne wyróżnione strefy na powierzchni Ziemi zauważono dopiero po analizie zdjęć ze sztucznych satelitów – np. nieciągłą deformację od Maroka do Pakistanu. Pokrywa się ona zadziwiająco z jedną z krawędzi ikosaedru... Na innych zdjęciach stwierdzono istnienie szczególnych struktur geologicznych w Maroku, w Kaliforni i na Florydzie – właśnie w miejscach, gdzie wypadają węzły siatki Gonczarowa i współpracowników. Bliższe przyjrzenie się węzłom wskazuje, że w niektórych występują obszary niezwykłe z punktu widzenia biologii: np. jezioro Bajkał, albo główne rejony zimowania wędrownych ptaków, albo centra ewolucyjnego wykształcania się gatunku ludzkiego. W Gabonie, w Afryce dokładnie w jednym z węzłów sieci, znaleziono przed paru laty pozostałości po naturalnym „reaktorze atomowym", działającym przed milionami lat.

Niezależnie od „hipotezy kryształu" i nie znając jej, Amerykanin Sanderson ułożył w tym samym czasie mapę hipotetycznych „diabelskich obszarów" na Ziemi (tj. miejsc, gdzie występują różne anomalie magnetyczne, atmosferyczne i inne, a także częste tajemnicze wypadki – np. słynny Trójkąt Bermudzki). Niezależnie od tego, czy wierzymy opowieściom o „diabelskich obszarach" czy nie, schemat Sandersona (dziesięć miejsc wyróżnionych plus dwa bieguny Ziemi) pokrywa się z modelem Gonczarowa.

Można zdumiewać się nad liczbą i różnorodnością cech wyróżniających węzły sieci – bo i cóż wspólnego mogą mieć anomalie geofizyczne, centra krystalizacji (!) starych kultur, obszary legendarnych (a jak chcą niektórzy, w ogóle wyssanych z palca) „koncentracji wypadków", pasma skupień ropy naftowej, wędrówki ptaków czy też podmorskie rozpadliny i góry? Otóż niezależnie od koncepcji dodekaedru, widocznie coś wspólnego mają, skoro rzeczywiście ich położenie tworzy na kuli ziemskiej układ o jakiejś regularności. Stwierdziliśmy wyżej, że siły pochodzenia fizycznego w strukturach krystalicznych działają najaktywniej wzdłuż krawędzi i w węzłach sieci kryształu. Zatem koncepcja „sił krawędziowych i węzłowych" mogłaby tłumaczyć wyróżnienie pewnych rejonów Ziemi. Anomalie geograficzne musiałyby mieć wpływ również na biosferę i na społeczności ludzkie – więc może?

Żeby było jeszcze dziwniej, Gonczarow, Morozow i Makarow zauważyli, że węzły tajemniczej sieci przypominają pulsujące światła: uaktywniają się kolejno, na przemian, być może nawet w dość regularnych odstępach czasu. Zgodne jest to zresztą z obserwacjami geologicznymi – w histori Ziemi okresy aktywności tektonicznej występowały kolejno, ożywiały się nagle „milczące" obszary planety, potem zamierały, by ustąpić innym.

Można powiedzieć, że wszystko jest zbyt dziwne, żeby mogło być prawdziwe. Pozostaje więc tylko przypomnieć, że 24 wieki temu Platon napisał, iż Ziemia widziana z góry przypomina piłkę uszytą z 12 skrawków skóry... ■

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Elektroewolucja

W roku 1970 wyprodukowano pierwszy czterodziałaniowy kalkulator zawarty w jednym obwodzie scalonym. Jego cena: 100 dolarów. W roku 1976 taki sam kalkulator kosztował zaledwie 6 dolarów. I nic dziwnego, skoro już na początku lat siedemdziesiątych umiano „upchać" w jednej kostce układu scalonego aż kilkanaście tysięcy tranzystorów. Obecnie na płytce krystalicznego krzemu /o średnicy ok. 5 cm/ można upakować kilkaset układów scalonych, zmniejszonych do rozmiarów 1 mm². W ten sposób powstaje najnowsze cudowne dziecko elektroewolucji, czyli mikroprocesor. Ogólnie biorąc jest to bardzo skomplikowany układ elektroniczny, dający się stosować na najrozmaitsze sposoby. Taka elastyczność układów i postępująca ich miniaturyzacja wszystkim wytrwałym czytelnikom przywodzą na myśl bystry, stworzone przez Lema. Oczywiście jako programowi optymiści, nie damy się zwariować wizjom ludzkiego świata, opanowanego przez zminiaturyzowanych biointelektronicznych szpiegów.

Nerwy naszego świata...

... to oczywiście wszelkiego typu łącza telekomunikacyjne. Dzięki połączonym staraniom i współpracy Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie, Politechniki Warszawskiej i Okręgowego Laboratorium Poczty i Telegrafii w Lublinie, ruszy pierwsza w Polsce fabryka światłowodów. Jej uruchomienie przewiduje się na lipiec 1983. Początki są już za nami – zamontowany w łódzkiej sieci telekomunikacyjnej kabel światłowodu o długości 2,5 km pozwala na jednoczesną transmisję aż trzydziestu rozmów. Obecnie trwają przygotowania do montażu /w Łodzi i w Poznaniu/ kabli na 120 rozmów. Nie jest to jednak koniec światłowodowych możliwości. Przy odpowiednio wysokiej częstotliwości fali nośnej po kablu szklanym, cieńszym od ludzkiego włosa, można /teoretycznie/ przekazać kilkadziesiąt tysięcy rozmów telefonicznych równocześnie. W Lublinie wyprodukowano już włókno szklane o średnicy 150 mikrometrów /sam rdzeń ma zaledwie 50 mikrometrów średnicy/. 1 km kabla szklanego – oczywiście odpowiednio obudowanego i wzmocnionego – waży zaledwie 80 kg. Dzięki swojej „transmisyjnej pojemności" już w chwili obecnej może on zastąpić 120 km kabla wykonanego z deficytowej miedzi. Przypominamy, że 1 km tradycyjnego kabla telefonicznego waży ok. 400 kg. W efekcie, jednym gramem szkła można zastąpić aż 10 kg miedzi. Godne uwagi są również inne zalety światłowodów: giętkość, odporność na zakłócenia elektromagnetyczne i duża wytrzymałość mechaniczna.

Słońce na etacie

Na początku bieżącego roku do francuskiej sieci energetycznej została włączona pierwsza elektrownia słoneczna o nazwie „Themis". Zbudowano ją w miejscowości Targassone w Pirenejach Wschodnich na wysokości 1700 m n.p.m. Składa się z 201 ruchomych zwierciadeł o łącznej powierzchni 17 500 m². Na szczycie 100-metrowej wieży umieszczono kocioł z odpowiednio spreparowanym roztworem soli. Ogrzana do 400°C solanka przenosi ciepło do wytwornicy pary. Para wodna z kolei napędza turbiny generatorów o łącznej mocy 2,5 megawata. Niby nie jest to wiele, ale zawsze coś, uważają oszczędni Francuzi.

Świetlana przyszłość...

... elektrowni słonecznych nie jest tylko pustym frazesem, lecz zyskuje coraz solidniejsze naukowe podstawy. Dr Suczkow z Uniwersytetu w Rostowie zwrócił uwagę na dziwne zjawisko, wykryte przez astronomów amerykańskich. Jowisz wysyła więcej energii, niż jej od Słońca otrzymuje. Teoretyczny model planety, w której wnętrzu zachodzą reakcje termojądrowe wykazał, że we wnętrzu Jowisza powinna panować temperatura rzędu 280 000 °C. Takie reakcje muszą zachodzić dłużej, niż istnieje nasz układ planetarny, więc Jowisz, jako znacznie starszy od innych planet, musi być gwiazdą. Dr Salimzibarow z Instytutu Badań Kosmicznych w Jakucku twierdzi, że Jowisz przechwytuje cząsteczki wiatru słonecznego, dzięki czemu bez przerwy powiększa swoją energię i masę. Logiczną konsekwencją jest przypuszczenie, że po upływie jeszcze około 3 mld lat może nastąpić zrównanie mas Słońca i Jowisza. W powstałym układzie gwiazdy podwójnej /układ taki to ponoć kosmiczny standard/ dojdzie do naruszenia orbit poszczególnych planet. Mars może zacząć obieg wokół Jowisza, Ziemia i Wenus będą ciążyć na przemian to ku Jowiszowi, to ku Słońcu. Fakt, że za 3 miliardy lat z Ziemi będzie widać dwa słońca, rozgrzewa nas już w tej chwili. Kilku redakcyjnych entuzjastów pobiegło do sklepu po fotodiody.

Jeżeli nie lubisz...

... wchodzić do wnętrza reaktora jądrowego, to już w roku 1985 będziesz mógł sobie kupić wyprodukowanego przez Toshiba Corporation robota, skonstruowanego przez japońskiego wynalazcę, Kunji Asano! Robot ma ramię ponad dwumetrowej długości, wyposażone w 8 uniwersalnych łączy. Końcówka wyposażona jest w kamerę tv, zaś każdy z segmentów ramienia w sensory dotykowe, co umożliwia omijanie przeszkód i operowanie w plątaninie rur. Przewidziano również możliwość zainstalowania systemu automatycznego dostosowania robota do warunków pracy, jakich nie przewidziano we wstępnym programowaniu. Przy wszystkich wymienionych zaletach cena owego cuda techniki jest tylko nieistotnym drobiazgiem. Podstawowy model ma kosztować zaledwie 30 mln jenów, czyli około 110 tysięcy dolarów.

Mikrowszechobecność

Już w bieżącym roku koncern American Greatings rozpoczyna produkcję pocztówek i kart z okolicznościowymi życzeniami. Między dwiema warstwami papieru zostanie umieszczony mikroprocesor /płytka układu scalonego o grubości 1 mm/ wraz ze źródłem zasilania i zminiaturyzowanym głośnikiem. Za jedne 6 dolarów taka pocztówka – po otwarciu koperty – będzie emitować dźwięki melodii zakodowanej w mikroprocesorze.

Radiowe macki w kosmosie

W raporcie przygotowanym przez amerykańską National Academy of Science zawarte jest stwierdzenie, że istnienie rozumnych form życia w kosmosie jest możliwe. Stany Zjednoczone zamierzają przystąpić do poszerzonego programu poszukiwania pozaziemskich cywilizacji. W roku 1983 NASA zamierza przeznaczyć na te badania 1 500 000 dolarów. Prace przygotowawcze polegają na skonstruowaniu urządzeń pozwalających zautomatyzować poszukiwania. Obecnie naukowcy opracowują nowy, wielokanałowy analizator do jednoczesnego badania aż 74 000 częstotliwości fal docierających do Ziemi. Nie jest to górna granica możliwości. W ciągu 2 lat analizator zostanie udoskonalony, a jego zakres zwiększony do 8 mln kanałów. Docelowo, dzięki stałemu rozwojowi mikroelektroniki – analizatory będą badać do 100 milionów częstotliwości jednocześnie. Nowy program NASA przewiduje badanie otoczenia 773 gwiazd podobnych do naszego Słońca i znajdujących się w odległości do 80 lat świetlnych od Ziemi. Te badania zajmą około 3 lat. Kolejnym etapem będzie podsłuch wybranych gwiazd, które znajdują się w przestrzeni do 88 lat świetlnych od naszej planety.

Gdyby każdy miłośnik SF...

... zasiał w dużej doniczce około dziesięciu nasion ketmii konopiowatej, skończyłyby się narzekania na brak papieru, na którym można wydrukować nowe książki fantastyczno-naukowe. Hibiscus cannabinus /jeszcze inaczej – kenaf/ zawiera 9 razy więcej celulozy, niż drewno. Sosna musi rosnąć od 15 do 30 lat. Tymczasem ketmia co roku daje około 5 ton celulozy z jednego hektara /doniczek/.

Dwaj panowie w butelce...

... to Anglik M. Kendrick i Szwed M. Lindstrand /były pilot wojskowy/. W maju bieżącego roku zamierzają pobić obecny rekord wysokości lotu balonem /16,5 km/. Aeronauci wystartują z Anglii, wodowanie odbędzie się w Morzu Północnym lub w kanale La Manche. Piloci będą wyposażeni w skafandry ciśnieniowe i spadochrony. W ciągu 2 do 4 godzin zamierzają wznieść się dwa razy wyżej, niż rejsowe samoloty pasażerskie. Jeżeli uda im się dolecieć do planowanej wysokości 24 km, to znajdą się zaledwie o 6 km niżej, niż przyjęta przez NASA granica kosmosu /30 km nad Ziemią/. A stamtąd już przecież tylko mały krok na orbitę, lecz do tego niestety nie wystarczy napędzanie balonu ogrzewanym powietrzem. Najzabawniejszy jest kształt balonu o wysokości 200 m i pojemności 12 600 m³. Będzie to po prostu gigantyczna butelka. Już za parę dni przekonamy się, czy przedstawiciel narodu, który wymyślił practical jokes, nie zamierza w tę butelkę nabić naiwnej publiczności.

■

KENTAUR, SIRIUS I PRÓBA RATOWANIA GINĄCEGO RYNKU

Andrzej Wójcik





Książki science fiction wydawane w Jugosławii są ładne. Mają barwne, lakierowane okładki uderzające pełną gamą kolorów. Drukowane są na dobrym, wysokogatunkowym papierze w starannej szacie edytorskiej. Są też bardzo drogie. Właśnie to sprawia, iż krąg odbiorców, i tak ograniczony regionalnymi różnicami językowymi, jest znacznie mniejszy, niż wypadałoby to z hipotetycznego wyliczenia przeciętnej liczby czytelników kolekcjonujących pozycje z gatunku SF, bądź deklarujących się jako zwolennicy tego typu literatury.

Z początku wydawało się, że wszystko będzie przebiegać tak, jak w większości krajów. W latach siedemdziesiątych belgradzki wydawca i znawca SF Zoran Živković powołał do życia bibliotekę naukowej fantastyki pod nazwą KENTAUR, której edytorem zostało wydawnictwo „Jugoslavija". Fachowość redaktora i nieograniczone możliwości zakupu praw autorskich za waluty wymienialne sprawiły, że KENTAUR stał się prawdziwym jugosłowiańskim oknem na światową SF. W latach 1974-1979 w zestawie wydanych książek znalazły się między innymi utwory: Philipa Jose Farmera, Raya Bradbury'ego, Arkadija i Borysa Strugackich, George'a Orwella, Aldousa Huxleya, Philipa K. Dicka, Poula Andersona, Clifforda Simaka, Freda Hoyle'a, Issaca Asimova, Franka Herberta, Jamesa Ballarda, Thomasa Discha, Ursuli LeGuin, Kurta Vonneguta i innych znakomitości. W tym doborowym gronie znalazł się również Stanisław Lem. Jako 22 tomik serii ukazał się „Niezwyciężony". To niestety jedyny element polskiej obecności w tej serii. Trudności z papierem, rosnące ceny i spadający nakład sprawiły, iż mimo bardzo ambitnych i konsekwentnie realizowanych planów, biblioteka KENTAUR w 1981 roku została zlikwidowana.

Los KENTAURA podzielił także wydany dwukrotnie almanach ANDROMEDA redagowany również przez Zorana Živkovića.

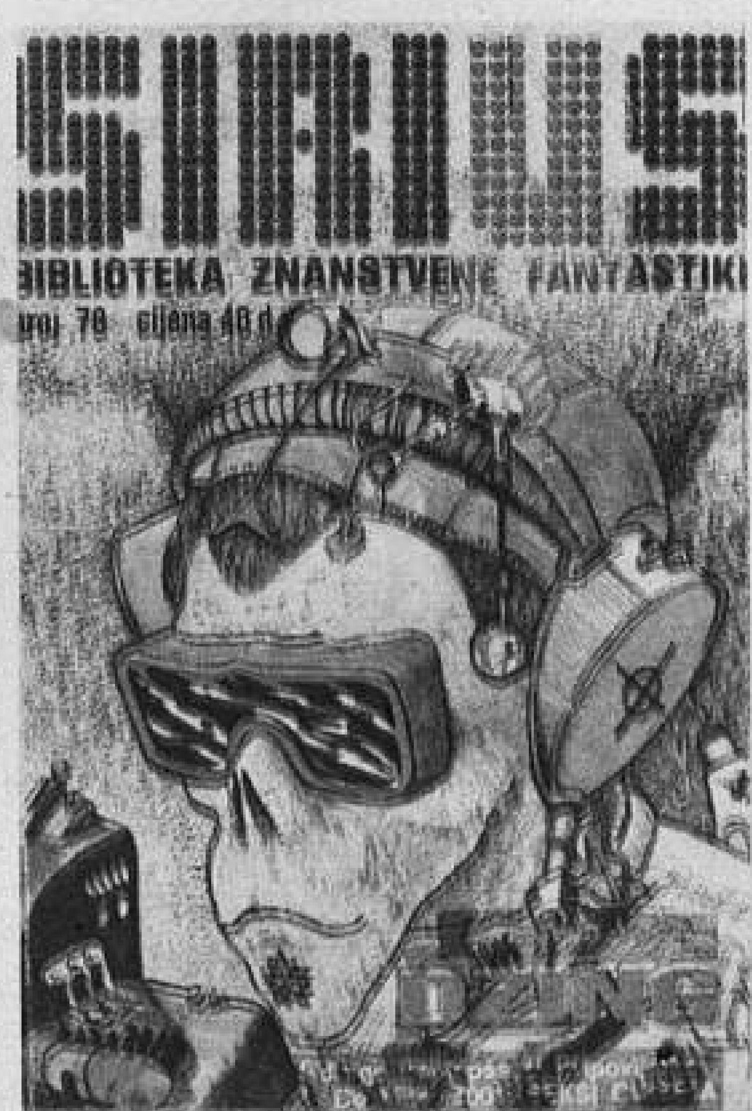
W tej sytuacji, o ile nie liczyć sporadycznie przez różne oficyny wydawanych książek SF, na placu boju pozostał jedynie wydawany przez POUR Vjestnik w Zagrzebiu SIRIUS – cykliczna antologia ukazująca się co miesiąc.

Powstanie i działalność SIRIUSA wiąże się nierozerwalnie z powstaniem i rozwojem największego jugosłowiańskiego klubu miłośników SF SFera w Zagrzebiu.

SFera powstała w 1976 roku. Od początku swego istnienia obok typowych miłośników SF – czytelników poszukujących kontaktów z innymi ludźmi o podobnych zainteresowaniach – klub zgromadził naukowców, dziennikarzy, początkujących literatów. Korzystając z dużego zainteresowania problemami związanymi z SF i z przychylnego stanowiska władz republiki, SFera wystąpiła do POUR Vjestnik z inicjatywą wydawania specjalistycznej serii prezentującej licznym rzeszom czytelników utwory SF i informacje o życiu międzynarodowego fandomu oraz dającej możliwość literackiego i krytycznego startu rodzimym pisarzom i krytykom. W skład zespołu redakcyjnego SIRIUSA weszli członkowie SFery, zaś redaktorem odpowiedzialnym został wieloletni wydawca, również zapalony miłośnik fantastyki naukowej, Borivoj Jurković.
Do chwili, kiedy piszę te słowa, ukazały się 83 tomiki antologii /magazynu/. W każdym wydaniu SIRIUSA przedstawia się czytelnikom przeciętnie osiem utworów, z których znaczną część stanowią przekłady z literatury anglojęzycznej, oraz kilka stron poświęconych informacjom i krytyce SF. Tematyka polska gościła na łamach magazynu jedynie dwukrotnie – przy okazji omawiania EUROCONU 1980 i 1982, kiedy to przedstawiciele naszego kraju zdobyli kilka liczących się nagród.

dokończenie na stronie 58







dokończenie ze strony 57

Znaczną zaletą antologii – magazynu jest stosunkowo niska cena. Podczas gdy w 1980 roku przeciętna książka z serii KENTAUR kosztowała około 100 dinarów, jeden numer SIRIUSA kosztował zaledwie 30 dinarów. Dziś, gdy książkowe wydania dzieł SF osiągają nominalną cenę 300-400 dinarów, SIRIUS utrzymuje, przy niezmienionych parametrach wydawniczych, cenę dziesięciokrotnie niższą – 40 dinarów. I on jednak przeżywa poważny kryzys. Łączny sprzedawany nakład jednego wydania nie przekracza 25 000 egzemplarzy i ponoć stale się zmniejsza. Kto wie, czy organizowanie przez jugosłowiańskich miłośników SF imprez, o których mowa w zamieszczonym w tym numerze reportażu ze SFera Conu 4, nie jest przypadkiem próbą odrodzenia zainteresowania literaturą i wydawnictwami tego typu?
Tym bardziej, iż pojawił się niebezpieczny dla oficjalnych wydawnictw konkurent. Jugosłowiańskie prawo wydawnicze zezwala na otwieranie prywatnych oficyn. Toteż niezmordowany Zoran Živković wespół z gronem tłumaczy rozpoczął w ubiegłym roku edycję prywatnej serii SF wydawanej własnym sumptem i rozprowadzanej w systemie prenumeraty. Pierwszą wydaną książką jest „2010-druga odyseja" A.C. Clarka – bestseller, który mimo wysokiej ceny (460 dinarów) został w całości rozprowadzony. Z planów ogłaszanych przez tego niezwykle dla popularyzacji SF w Jugosławii zasłużonego edytora wynika, że szanse pozyskania stałych odbiorców jego wydawnictw są dosyć duże.
I jeszcze jedna uwaga. Podobnie jak to miało miejsce w RFN w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych (patrz wywiad z Wolfgangiem Jeschke: „Fantastyka" 2/82), jugosłowiański rynek SF jest niemal w całości zamerykanizowany. Tym, co rzuca się w oczy w jaskrawy sposób jest niemal całkowity brak własnej literatury tego typu i bardzo niewielka liczba przekładów z innych języków. Sami Jugosłowianie twierdzą, iż próbują tę sytuację zmienić rozpoczynając penetrację innych obszarów językowych, w tym również Polski. Czy jednak inicjatywy te przyniosą spodziewane rezultaty, odpowie dopiero rynek czytelniczy.

A. W.



SFera Con 4

Do Zagrzebia przyjechałem późnym wieczorem. Po zameldowaniu się w hotelu przestudiowałem plan miasta i postanowiłem poszukać domu kultury, w którym następnego dnia miał się rozpocząć zjazd jugosłowiańskich fanów. Nie tak dawno jeszcze sam byłem członkiem zespołu organizującego podobne imprezy, więc dobrze pamiętam te ostatnie godziny przed świtem, kiedy zmęczeni, ale wreszcie zadowoleni, kończyliśmy przygotowania do ich rozpoczęcia. Mogłem więc przypuszczać, że i tu uda mi się spotkać jakichś zapóźnionych fanów rozwieszających plakaty, kończących kosmetykę wystaw.
Niestety, dom kultury na Ivanićgradskiej 41a, gdzie mieści się najstarszy w Jugosławii Klub Miłośników Fantastyki „SFera" – organizator zjazdu – zastałem zamknięty. Pozostało mi jedynie wrócić do hotelu i przyjść na rozpoczęcie następnego dnia rano.
Następnego dnia od rana w siedzibie „SFery" tłok i gwar. Nieomal w drzwiach spotykam starego znajomego Krsto Mažuranica – przewodniczącego jugosłowiańskiej sekcji WORLD SF i wieloletniego działacza międzynarodowego fandomu. Szybko zaznajamia mnie z przedstawicielami klubu z Lublany – organizatorami wielkiego festiwalu „Fantazija" i najbliższego EUROCONU. Krótka wymiana uwag na temat przygotowywanej imprezy. Z racji swej funkcji w komitecie europejskim mam koordynować przygotowania delegatów krajów socjalistycznych do zjazdu. Opowiadają mi o pracach przygotowawczych, pokazują foldery wspaniałego ośrodka udostępnionego przez władze republiki na potrzeby europejskich fantastów. Przekazują mi materiały i umawiamy się na robocze spotkanie po południu. O 10 rozpoczyna się bowiem spotkanie przygotowawcze do kolejnego zjazdu WORLD SF, którego organizatorem jest w tym roku również „SFera". W ogóle Jugosławia zaczyna pretendować powoli do miana europejskiego centrum SF. Oprócz odbywającego się w dniach 5-6 lutego w Zagrzebiu SFera Conu, w dniach 27-28 lutego jugosłowiańscy miłośnicy SF spotkali się ponownie w Belgradzie, by powołać ogólnokrajową federację klubów. W niecałe cztery miesiące później – w dniach 16-21 czerwca w Zagrzebiu zbierają się profesjonaliści SF z całego świata na kolejnym WORLD SF GENERAL MEETING, zaś w dniach od 28 września do 1 października 1983 w Lublanie odbędzie się wspomniana już wielka impreza – festiwal „Fantazija" połączony z VIII Europej-

SF w Europie

Ważniejsze imprezy w 1983 r.

17 – 19 VI	**Colonia-Con** – Kolonia, RFN
21 – 25 VI	**World SF General Meeting** – Zagrzeb, Jugosławia
1 – 3 VII	**Morocon** – Morzine, Francja
2 – 3 VII	**Nasacon** – Sztokholm, Szwecja
29 – 31 VII	**Beccon** – Basildon, Wielka Brytania
29 – 31 VII	**Lexi-Con** – Norymberga, RFN
12 – 14 VIII	**SFCD-Con** – Hanower, RFN
18 – 21 VIII	**Swecon** – Sztokholm, Swecja
26 – 29 VIII	**Silicon 7** – Newcastle, Wielka Brytania
2 – 4 IX	**Beneluxcon 10** – Eindhoven, Holandia
2 – 4 IX	**Unicon 4** – Colchester, Wielka Brytania
2 – 4 IX	**Francuski Konwent Narodowy** – Rambouillet, Francja
23 – 25 IX	**Invention** – Glasgow, Wielka Brytania
30 IX – 2 X	**Fantazija /Eurokon VIII** – Lublana, Jugosławia)
4 – 6 XI	**Novacon** – Birmingham, Wielka Brytania
11 – 13 XI	**Sfancon 14** – Antwerpia, Belgia

Już odbyły się:

4 – 6 II	**Ra Con** – Edynburg, Wielka Brytania
5 – 6 II	**SFera Con** – Zagrzeb, Jugosławia
25 – 27 II	**Freucon** – Freudenstadt, RFN
1 – 4 IV	**Albacon II** – Glasgow, Wielka Brytania
9 IV	**Nordcon** – Neustadt, RFN
20 – 26 IV	**Festiwal Filmów SF** – Metz, Francja
23 – 25 IV	**Italcon 9** – Borgomanero, Włochy

(Inf. ESSF)

skim Kongresem SF. Zagrzeb pretenduje również do organizacji kongresu europejskiego w 1986 roku, zaś na rok 1988 postanowiono zwołać do tego miasta 46 światową konwencję SF – pierwszą taką konwencję odbywającą się poza krajami anglojęzycznymi.

Ale wróćmy do SFera Conu. Na posiedzeniu przygotowawczym do WORLD SF GENERAL MEETING 1983 ustalono ostateczne zasady zwołania i organizacji imprezy oraz listę zaproszonych gości. Zebranie kończy się przyjęciem odpowiednich postanowień i uchwał. Reszta należy już do instytucji kulturalnych i biur turystycznych.

Po krótkiej przerwie uroczyste otwarcie SFera Conu. Na sali około 150 osób. Sporą grupę stanowią pisarze, krytycy i wydawcy. Gościem honorowym zjazdu jest amerykański pisarz i krytyk, autor wielu renomowanych antologii, profesor anglistyki Uniwersytetu w Kansas, przewodniczący World SF Research Association – James Gunn. Toteż obok relacji delegacji SFery z 40 światowej konwencji SF w Chicago i rozstrzygnięcia konkursu na najlepszy jugosłowiański utwór SF, właśnie wystąpienie Jamesa Gunna wzbudza największe zainteresowanie. A później – jak na każdej tego typu imprezie – długie nocne rozmowy.Z Krsto Mažuranicem o sytuacji SF w Jugosławii i Polsce, z Matjażem Sinkovecem – delegatem narodowym Jugosławii w Komitecie Europejskim – o przygotowaniach do „Fantaziji" i o jego ocenie naszego pisma, z pisarzami, z fanami...

Udaje mi się namówić najlepszego chorwackiego twórcę SF – Branko Pihaća na udostępnienie „Fantastyce" praw autorskich kilku opowiadań. Jugosłowiańska fantastyka jest dla nas zupełną terra incognita. Może to będzie pierwszy krok do jej poznania? Kilka słów z Jamesem Gunnem i z redaktorami jedynej w chwili obecnej specjalistycznej serii SF „Syrius". Umawiamy się na następny dzień, bowiem czas ucieka bezlitośnie i jest już dobrze po północy. W sali video miłośnicy filmu oglądają w tym czasie kolejne części „Planety małp" /niestety we włoskiej wersji językowej/, zaś w sali kinowej uzupełnić można braki w klasyce oglądając stare filmy Spilberga.

Atmosfera robi się coraz swobodniejsza. Jak zwykle przy tego rodzaju okazjach jeszcze raz sprawdza się stare powiedzenie Fredericka Pohla: „ludzie dzielą się na białych, żółtych, czerwonych, czarnych, i tych, którzy czytają SF". Uczestniczę w tego typu zjazdach już od kilku lat i zawsze przychodzi moment zdziwienia – jak łatwo pryskają narodowościowe, językowe i rasowe bariery...

„Okazją" zabieram się do hotelu położonego w centrum miasta – 12 kilometrów od miejsca imprezy. Po drodze nieodłączne ploteczki. Dowiaduję się, że przybyciu profesora Gunna towarzyszyła drobna międzynarodowa „afera". W przeddzień zjazdu konsulat amerykański w Zagrzebiu poinformowany został, iż rejsowym samolotem z Paryża przylatuje Gunn. Któryś z urzędników błędnie zrozumiał depeszę i po załatwieniu formalności na lotnisko oddelegowano człowieka po odbiór...pistoletu. Jak plotka niesie przez prawie godzinę zdenerwowany przedstawiciel konsulatu i jugosłowiańscy celnicy szukali „zaginionej" przesyłki z bronią, podczas gdy stateczny profesor uniwersytetu w Kansas daremnie oczekiwał zapowiedzianego przedstawiciela konsulatu. Wszystko skończyło się salwą śmiechu.

Następnego ranka znów konwentowy młyn. Najpierw odczyt Jamesa Gunna na temat historii SF, później robocze rozmowy z redaktorami „Syriusa". Dyskutujemy o wymianie materiałów. Jugosłowianie zainteresowani są wydaniem specjalnego tomiku poświęconego polskiej SF. Przekazuję im przywiezione książki, sam odbieram stertę materiałów dla naszej redakcji.

Pomimo językowej bariery, ciekawość zwycięża – próbuję obejrzeć drugą część „Planety małp", ale nie udaje mi się to do końca, bo moi jugosłowiańscy przyjaciele szykują kolejne spotkanie. Otrzymuję adresy, telefony, listy polecające zaproszenie na... Olimpiadę do Sarajewa. Wieczorem mam trochę czasu, by obejrzeć miasto, bo nazajutrz, pomimo oficjalnego zakończenia zjazdu, spotkań ciąg dalszy.

Profesor Gunn podejmuje nas w swoim pokoju hotelowym. Rozmawiamy o World SF Research Association, o letnich kursach teorii i pisarstwa SF organizowanych w Kansas przez tę organizację. Uczestniczą w nich pisarze i fanowie z różnych stron świata. Polacy nie brali w nich jeszcze udziału, ale – i tu pisarz wręcza mi trzy zaproszenia dla członków naszej redakcji. Okazja do spotkania z czołówką amerykańskich twórców /wykłady prowadzą Frederic Pohl, Harlan Ellison, James Gunn, Jack Williamson, uczestniczą w zajęciach Darko Suvin, Sam Moskovitz, Ursula LeGuin/ jedyna w swoim rodzaju. Pytam profesora Gunna o jego literackie kontakty z Polską. Owszem, miał, ale człowiek, który proponował mu przed trzema laty na konwencji w Brighton pośrednictwo w zaprezentowaniu jego książek polskim wydawcom, zabrał ich całą paczkę i zniknął jak kamfora. Na szczęście profesor zapomniał, kto to był. Próbuję więc ostrożnie dowiedzieć się, czy nie zraziło to pisarza. Nie – chętnie widziałby wydania swoich dzieł po polsku. Wyjaśniamy zasady wynagradzania autorów w naszym kraju. I...wychodzę z hotelu z pełnomocnictwem upoważniającym naszych wydawców, jeśli oczywiście będzie ich to interesować, do wydania książek pisarza za złotówki. A jest w czym wybierać: nagrodzona nagrodą PILGRIM „Alternative Worlds" – jedna najlepszych na świecie historii gatunku, „The Road to Science Fiction" – czterotomowa antologia najlepszych utworów zaliczanych do SF od „Gilgamesha" do „nowej fali" i kilka liczących się w rozwoju gatunku powieści.

Potem już mniej oficjalnie – w małej kawiarence na starym mieście rozmawiamy z redaktorami „Syriusa". Wieczorem na dworzec i do Belgradu. A stąd do Warszawy. W sumie cztery zabiegane, wypełnione po brzegi dni, odnowienie starych i nawiązanie nowych kontaktów. Wymiana doświadczeń i materiałów. Początek za nami. Teraz trzeba czekać na efekty i na...WORLD SF GENERAL MEETING, który nasze kroki znów skieruje do pięknej stolicy Chorwacji.

Andrzej Wójcik

KLUBY SF NA TERENIE KRAJU

W związku z powtarzającymi się w listach Czytelników pytaniami o krajowe kluby miłośników SF oraz warunki, jakie trzeba spełnić, aby do któregoś z tych klubów zostać przyjętym, powtarzamy (uzupełnioną i poprawioną) listę, zamieszczoną w I-szym numerze „Fantastyki".

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki
– **siedziba główna:** 01-737 Warszawa, ul. Elbląska 53,
– **oddz. bydgoski:** 85-790 Bydgoszcz, ul. Fordońska 397,
– **oddz. częstochowski:** 42-200 Częstochowa, ul. Racławicka 2,
– **oddz. lubelski:** 20-010 Lublin, ul. Podgrodzie 3,
– **oddz. łódzki:** 91-471 Łódź, Łagiewnicka 118c (Dom Filmu i Plastyki)
– **oddz. poznański: „ORBITA" Poznań, os. Kosmonautów 118**

Śląski Klub Fantastyki: 40-956 Katowice, ul. Mariacka 17a,

Klub Miłośników Fantastyki Naukowej: 66-400 Gorzów Wlkp, ul. Wyczółkowskiego 6/25/26

Klub Miłośników Fantastyki i SF „PULSAR": 58-500 Jelenia Góra, ul. 15 Grudnia

Klub Fantastyki: – 31-002 Kraków, ul. Poselska 9 (przy klubie środowiskowym „Zaułek")

„SFAN": – 00-374 Warszawa, ul. Al. Jerozolimskie 2 („Groteka")

„Nostromo": dział filmowy Pałacu Kultury – Poznań, ul. Armii Czerwonej

Ponadto w posiadaniu redakcji znajduje się lista prywatnych adresów osób, które prowadzą Kluby Miłośników SF w innych miastach Polski. Do osób tych rozesłano prośby o zgodę na ogłoszenie ich adresów jako oficjalnych adresów klubowych. Natomiast warunki przyjęcia do poszczególnych klubów ustalane są przez ich kierownictwo. Prosimy zatem kierować wszelkie tego typu pytania bezpośrednio do Klubów.

(RPA)

LĄDOWANIE CZWARTE

Lepiej się robi: rugają nas, stawiają żądania. Bardzo to cenne – zwłaszcza jeśli pochodzi od bliskich, to znaczy od stałych Czytelników. Oni nas najlepiej znają, dobrze się orientują, co w naszej fizjonomii należałoby zmienić, a przynajmniej poprawić. Co dodać, a czego ująć. A robią to, aby polepszyć dalsze kontakty, zwiększyć zbliżenie. Bo jesteśmy im potrzebni, jak Oni nam są. To się nazywa życzliwa krytyka i o takiej właśnie pisałem. Takiej się domagałem od tych, co chcą nas czytać.

Podobał mi się więc złośliwy i ostry list p. **Alojzego Z.** ze Starachowic. Szkoda, że swoich uwag nie podpisał Pan pełnym nazwiskiem. Uważa Pan mianowicie, że kamuflujemy swoją niechęć do wszelkiego rodzaju twórczości amatorskiej rozpisaniem konkursu na prace literackie i plastyczne, w którym mogą wziąć udział zarówno amatorzy, jak i profesjonaliści. Otóż myli się Pan. Zależało nam i nadal zależy na wyłowieniu talentów, prawdziwych talentów zarówno spośród piszących czy rysujących po amatorsku w wolne soboty i niedziele, od święta, jak i spośród tych co tworzą zawodowo, żyjąc z tego, co piszą czy malują. W poprzednim naszym „lądowaniu” miałem przyjemność zakomunikować o odkryciu kilku takich talentów, na razie plastycznych. Trudniej jest z pisarstwem. Po pierwsze dlatego, że zalał nas prawdziwy potop tekstów: czytamy uważnie i spokojnie, tak aby nikogo nie pominąć czy nie skrzywdzić. Po drugie, że tak czytając i osądzając, niestety, bardzo rzadko natrafiamy na rzeczy nadające się do druku.

Radzą nam już niektórzy Czytelnicy, abyśmy nie bacząc na jakość, odnotowywali najciekawsze pozycje z tego co przeczytaliśmy z rzeczy konkursowych, publikując fragmenty. Zastanawiamy się nad tą możliwością. Podsunęli nam ją pp. **Jan Gerdych** z Wrocławia i **Józef Nadolski** z Warszawy. Jeszcze trochę cierpliwości.



Hieronim Kozłowski

Bardzo ciekawy problem, dotyczący naszych publikacji, porusza w sposób krytyczny i postulatywny m.in. pan **Tadeusz Partyk** z Kołobrzegu, twierdząc, że nie powinniśmy absolutnie drukować powieści czy opowiadań, które w bliższym lub dalszym terminie ukażą się w edycji książkowej. Sądzi natomiast, iż naszą powinnością jest publikowanie książek, które dawno już wyczytano, a nowych wydań jak nie ma, tak nie ma. I wylicza jako przykłady – Clarke'a „Zdobywamy księżyc”, „Piaski Marsa” oraz kilka innych. Nie wykluczamy możliwości ukazywania najlepszych, klasycznych dzieł o wyczerpanym nakładzie na naszych łamach. Jednakże sądzimy, że zasadniczy nasz obowiązek polega na dawaniu pola pozycjom najnowszym, najciekawszym, których szanse (ze względów finansowych) na ukazanie się w normalnej szacie książkowej są żadne. Pragniemy także wyprzedzać wydawnictwa książkowe, prezentując od nich szybciej rzeczy najbardziej godne dotarcia do Czytelnika.

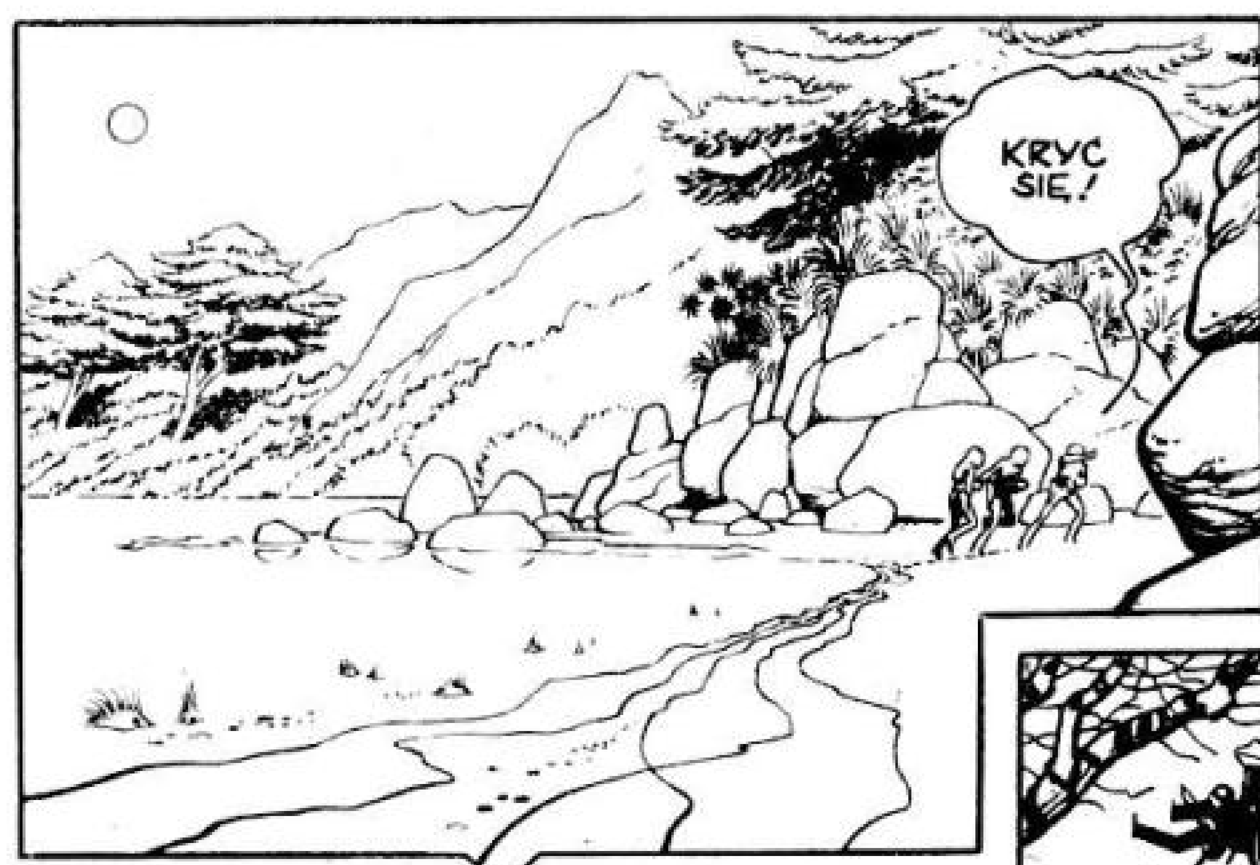
Czytelnik z Górnego Śląska, pan **Józef Grzywok** z Ornontowic, pyta o dalszy rozwój na naszych łamach tematyki paranaukowej. I ona znajdzie u nas zawsze trochę miejsca. Na pytanie zaś, w jaki sposób kontaktować się z wybitnym znawcą problematyki, panem Josephem Blumrichem, zasięgnęliśmy języka u współpracującego z nami redaktora Arnolda Mostowicza. Oto odpowiedź: Josef /nie Joseph/ F. Blumrich, 1139 Noria-street Laguna Beach California 92651.

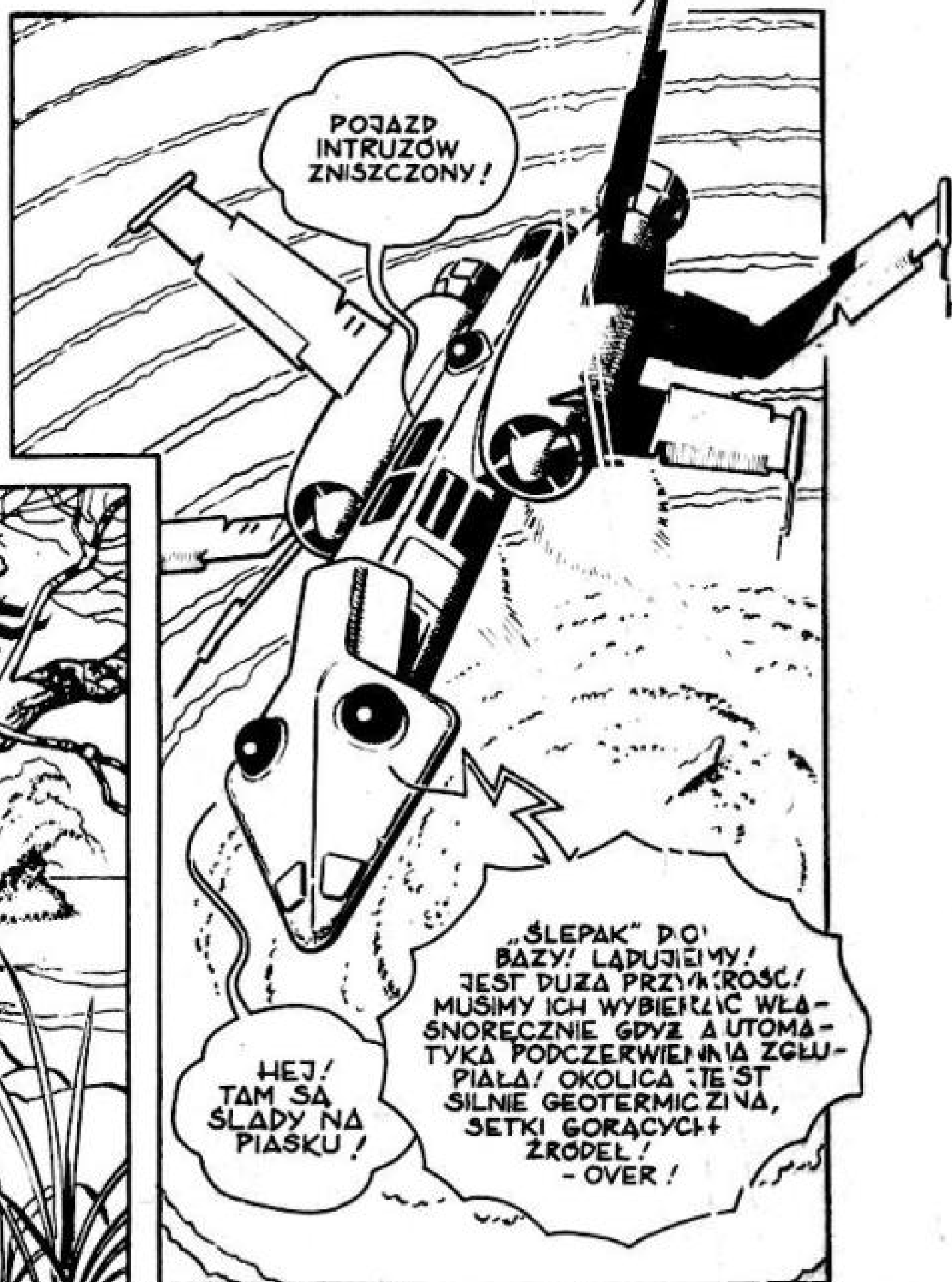
Czytelnik krakowski p. **Andrzej Wasielak** z Osiedla na Skarpie napisał ciekawy list, w którym występuje przeciwko drukowaniu w naszym piśmie komiksów: *„Nie musicie szukać nabywców dla swojego wspaniałego pisma przez zamieszczanie komiksów. Na czterech stronach zajmowanych przez komiks, można umieścić jedno spore opowiadanie lub ilustrację. Moje propozycje to słownik zagranicznych autorów fantastyki, omówienie filmów SF, poruszenie sprawy filmu A. Żuławskiego „Na srebrnym Globie” i chyba najważniejsze – omówienie pozycji książkowych, które wejdą na półki księgarskie, choćby krótkie wzmianki – czego należy się spodziewać i kiedy, a nie gdy ślad po nich zaginął”.* Sporo racji. Zawsze, gdy dobieramy materiały do naszych numerów staje przed nami jak widmo zagadnienie, co wyeliminować, co jest najważniejsze dla Czytelników, słowem następuje chwila okrutnych decyzji. Z tym, że wcale to nie jest łatwe uchwycić te pozycje książkowe, które mają właśnie wejść na rynek i je zapowiedzieć, jako że piszemy nasze materiały i budujemy każdy numer na p o n a d d w a m i e s i ą c e przed jego ukazaniem się. Takie są nieubłagane prawa naszej zacofanej poligrafii. Ponadto ta poligrafia płata także paskudne psikusy zarówno autorom, jak i wydawcom książek, a w konsekwencji i Czytelnikom. Zaczniemy jednak, bo tego Państwo chcecie, te obiecanki-cacanki w imieniu wydawnictw, ale za terminy ukazania się książek nie bierzemy odpowiedzialności. Obiecujemy również wkrótce druk rubryki filmowej. Nie w każdym jednak numerze. Chcemy coś dla Czytelników zrobić w sprawie słownika autorów zagranicznych. Ale to już trudna sprawa. Albowiem taki słownik trzeba by było najpierw przygotować, a tego z numeru na numer nie da się przecież dokonać.

Pan **Rafał Potocki** z Gdańska słusznie, moim zdaniem, domaga się od redakcji „Fantastyki” wywiadów nie tylko z wydawcami, ale ze znanymi autorami SF. Podobne żądania wysunęli i inni Czytelnicy. I sądzę, że racja po ich stronie, po naszej zaś obowiązek zamieszczania takich materiałów. Rozumiem doskonale potrzebę spotykania się Czytelników z ludźmi, którzy piszą dla nich książki i to nie tylko spotykania się na łamach czasopisma, lecz również osobistego, bezpośredniego, twarzą w twarz. Wkrótce otworzymy rodzaj klubu „Fantastyki” w pomieszczeniach przyredakcyjnych i tam – na razie tylko w stolicy, w przyszłości może przy pomocy MPiK-ów i w innych miastach – będziemy organizować wieczory autorskie. Myślę, że zgodzą się na branie w nich udziału nie tylko twórcy z najbliższego kręgu redakcji, lecz także i ci, którzy co pewien czas drukują na naszych łamach. Postaramy się zawiadamiać o naszych imprezach za pośrednictwem codziennych gazet i radia.

Z doniesień naszych Czytelników nareszcie wiemy, co się im podoba, co chcieliby czytać, a także które pozycje z naszych łamów najbardziej ich zainteresowały. Może największą popularnością (bo najczęściej te pozycje wymieniano) cieszą się: z krytyki – „Słownik polskich autorów fantastyki” z wypisami, z powieści – Strugackich „Żuk w mrowisku” i Martina „Pieśń dla Lyanny”, z opowiadań – Asimova „Fundacja”. W recenzjach chwalą sobie Czytelnicy sposób patrzenia na twórczość prezentowany przez Parowskiego. Oczywiście, oceny te dotyczą tylko pierwszych numerów, które dotarły do rąk Czytelników. Oczekujemy dalszych cenzurek. Zapewniamy o naszym dużym wyczuleniu na Czytelnicze opinie i zapraszamy na następne lądowanie.

Redaktor


KRYĆ SIĘ!


POJAZD INTRUZÓW ZNISZCZONY!
„ŚLEPAK" DO BAZY! LĄDUJEMY! JEST DUŻA PRZYKROŚĆ! MUSIMY ICH WYBIERAĆ WŁASNORĘCZNIE GDYŻ AUTOMATYKA PODCZERWIENNA ZGŁUPIAŁA! OKOLICA JEST SILNIE GEOTERMICZNA, SETKI GORĄCYCH ŹRÓDEŁ! - OVER!
HEJ! TAM SĄ ŚLADY NA PIASKU!


FUNKY! PRZESTAŃ, NIE BŁAZNUJ!


BRAĆ ICH ŻYWCEM! ...W MIARĘ MOŻLIWOŚCI!


!...TO NIE ANKUZI??? A WIĘC TO ICH BAZĘ WIDZIELIŚMY ZE ŚMIGA!
WŁAŻĄ PROSTO POD LUFĘ... DOPUSZCZAMY ICH BLIŻEJ...


PRZYNAJMNIEJ JEDNEGO WZIĄĆ ŻYWCEM. OGIEŃ NA KOMENDĘ...

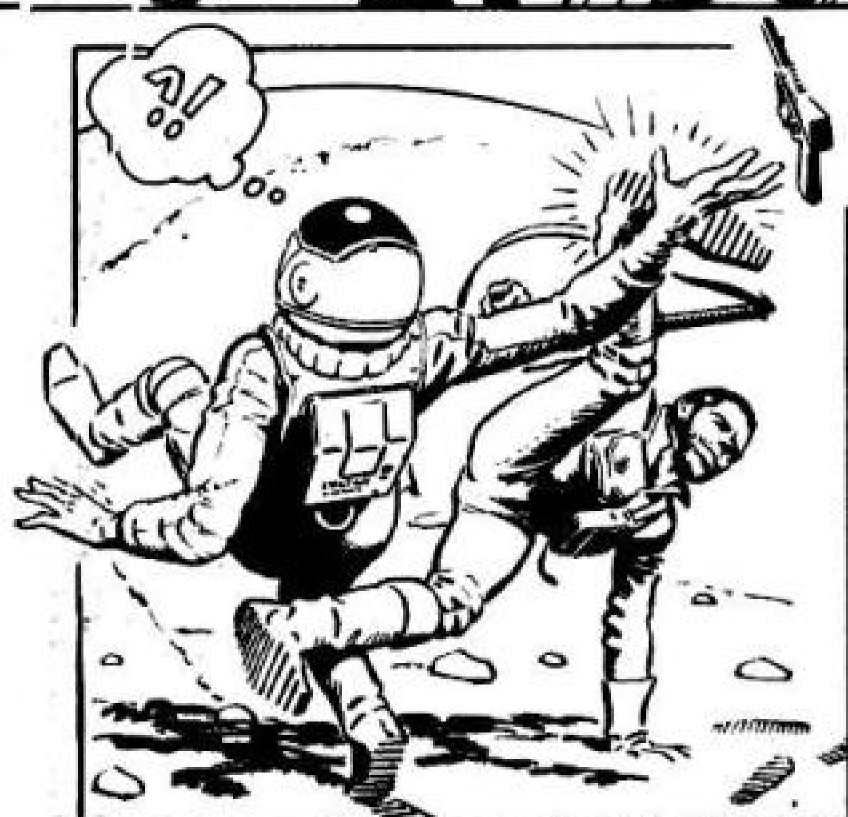



UGH!
!?
AAAA!


!
BIORE DOWODCE!
AAAH!
JUHU!
JA IM ZARAZ POKAZE!


?
OGNIA I SKOK!


RZUĆ BROŃ!


?!


STAC, BO GO ROZWALE!!!


JIIIP!... RECE DO GORY!!!


CO?! ZNOWU DROLL?!


TE, ŁAMAGA, TO NIE BYŁO DO CIEBIE! NIE GAP SIĘ, TYLKO WIĄŻ GORYLA!


ŚCIĄGAĆ MUNDURY! POGRZEBAĆ ZABITYCH. ZAMIANA UBIORÓW!
POLECICIE Z NAMI. RADZĘ WAM MYŚLEĆ O ŻYCIU, NIE O MEDALACH! JEŚLI NAS STRĄCĄ I WY ZGINIECIE!
?
FUNKY, TY ZBÓJU! CO CIĘ TU SPROWADZA?


PORUCZNIK KRIS PETERSEN. ROK CHODZILIŚMY RAZEM W OCHRONIE POGRANICZA. PRZEGRYWAŁEŚ DO MNIE W POKERA. NIE PAMIĘTASZ FUNKY?!
A TAM, TO MÓJ KUMPEL, SIERŻANT ALEX KOROLEV. PRZYSZEDŁ DO NAS PO TYM JAK CIEBIE WYLANO ZA DRAKĘ Z GENERAŁEM GRETZEM. A PROPOS, MIAŁEŚ WTEDY RACJĘ, GRETZ POSZEDŁ W ODSTAWKĘ!


KRIS?! CO TU JEST GRANE? W INDIAN SIĘ BAWICIE?! I TRZYMASZ Z TYM KURDUPLEM?
HA, HA! UWAŻAJ FUNKY, ON NIGDY NIE CHYBIA!
TE, BLONDYN, LICZ SIĘ ZE SŁOWAMI!


PRZED PÓŁ ROKIEM ZBOCZYLIŚMY Z KURSU W STREFIE RADIOWEJ DENEBOLI I ANKUZI ZESTRZELILI NAS TAK SAMO JAK WAS. STRĄCAJĄ WSZYSTKO CO LECI W POBLIŻU PLANETY DB-4. CI, KTÓRZY OCALEJĄ SĄ ZMUSZANI DO PRACY POD WODĄ I W JAKICHŚ KAMIENIOŁOMACH. TU ODCHODZĄ GIGANTYCZNE PRACE WYKOPALISKOWE. FUNKY, MY I DROLL UCIEKLIŚMY IM PRZED MIESIĄCEM. SZCZYPALIŚMY ICH PO JEDNYM, PO DWU, ALE Z ŁUKIEM CZY DZIDĄ NIE MIELIŚMY WIĘKSZYCH SZANS. TERAZ SOBIE Z NIMI ZATAŃCZYMY! A CO WY WIECIE?


NO WŁAŚNIE SZEFIE ? TE INSTALACJE PODWODNE, BAZA, WYKOPALISKA, CI STRAŻNICY... CO ZA OPRYCH WSTAWIŁ NAM KIT, ŻE DB-4 JEST DZIEWICZA ?!
SPOKOJNIE, FUNKY... ZARAZ PRZEPROWADZIMY INDYWIDUALNE PRZESŁUCHANIA JEŃCÓW. HASŁA, SZYFRY, MAPY, RODZAJE ZABEZPIECZEŃ ITP. NASTĘPNIE SKONFRONTUJEMY ICH...WERSJE, A POTEM POWTÓRZYMY TEN TANIEC. - DO ROBOTY!


W PRZEBRANIU PIELĘGNIARZA DOTARŁEM DO SENATORA. ODZYSKAŁ PRZYTOMNOŚĆ. ON PAMIĘTA, ŻE TO NIE FUNKY STRZELAŁ. PRZEKAZAŁEM MU NASZE INFORMACJE O STELLAR FOX. - KUPIŁ TO! OBIECAŁ, ŻE WYSTĄPI DO PREZYDENTA O WYSŁANIE RZĄDOWEJ EKSPEDYCJI NA DB-4!


TYMCZASEM W DIEGO SOL. NARADA U NACZELNIKA AGENCJI UNIVERSS...
NO, MELDUJCIE CHŁOPCY...
DO WCZORAJ BYŁY TRZY PRÓBY ZAMACHU NA SENATORA. NASI LUDZIE WYJĘLI Z KLINIKI SPECA OD TRUCIZN. TO CZŁOWIEK STELLARU!
NA ROZKAZ BARLEYA PRZEŚWIETLAŁEM TĘ EKSPEDYCJĘ, KTÓRA ODKRYŁA DB-4 PRZED 10-CIU LATY. PIĘCIORO Z NICH ZMARŁO NAGLE. WKRÓTCE PO POWROCIE. POZOSTALI MAJĄ POWIĄZANIA ZE STELLAR FOX!

O.K.! DALEJ OSŁANIAJCIE KLINIKĘ. PRZED SPOTKANIEM Z SENATOREM CHCIAŁBYM ODEBRAĆ KOMUNIKAT OD BARLEYA. NIESTETY STRACIŁEM Z NIM ŁĄCZNOŚĆ. OBAWIAM SIĘ, ŻE...
- BIP! C.S.S.! - TU SEKRETARZ PREZYDENTA. PILNE! PROSZĘ O NATYCHMIASTOWE PRZYBYCIE.


PÓŹNIEJ NA DB-4...
CO TERAZ ?
LECIMY! MUSZĘ NAWIĄZAĆ KONTAKT Z ZIEMIĄ.
ACHA, JUŻ WIEM! TO TY ROZSZYFROWAŁEŚ APARATURĘ KOŁO SATURNA I TY KAZAŁEŚ JĄ EKSPLODOWAĆ! SŁYSZAŁEM O TEJ AFERZE...


...TAMTĄ ROBOTĘ NADALI NAM CI SAMI FACECI, KTÓRZY TUTAJ RZĄDZĄ! OD MOMENTU TWOJEJ INTERWENCJI NAS TEŻ TRAKTUJĄ JAK WROGÓW. STRZELAJĄ DO NAS TAK SAMO JAK DO WAS.


CHOLERA, WYSZŁO NA TO ŻE TY I JA GRAMY PO TEJ SAMEJ STRONIE. MOŻE RZECZYWIŚCIE SĄ RÓŻNI DROLLE, DOBRZY I ŹLI.
TAK SAMO JAK LUDZIE, FUNKY. BEZ ŻADNEJ RÓŻNICY.
© by M. PAROWSKI & J. RODEK B. POLCH '83

LISTA BESTSELLERÓW

Posucha na naszym rynku wydawniczym trwa nadal. Pomimo działania w warunkach reformy, pomimo licznych możliwości złotówkowych zakupów światowych bestsellerów SF – wydawnictwa zamiast zwiększyć swoje zainteresowanie poszukiwaną literaturą stale zmniejszają liczbę tytułów fantastyczno-naukowych. W styczniu tylko dwie oficyny zasygnalizowały nowe pozycje: Wydawnictwo Literackie – kolejne wznowienie ***„Dzienników gwiazdowych"*** Stanisława Lema w nowej serii „Dzieł" (50 000 nakładu, twarda oprawa; ładne, ale drogie: 160 zł) i Krajowa Agencja Wydawnicza – powieść znanego już z dwóch publikacji w „Iskrach" Czesława Białczyńskiego ***„Miliardy białych płatków"*** (100 000 nakładu, wydanie zeszytowe; względnie tanio: 45 zł., ale szkaradne edytorsko). Piszę – zasygnalizowały, gdyż w dalszym ciągu od wydrukowania do rozpowszechnienia droga szalenie długa i zawiła.

„Dzienników gwiazdowych" oceniać tu raczej nie wypada. Myślę, że ta klasyczna już dziś, ciesząca się niezmiennym powodzeniem na całym niemal świecie, pozycja znajdzie swoich nabywców nawet wśród tych, którzy są posiadaczami poprzednich edycji. Tym bardziej że zawarto w tym wydaniu wszystkie przygody Ijona Tichego, które przedstawił Autor w przeciągu dwudziestu lat opisywania jego dziejów (z wyjątkiem opublikowanej jedynie w *„Sezamie"* opowieści dwudziestej szóstej, na którą sam pisarz od wielu lat patrzy z pewnym zażenowaniem i wielokrotnie mówił o niej jako o literackim nieporozumieniu).

„Miliardy białych płatków" to ciekawy przykład rodzimej politic fiction, książka napisana w roku 1979, ale jak dojrzewające wino nabierająca z czasem nieprzewidzianych nawet przez samego autora uniwersalistycznych wartości. Mimo nieciekawej formy edytorskiej polecam ją gorąco wszystkim, tym bardziej że osadzona jest w nurcie tak ostatnio popularnym wśród czytelników, a reprezentowanym przez bardzo dobrze przez odbiorców przyjęte *„Limes inferior"* Janusza Zajdla, *„Twarzą ku ziemi"* Macieja Parowskiego, czy z książek wcześniej wydanych *„Wir pamięci"* Edmunda Wnuka – Lipińskiego. Ci, którzy ją kupią na pewno nie będą wydanych pieniędzy żałowali.

* * *

Na czytelniczej liście bestsellerów znów spore zmiany. Łącznie na prezentowaną edycję listy czytelnicy oddali 465 głosów, a więc powoli zbliżamy się do reprezentacji mogącej świadczyć o rzeczywistym odbiorze pozycji. Na razie z klubu w Łodzi uzyskaliśmy informację pozwalającą sądzić, że zbliżamy się do progu wiarygodności rynkowej: drugi tom antologii *„Spotkanie w przestworzach"* sprzedany został na giełdzie za 420 złotych. Jak na niemal nową pozycję cena bardzo wysoka. I równie wysoka pozycja na typowanej przez czytelników liście.

* * *

I jeszcze na koniec odnotować wypada pojawienie się dwóch nieprofesjonalnych wydawnictw poświęconych naukowej fantastyce. Nakładem Śląskiego Klubu Fantastyki ukazał się pierwszy numer biuletynu ŚKF *„Fikcje"* (nakład: 1000 egz., cena 50 zł), zaś nakładem Klubu Miłośników Fantastyki Naukowej „Orbita" w Poznaniu kolejny numer przeznaczonego do użytku wewnętrznego magazynu *„Kwazar"* (nakład: 200 egz., cena 200 zł).

CZYTELNICY

1.	1.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik
2.	2.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW
3.	3.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik
4.	4.	Stefan Wul	**Remedium**	KAW
5.	6.	Harry Harrison	**Planeta śmierci**	Czytelnik
6.	10.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry
7.	8.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	KAW
8.	7.	Andrzej Krzepkowski	**Śpiew kryształu**	Wydawnictwo Lubelskie
9.	9.	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW
10.	5.	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry
–.	–.	Janusz A. Zajdel	**Ogon diabła**	KAW
–.	–.	Stanisław Lem	**Niezwyciężony**	Iskry
–.	–.	Jacek Sawaszkiewicz	**Kronika Akaszy 2**	Wydawnictwo Poznańskie
–.	–.	Wiktor Żwikiewicz	**Druga jesień**	Wydawnictwo Poznańskie
–.	–.	Kate Wilhelm	**Gdzie dawniej śpiewał ptak**	Czytelnik

REDAKCJA

1.	1.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry
2.	2.	Wiktor Żwikiewicz	**Druga jesień**	Wydawnictwo Poznańskie
3.	3.	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry
4.	4.	Stanisław Lem	**Wizja lokalna**	Wydawnictwo Literackie
5.	5.	James G. Ballard	**Wyspa**	Czytelnik
6.	6.	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW
7.	7.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	KAW
8.	8.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW
9.	9.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik
10.	10.	Peter Zsoldos	**Zadanie**	Iskry
–.	–.	Stanisław Lem	**Śledztwo. Katar**	Wydawnictwo Literackie
–.	–.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik
–.	–.	Mark Twain	**Tajemniczy przybysz**	Wydawnictwo Literackie
–.	–.	Stefan Wul	**Remedium**	KAW
–.	–.	Jacek Sawaszkiewicz	**Eskapizm**	Wydawnictwo Poznańskie

(jasną czcionką podano pozycję na liście w poprzednim miesiącu)


Roger Zelazny
ALEJA POTĘPIENIA
fantastyka
Mateusz Stryjecki